

zwierciadło

Czasami los wiedzie
do miłości krętymi
ścieżkami

KRYSTYNA
MIREK
ZAPACH BZÓW
Saga dworska

zwierciadło

KRYSTYNA
MIREK
ZAPACH BZÓW
Saga dworska

TOM I



ROZDZIAŁ 1



W dniu, w którym skończył się świąt, bzy kwitły oszałamiająco.

Nawet dziedzicowa Podhorska zatrzymała się na chwilę w biegu, by popatrzeć na ten fenomen. Trzy mocno już wiekowe krzewy tworzyły imponujący widok. Zapach otaczał słodczą cały dom. Było co podziwiać. Maria wciągnęła w płuca aromatyczne powietrze.

Jednak od razu wróciła do rzeczywistości. Taka chwila przerwy w dniu ślubu najstarszego syna, a zarazem dziedzica rodu, była niczym świętokradztwo.

Pani Podhorska szybko przetarła zmęczone oczy. Od tygodni pracowali bez wytchnienia, a wciąż wydawało się, że nie są gotowi.

Jednak mimo tak wielu pilnych spraw, które wciąż gnały ją przez obszerne pokoje wiekowego dworu, znów spojrzała na kwiaty. A potem, choć jej sercem targało poczucie, że skandalicznie marnuje czas, przymknęła oczy, by jeszcze lepiej poczuć ten wspaniały zapach. Zawsze kojarzył jej się z domem.

Gdyby wiedziała, co się stanie za kilka godzin, zapewne nie dałaby sobie odebrać ani jednej chwili tego zachwytu. Nie pozwoliłaby żadnemu momentowi życia minąć bez śladu w gonitwie za drobiazgami. Cieszyłaby się wszystkim. Że są jeszcze razem. W tym domu, który tak kochała. Patrzyłaby z zachwytem na wszystko. Na twarze synów oraz męża, na każdy najmniejszy drobiazg. Jakże byłaby szczęśliwa. Została przecież tak hojnie obdarowana.

Ale nie umiała tego w pełni zauważyć ani docenić. Zbyt była zajęta.

Zaraz więc zapomniała o takich głupotach jak zapach bzu. Zerwała się z miejsca, jakby ją ktoś smagnął batem, i pobiegła w głąb domu, bo z kuchni dobiegały jakieś krzyki. Znów się coś przypaliło albo wylało! Sądny dzień! Przecież za chwilę mieli przyjechać goście! Pani Podhorska zaplotła drżące ze zdenerwowania dłonie. Ponad wszystko chciała, by ten ślub był wspaniały. A tymczasem ciągle coś się sypało.



W dniu, w którym skończył się świąt, od rana na podjazd przed dworem zajeżdżały bryczki pełne wystrojonych gości. Byli w doskonałych nastrojach. Witano ich mocnym dworskim napitkiem, więc śmiechy niesły się coraz głośniejsze, a żarty szybko stawały się śmiałe.

Z serdeczną gościnnością przyjmowano najpiękniejsze panny z całej okolicy.

Ale żadna z nich nawet nie spoglądała w stronę Dominika, młodszego syna, który właśnie zamasyście czyścił buty, spluwając na nie obficie, niż rozsądek nakazywał. Jakby to one były wszystkiemu winne.

Wiadomo, liczy się tylko najstarszy, Franciszek! – myślał z goryczą, spoglądając przez okno w stronę brata, który pięknie odziany stał obok ojca. Ciemne gęste włosy cesał mu wiatr.

– Dziedzic i nadzieja rodu! – wyszeptał Dominik niechętnie, po czym rzucił lnianą ścierkę na podłogę i zaklął. – Krucafuks! – Tego słowa nauczył się od ojca.

Skończył z butami, włożył je, po czym przebrał się w nowiutką, białą koszulę. Starannie uprasowana od wielu tygodni wisiała w szafie. Mama martwiła się przygotowaniami, ale prawda była taka, że pod jej czujnym okiem dwór funkcjonował wzorowo, a ślub był świetnie zorganizowany. W każdym szczególe. Ale dziedzicowa ani na chwilę nie traciła czujności. Dziś rano sprawdziła osobiście, czy Dominik dokładnie się ogolił, gładząc go dłonią po policzkach.

Jakby wciąż był dzieckiem! A miał przecież dwadzieścia lat! Czuł się stary.

Tymczasem traktowano go tu jak smarkacza. To się niestety udzielało okolicznym pannom. Znów jakaś jasna sukienka mignęła mu w oddali, usłyszał zalotny śmiech. Nie był skierowany do niego.

To bez znaczenia – pomyślał. – To przecież i tak nie ona się śmiała. Wiadomo. Emilka nadjedzie dziś jako ostatnia. Wszyscy będą na nią czekać. To jej strój, fryzura, twarz staną się najważniejsze. Wywoła sensację i podziw. Choćby i bez ślubnych ozdób była najpiękniejsza.

Dominik zacisnął mocno zęby.

Jak on to wytrzyma?!

Przez szeroką sień dworu szybko przeszły dwie młode dziewczyny. Szeptały sobie coś, bardzo rozemocjonowane. Ale nie o nim. Jego nie zauważyły, choć drzwi pokoju stały otwarte na oścież.

Mimo wszystko szarpnęło nim uczucie przykrości.

Spojrzał na widoczne w sąsiednim pomieszczeniu lustro oraz swoje odbicie. Nawet z tej odległości, nieco niewyraźne i niewielkie, pokazywało, że wygląda dobrze. Jest przystojny tak samo jak brat, a może bardziej. Ma takie same ciemne włosy i oczy w kolorze jeżyn.

No, ale nie jest najstarszy! O tym nie dało się zapomnieć choćby na chwilę.

Ostatni raz rozejrzał się po pokoju, który dotąd dzielił z bratem. Już jutro Franciszek przeniesie się do nowej sypialni, którą rodzice przyszykowali dla nowożeńców. Ściany obito niebieską tapetą, a na środku pyszniło się wielkie łóżko. Okropność! Dominik nie mógł na nie patrzeć.

Jako jedyny członek rodziny nie biegał tam i nie wznosił pełnych zachwyty okrzyków. Niczego nie komentował. Wolał czasy, gdy to pomieszczenie stało zamknięte ze szczelnie zasłoniętymi kotarami. Jeszcze nie tak dawno matka leczyła tam rannych powstańców. Wciąż w podłodze znajdował się schowek. Ukrywali się tam uciekający patrioci. Nawet sam hrabia Potocki.

Rodzice wiele ryzykowali. Na szczęście nikt na nich nie doniósł. Władze carskie nie znalazły dowodów tej działalności, choć różni ludzie włóczyli się nocami wokół dworu, jakby czegoś szukali. Było niebezpiecznie.

Ale strach minął. Miesiące następowały jeden po drugim. Rany powstańców się wygoiły, choć pamięć o trudnych wydarzeniach wciąż była żywa. Dziś jednak cała okolica świętowała. Goście nie myśleli o trudnych sprawach. Wszyscy potrzebowali tej chwili wytchnienia. Nadziei na nowe życie. Odrobiny pięknej normalności.

Taki ślub to wielkie przeżycie dla wszystkich, od najprostszyc ubogich pomywaczek z połamanymi od ciężkiej pracy paznokciami po tłustego sąsiada Podhorskich, zamożnego Brackiego, o którym plotkowano, że potajemnie współpracuje z zaborcą i dlatego tak dobrze mu się wiedzie. Miał być dziś najważniejszym gościem. Nikt nie chciał mu się narazić.

Ku zdumieniu gospodarzy Bracki przyjechał jako jeden z pierwszych. Przechadzał się po dworze i obejmował z rękami założonymi na plecy. Trochę tym stresował rodzinę Podhorskich. Byli jednak wobec niego mili i uprzejmi.

Ten piękny ślub był okazją do świętowania i radości. Wyciągano najlepsze ubrania, strojono panny na wydaniu, cieszone się perspektywą zabawy i dobrego jedzenia. Anna Podhorska słynęła z doskonałej kuchni.

Tylko Dominik wciąż chodził w złym humorze.

– Wielkie wesele! Okropność! – mrucał niezadowolony. Znow miał ochotę splunąć, choć wyglancowane buty, które dawno już miał na nogach, nie dawały ku temu pretekstu.

Nagle poruszenie na podwórzu i jakieś krzyki wyrwały go z zamyślenia.

Do sieni wpadła matka. Spojrzał na jej pobladłą twarz. Od rana mocno przejęta, ciągle ratowała rodzinę z jakiejś katastrofy. A kłopotów w dniu ślubu nie brakowało. Dopiero co przypalił się bigos, a teraz wyraźnie nadciągały kolejne problemy.

Pani Podhorska wmaszerowała do jego pokoju tak szybko, jak tylko pozwalała jej odświętna suknia z dwiema falbaniastymi halkami pod spodem.

– Koń się zerwał! – zawołała z przejęciem. – Dominik! Bój się Boga, czego tak stoisz, biegnij za nim! – Ledwo wyhamowała przed synem, tak była rozpędzona. Jej mąż, godny i dostojny witał właśnie gości przed reprezentacyjnym frontem domu, a ona na zapleczu zarządzała wszystkim, gasząc kolejne pożary. Widać było, że z coraz większym trudem. – W stronę bagien poleciał! – mówiła łamiącym się głosem. – Skaranie boskie dzisiaj z tym wszystkim! Ciągłe coś się dzieje. A przecież zaraz trzeba będzie zaprzęgać do kościoła. Jakże to bez Siwka zrobimy?! Nie uchodzi!

– Ja mam lecieć?! – oburzył się Dominik. W końcu we dworze nie brakowało parobków. A za chwilę mieli przybyć kolejni goście. W tym ta jedna najważniejsza osoba. Emilka. Ojciec z bratem witali wszystkich na podwórzu jak gospodarze, a on miał się uganiać za koniem niczym służba?!

– Dominik, wieczne z tobą utrapienie! – Matka jeszcze bardziej się zniecierpliwiła. – Czego tak ciągle stoisz i bez sensu się pytasz?! Leć! Toż to przecież nie byle koń się zerwał, ino nasz Siwek. Mam ci pięć razy powtórzyć? Sam wiesz, że bez niego do kościoła nie pojedą. Najlepszy jest. Byle kogo nie poślę. – Zdania wydostawały się z niej szybko. Na jednym wydechu. Już się spieszyła dalej. Czeką ją kolejne wyzwanie. Ponoć głupi parobek spił się weselnie już z rana, nie zamknął kozy i ta objadła kwiaty z bramy, którą wczoraj do późna dekorowali. Zżarła najpiękniejsze białe piwonie. Specjalnie od lat hodowane na tę okazję. Tak się cieszone, że zakwitły na czas, a tu takie nieszczęście. Pani Podhorska czuła, że za chwilę się rozpłacze i dojdzie do skandalu.

– Koszulę już włożyłem, spodnie... – Dominik próbował się jeszcze bronić.

– To się nie wybrudź! – Pani Podhorska machnęła dłonią. Miała dość. Normalnie chłopak dostałby teraz ścierką. Ale matka wystroiła się w odświętną suknię, uczesała włosy. Na smukłych nadgarstkach dzwoniły jej bransoletki. Wyglądała bardzo ładnie, dostojnie. Jak na panią we dworze przystało. Ścierka nie pasowała. Dlatego Dominikowi się upiekło.

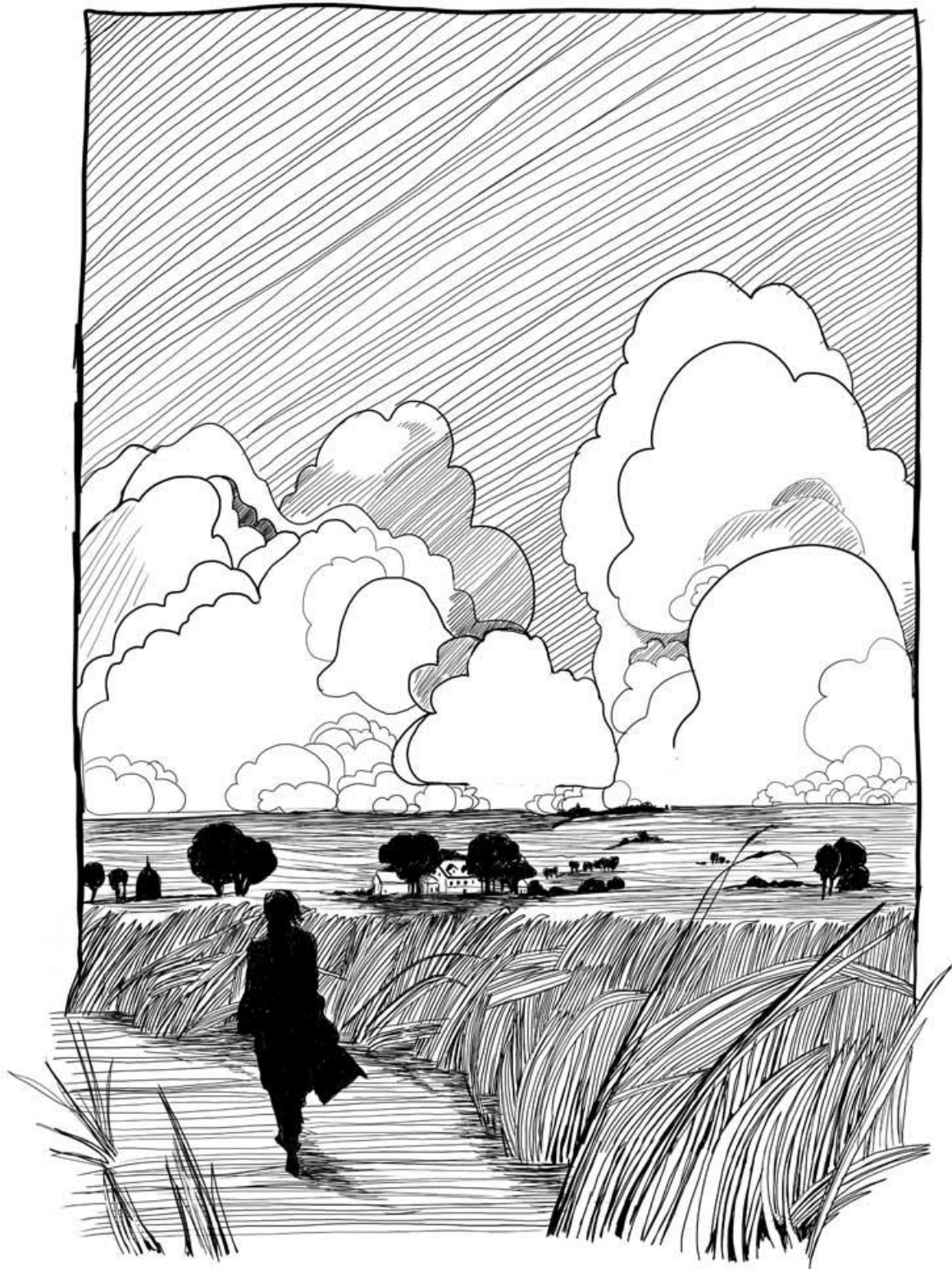
– No leć! – popędziła go znowu. – Bo zawołam ojca, żeby ci do rozumu przemówił – zagroziła.

Nie chciał tego. Dłużej nie czekał. Dziedzic znany był w okolicy ze swego porywczego charakteru. A dziś od rana chodził równie mocno podenerwowany jak jego żona. Nikt się temu nie dziwił. W końcu raz w życiu odbywa się ślub pierworodnego. Dominik musiał to zrozumieć. Jak wiele innych kwestii.

Zacisnął usta i nic już więcej nie powiedział. Poszedł. Nie odwrócił się, nie spojrzał na nią, nic jej nie powiedział. Myślał tylko o swoich troskach.

W sumie nawet mu to było na rękę. Porwał leżącą na komodzie czapkę, nacisnął na głowę, po czym wybiegł z domu. I tak nie mógł tu wytrzymać. Pomyślał, że dobrze mu zrobi, jak się trochę przewietrzy. Postanowił odnaleźć Siwka.

Zanim Emilia przyjedzie, zdąży przecież wrócić. Zostało trochę czasu. Potknął się o kamień, bo znów o niej pomyślał. To mu się ostatnio ciągle zdarzało. Kompletnie stracił dla niej głowę. Od tygodni się zastanawiał, jak ta wyjątkowa dziewczyna będzie dzisiaj wyglądać. Nie umiał sobie wyobrazić sukni ani fryzury, zupełnie się też na tym nie znał. Ale domyślał się, że ciemne loki pewnie jej upną. A te niezwykle oczy zasłoni zapewne ślubny welon.



Od razu robiło mu się za gorąco. Nowa odświętna koszula już lepiła się do pleców, a przecież musiała wystarczyć do nocy.

Wskoczył szybko do stajni.

– Ruszaj się, Józek! – krzyknął. – Siwek się zerwał.

– Znowu?! – Brodaty parobek, dziś wyszorowany i uczesany jak chyba jeszcze nigdy w życiu, zerwał się ze stołka, na którym czyścił ostatnie części uprzęży. Miał na sobie nową lnianą koszulę i świeżo wyprane spodnie, chyba ojcowe, bo nieco za duże, związane w pasie sznurkiem. Już był wyszykowany do kościoła.

– Ano znowu! – zawołał Dominik. – I jak myślisz, kto się za nim będzie po bagnach uganiał?!

Józek się nie odezwał. Nie umiał czytać, nie chodził nigdy do żadnych szkół, a jednak wyprzedzał swoje czasy i doskonale wiedział, co to pytanie retoryczne. A przynajmniej zdawał sobie sprawę, jak się z nim obchodzić, to znaczy: kiedy należy zachować milczenie.

Odłożył uprząż.

– Pomogę. – Szybko wyprowadził konia i razem wskoczyli mu na grzbiet. Jak w czasach, gdy byli dziećmi i włóczyli się godzinami po okolicy, za co potem sprawiedliwie dostawali od dziedzicowej najpierw ścierką po głowie, a potem do ręki po kromce chleba, czasem jak miała dobry humor, nawet z miodem.

Ruszyli na tyły dworskich zabudowań. Dominik jeszcze się obejrzał, zobaczył barczyste plecy ojca oraz ciemną głowę brata. Witali kolejnych gości. Nic go nie tknęło. Żadne przeczucie.

W stronę domu nie spojrział. Gdzieś tam po jego jasnych pokojach, w których się wychował, biegała mama, martwiąc się o zniszczone piwonie, bigos i setki innych drobiazgów. Nie myślał teraz o tym, jak bardzo ją kocha. Czuł tylko żal, że wysłała go w taki dzień, by się uganiał za zaginionym Siwkiem. Nie zatrzymał się, by coś jej powiedzieć.

Popędził tylko konia i szybko wjechali na łąki. Trawa była już wysoka, od strony lasu pachniało czeremchą. Mocny upojny zapach. Dominik go nie zauważał.

– Za co mnie taka kara spotkała?! – wołał, ledwo trochę się oddalili. –Wszyscy dziś wystrojeni, uroczyści, nalewki przepijają, witają gości. Stoją sobie godnie. A ja mam po krzakach za jakimś koniem gonić?!

– Najlepszym – uczciwie sprostował Józek.

– I co z tego?! Czy ja parobek jestem?! – oburzał się chłopak. – Mówię ci, masz lepsze życie. W chałupie cię szanują. Ojciec się z tobą liczy. Żonę też sobie znajdziesz szybciej niż ja.

Józek milczał. Jasne, syn dziedzica miał sporo racji. Z powodu tej trwającej od lat przyjaźni, choć był zwykłym parobkiem, rzeczywiście miał we dworze parę przywilejów. Dziedzicowa zawsze mu dodatkowego grosza rzuciła, żeby miał oko na jej niesfornego syna. W chałupie cieszyli się z tego. Nieraz matce kawałek materiału na suknię przyniósł, albo bochenek chleba czy kawałek kielbasy. Ojciec go faktycznie szanował, liczył się z jego zdaniem, bo Józek, pracując we dworze, dużo wiedział. Często coś podsłuchał albo zobaczył. A jeśli to się nie udawało, Dominik prędzej czy później mu opowiedział.

Józek był znaczący w swojej rodzinie, podczas gdy Dominik u siebie musiał walczyć o każdą chwilę uwagi.

Ale syn dziedzica widział tylko to, co chciał. Nie umiał dostrzec drugiej strony medalu. Głodu w chłopskiej chacie. Nieustającej biedy. Matki, której wiecznie okrągły brzuch co roku dodawał rodzinie kolejnego dzieciaka do wyżywienia. Trzeba było się głowić, skąd wziąć jeszcze jeden kubek mleka, kromkę chleba, słuchać, jak maluch płacze w zimne poranki, kiedy brakowało drewna, by zapalić w piecu. Nie patrzył, jak ciężko ojciec haruje na każdą łyżkę zupy dla swoich dzieci.

Przy tym wszystkim życie Dominika w starym dworze było bajką. Jego ojciec był świetnym gospodarzem, wszystko tam chodziło sprawnie. Ale on tego nie rozumiał. Nie miał przecież porównania. A nie było rolą parobka, choćby i zaufanego, tłumaczyć życie synowi właściciela dworu.

Dlatego Józek często milczał.

– Cisnąłbym tym wszystkim i wyjechał gdzieś daleko! – wyobraźnia Dominika pracowała szybko. Już widział, jak natychmiast, dziś wieczorem, zaraz po ślubie, ale jeszcze przed tą brzemiennej w znaczenie nocą, Emilka błaga go, by ją porwał. A potem pędzą razem przez mroki, mocno do siebie przytuleni, gdzieś daleko, gdzie nikt nie wie, kim są Podhorscy. Dominik nawet nie umiał sobie wyobrazić takiego miejsca. Wydawało mu się, że jego rodzina jest wszędzie znana. Nigdy w życiu nie

spotkał człowieka, który by nie wiedział, kim jest jego ojciec. Dziedzic Podhorski. Dobry gospodarz i pan. Przykładny patriota, ryzykujący wiele w walce o dawno utraconą wolną ojczyznę. Każdy przynajmniej o nim słyszał.

Ale ponoć, jak mawiał ksiądz, świat jest wielki i ciągnie się daleko za granicę ich powiatu, szerokiej wstęgi rzeki czy okolicznych przepastnych lasów.

Wydawało się to niemożliwe.

Józek wciąż milczał. Nie rozumiał, czego syn dziedzica chce. Dlaczego wiecznie mu się pali pod czapką. Co nie pozwala mu siedzieć w jednym miejscu i cieszyć się tym, co ma?!

– Czego by tam panicz szukał w tym wielkim świecie? – zapytał, bo ciekawość okazała się silniejsza. Józek drapał się po głowie, przerażony perspektywą opuszczenia bezpiecznych granic wioski. Nawet samą myślą o tym. – U nas przecie wszystko jest – dodał z przekonaniem.

– Ale nie dla młodszych synów – upierał się Dominik. – O nich nikt nie myśli! Liczy się tylko Franciszek. Starszy, na dodatek taki przystojny – naśladował z ironią głos matki. – I dziś ożeni się z posażną panną. Ale nie da jej szczęścia!

– Bójcie się Boga, paniczu, dlaczego?! – zdumiał się tymi słowami parobek.

– Bo nie wie, jak ją kochać – odparł dobitnie młodszy syn Podhorskich.

W prostej głowie Józka nie po raz pierwszy pojawiła się pustka. Niczego nie rozumiał. Miłość to przecież niezwykle mało skomplikowana sprawa. Wiedział to. Miał już okazję potarmościć na sianie jedną z pokojówek. Pewnie się z nią ożeni, a ona potem przytyje, urodzi mu mnóstwo dzieci, by następnie przez całe lata każdego dnia o różne rzeczy suszyć mu głowę, zrzedząc od rana. Taka kolej rzeczy i nie ma co nad tym debatować. Tymczasem Dominik nigdy nie przestawał dzielić włosa na czworo. Wciąż miał jakieś przemyślenia i to na każdy temat. Józek czasem czuł, że pęka mu od tego wszystkiego głowa.

Jechali jeszcze dość długo. Obaj czujnie wpatrywali się w leśną gęstwinę. Znali obyczajnie najlepszego dworskiego konia. Zwykle uciekał w swoje stałe miejsca. Ale sprawdzili już kilka i nigdzie go nie znaleźli. Czas płynął, robiło się coraz bardziej nerwowo. Dominik zapomniał na chwilę o swoich żalach. W gruncie rzeczy nie chciał, by cokolwiek zepsuło bratu ten najważniejszy dzień. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że to mocne rodzinne pragnienie, by wszystko udało się świetnie, trwało też i w nim. Kochał brata, choć ten od urodzenia wszystko mu zabierał. Zabawki, uwagę rodziców, słodkości darowane przez piastunkę, potem przywództwo w grupie rówieśników, a na koniec pierwszą miłość.

– Jest – wyszeptał bezgłośnie Józek, który w milczeniu przyglądał się poważnej twarzy dziedzicowego syna. Obaj poczuli ulgę, gdy wreszcie w oddali zobaczyli dobrze znajomą sylwetkę dworskiego konia. Czas już był najwyższy. Słońce stało wysoko i z pewnością należało spieszyć się do kościoła.

– Jest – powtórzył Dominik to samo słowo. Na szczęście Siwek nie zmienił całkiem swoich obyczajów. Tutaj też nieraz go odnajdywano. Spojrzeli na wielką taflę wody. Stawy ciągnęły się daleko aż po linię boru. Zaraz za nimi zaczynały rozległe bagna. Tutaj uciekał od lat nie tylko najlepszy koń z dworu, lecz także młodszy syn dziedzica ze swoim przyjacielem. Znali te tereny najlepiej. Nie bez powodu pani Podhorska oddelegowała ich do tego zadania.

– Cicho – nakazał Dominik, choć Józek dobrze wiedział, jak się zachować, i nie wydawał nawet najłżejszego dźwięku. Dominik szybko zeskoczył z konia, po czym sprawnie podszedł do Siwka. – Chodź, kochany! – powiedział z czułością.

Zwierzę spokojnie słuchało znanego głosu. Wiadomo było, że teraz bez oporu wróci do domu. Szybko mijały mu chwile buntu. Zrywał się nagle i gnał przed siebie, ale zaraz potem pokorniał, by przez kolejne tygodnie znów wiernie służyć rodzinie. A najbardziej kochał Dominika. Chłopak przytulił głowę do jego szyi. Przymknął powieki i oczywiście od razu zobaczył twarz Emilii. Delikatne policzki, piękne oczy, ciemne gęste rzęsy, a także pełne malinowe usta. Znał każdy szczegół.

Czy to możliwe, że taka wspaniała dziewczyna kochała jego brata?! Franciszek, mimo że dość przystojny, był przecież taki zwyczajny. Mówił i rozumował prosto, jak ojciec. Nie miał żadnych marzeń, prócz spokojnego życia. Nie ciekawił go świat. Książki służyły mu tylko za schowek dla tytoniu. Emilia z pewnością potrzebowała czegoś więcej.

Dominik marzył o niej każdego dnia. Nie wiedział, jak przeżyje to całe wesele, a przede

wszystkim następującą po nim noc. Wszystko się w nim gotowało, kiedy sobie wyobrażał Emilkę, taką delikatną i niewinną, w jego ramionach. Za silnych.

Noc poślubna! To słowo wywoływało w nim grozę.

Nie wiedział, że nim zajdzie słońce, jego świat się skończy i wszystko, co znał, zniknie na zawsze. A zmartwienia, które tak go teraz przygnębiały, okażą się lekkie niczym nasiona dmuchawca wobec prawdziwego dramatu, z jakim przyjdzie mu się zmierzyć. Nie spodziewał się, że jego lekkim głosem wypowiedziane marzenie się spełni. Naprawdę przyjdzie mu uciekać pod osłoną nocy tak daleko, jak tylko snuć się będzie droga. Do miejsc, gdzie nikt nie miał pojęcia, kim jest rodzina Podhorskich. Istniały takie. Było ich więcej, niż sądził.

Życie czasem uderza mocno. Bez ostrzeżenia.

ROZDZIAŁ 2



Gdzie panienka?! – Anna Łacka stanęła w progu swojego dworu. Stary budynek z lewej strony lekko się chylił ku ziemi, krzywy ganek oplatał zwykły bluszcz, ale w klombie na środku pyszniły się kolorowe naparstnice, jakby chciały wyraźnie powiedzieć, że nie ma co myśleć o szczegółach, tylko cieszyć się życiem, bo jest piękne.

Dziedzicowa przyłożyła dłoń do czoła i rozglądała się po podwórku. Jednak nawet najlepszy wzrok nie pomoże znaleźć czegoś, czego nie ma. Służba udawała, że nie słyszy. Zadane przed momentem pytanie było niczym gorący kartofel. Nikt go nie chciał trzymać w dłoniach.

– Gdzie panienka? Pytam! – Dziedzicowa podniosła głos.

Stanisława Zychówna – szesnasta bona, jaką zatrudniono w ciągu ostatnich lat, by pomagała w wychowaniu jedynej córki dziedzica Łackiego – właśnie zrozumiała, dlaczego tak łatwo dostała tę pracę. Nikt, kto choć trochę się orientował w rodzinnych układach, po prostu jej nie chciał.

– Z pewnością jest za domem – powiedziała szybko lekko zachrypniętym głosem. – Przed chwilą ją widziałam na huśtawce. Zaraz sprawdzę.

Pobiegła, po kilku krokach dostając zadyszki. Pulchna sylwetka nie sprzyjała takim wyczynom. Nie do tego też została zatrudniona, by się uganiać ze siedemnastoletnią panną, lecz uczyć ją manier i gry na instrumencie.

– Migiem! – poleciła ostro dziedzicowa Łacka, jeszcze ją popędzając, aż kobieta się potknęła. – Miałaś jej nie spuszczać z oka. Wy też! – krzyknęła w stronę służby, przezornie pochowanej już w dworskich zabudowaniach. Jeszcze chwilę temu na podwórzu kręciło się sporo osób, teraz jakby powiał gwałtowny górski wiatr i wszyscy zniknęli. Stanisława nie po raz pierwszy obserwowała to zjawisko.

– Co to znaczy, żeby tyle ludzi nie mogło upilnować jednej zaledwie dziewczyny?! Na darmo wam grosz płacimy... – Pani Anna wróciła do środka, ale jej głos jeszcze chwilę niósł się na podwórzu.

Nikt się nie odzywał. Nie miało to sensu. Każdy i tak wiedział swoje. Upilnowanie paniuki Julianny byłoby zadaniem ponad siły nawet dla dobrze wyszkolonego pułku wojska. Potrafiła zniknąć i ludzie gadali, że może to nie zwyczajna umiejętność, ale jakieś tajemne moce, które zapewne odziedziczyła po prababce. Lepiej z nimi nie zadzierać. Zgroza człowieka zdejmowała na samą myśl. Każdy we dworze choć raz to przeżył. Na własne oczy widział Juliannę grzecznie się bawiącą w ogrodzie, a już za moment jej tam nie było.

Na początku szukali, ale potem nikt już nie podejmował tych prób, z góry skazanych na porażkę.

Wystarczyło przymknąć powieki, a ona zniknęła. Nikt przecież nie potrafi godzinami nie mrugać. Poza tym i tak starania nie przynosiły efektu. Żadna siła nie mogła zatrzymać Julianny tam, gdzie dziewczyna nie chciała być.

– Mówię ci, musisz coś zrobić! – Przez otwarte okna dworu słychać było podniesiony głos dziedzicowej Łackiej. – Ona za nic ma ludzkie gadanie, a to dla młodej paniuki wielkie niebezpieczeństwo. Największe.

– Co proponujesz? – Cichy głos dziedzica ledwo dało się słyszeć.

– Natychmiast wydać ją za mąż! – stanowczo odpowiedziała jego żona. – Za jakiegoś silnego mężczyznę, który ją wreszcie okiełzna.

Odpowiedziało jej milczenie. Dziedzicowa Łacka bez problemu zrozumiała, co mąż próbuje jej przekazać, choć nie padło ani słowo.

– Nie mów mi nawet – oburzyła się – że na tym świecie nie ma ani jednego kandydata, który byłby w stanie doprowadzić przed ołtarz naszą córkę. Nie takie odporne za mąż wychodzą!

Znów zapadła cisza. A służba na podwórku pilnie podsłuchująca tę dobiegającą przez otwarte okno rozmowę tylko wymieniła między sobą ukradkowe spojrzenia. Każdy parobek, dziewczka kuchenna, czy nawet gospodyni, która wyszła na chwilę, pozornie pod pretekstem nacięcia świeżej cebuli do

ziemniaków, wiedzieli, jak jest. Niektórzy przez chwilę próbowali sobie wyobrazić tego odważnego, który zaciągnąłby panienkę Juliannę do ołtarza wbrew jej woli. Różne obrazy migwały im przed oczami. Ale żaden nie przewidywał sukcesu. Od lat nie można jej było namówić do zjedzenia zupy, jeśli tego nie chciała, a co dopiero do podjęcia tak ważnej decyzji.

Ależ to byłby skandal. Uciekłyby sprzed ołtarza. Z powozu, czy jeszcze wcześniej, z własnego pokoju. Dla niej to pestka. Zresztą nawet nie doszłoby do oświadczyn. Mężczyzn przeganiała równie skutecznie jak bony i opiekunki.

A najdziwniejsze, że jednocześnie była to słodka, urocza, łagodna, niewinna niczym prawdziwy anioł dziewczyna. Miała miękkie, jasne włosy i błękitne oczy. Nigdy na nikogo nie podniosła głosu. Zawsze pomagała w potrzebie. A kiedy ją ubrano w jasną sukienkę i zawiązano wstążkę na pięknym warkocz, wyglądała jak wzór pokory panińskiej.

Jednak tkwił w niej mocny duch. Niespotykany.

Tego połączenia nikt jeszcze nie rozgryzł. I chyba się taki mężczyzna niestety po świecie nie błąkał, który by rozwiązał taką zagadkę. W każdym razie w okolicy takiego nie było. Bo niejedyn już próbował zawalczyć o rękę i posąg tej ślicznej dziewczyny. Zawsze źle się to kończyło.

– Odezwij się chociaż! – zawołała dziedzicowa do męża, a służba pod oknem nadstawiła uszu. Gospodyni przestała udawać, że ścina cebulę. Weszła głębiej pod wielki krzak kwitnącego bzu. – Co będzie, jak to się rozniesie? – denerwowała się pani domu. – Panienska z takim nazwiskiem nie może zachowywać się dziwnie. To najgorsze, co może być. Kto ją będzie chciał?! Boże broń, jeszcze starą panną zostanie!

– Nie chcę ci robić przykrości – odpowiedział jej mąż spokojnym głosem. – Ale to w stronę twojej rodziny ona ciągnie. Jej prababka...

Okno nagle zatrzasnęło się z hukiem. Służba niczego już więcej nie usłyszała. Ale nie załamywali rąk z tego powodu. Każdy i tak swoje wiedział. Historia najważniejszej rodziny w okolicy była dobrze znana. A obawy dziedzicowej co do plotek o jej córce niepotrzebne. Panienkę Juliannę znali wszyscy i niewiele w jej sprawie dało się ukryć.

– Wyjdzie za mąż – westchnęła gospodyni. – Wszyscy to zobaczą. I nikt się nie ucieszy. Zrozumie, jak każda, że nie ma wyboru. Jedyna droga przed nią. Musi chronić ród. A takiego chłopca, co by jej był godny, w okolicy nie ma.

– Więc zostanie panną – nieopatrznie odezwała się Basia, pokojówka.

– Głupiaś! – skarciła ją gospodyni. – Wyjdzie za tego, kto jest! Tylko z tego da się przecież wybrać. I to będzie smutne. Jak los. Co na niego poradzisz?

Wszyscy poschylali głowy. Nikt już nie odpowiedział. Nie tracili jednak nadziei, że panience się uda. Ta surowa przepowiednia się nie sprawdzi. Choć faktycznie nie można jej było odmówić logiki.



Julianna biegła w dół, środkiem górskiej łąki, wypełnionej o tej porze łanem maków i złocieni. Matka zabraniała jej chodzić po wysokich trawach ze względu na żmije. Ale prababcia mówiła, żeby się nie bać. Więc Julianna się nie bała. Słowo prababci miało dla niej najwyższą wagę.

Śmiało przeskakiwała przez wysokie kępy mrowisk, gładziła dłonią główki kwiatów, wdychała przesycone ich zapachem powietrze, a policzki smagało jej słońce. Wbrew wszelkim nakazom matki, by chronić jasne policzki i gładkie czoło.

Jednym sussem pokonała wartki strumyk, w sposób niegodny panienci, pokazując światu kolana. Zatrzymała się na moment i zapatrzyła na żółte główki kaczeńców. Prababcia mówiła, że naprawdę ten kwiat nazywa się kniec błotna, ale Julianna uważała, że to skandal mówić tak brzydko na tak ładną roślinkę.

Czas gonił, ale zatrzymała się i chłonęła piękno majowego poranka. Ciepłe promienie słońca grzały jej plecy i głowę.

Dłonie wciąż pachniały zbieranymi o poranku ziołami. To o tej porze, w słoneczny dzień, miały najbardziej intensywny aromat, a także najwięcej mocy. Wykonały dziś sporo pracy. Maj to gorący czas.

Kwitnie bez czarny, krwawnik, rumianek, pokazują się młode liście pokrzywy, czarnej porzeczki, maliny i wiele innych. Mnóstwo dobra, które nie mogło się zmarnować.

Julianna chciała jeszcze działać, ale prababcia Antonina nakazała jej przerwę, żeby nie drażnić rodziców. Teraz kilka godzin trzeba będzie poświęcić na granie na klawikordzie, wyszywanie wzorów na serwetkach, dobrze, że chociaż kwiatowych, dzięki temu dziewczyna mogła wyobrażać sobie, że jest z prababcią i robi coś pożytecznego.

Świat był taki piękny. Ale życie już nie. Ciągłe działo się coś złego. Bieda w wioskach zabierała dzieciom ich matki. Alkohol zmieniał ojców w brutali. Ciemnota nie pozwalała się leczyć, ratować.

We dworze, choć głód nie doskwierał, też nie brakowało trosk. Ojciec uparcie próbował żyć jak dawniej. A tymczasem pola przynosiły coraz mniej plonów. Czasy stawały się trudniejsze, a on niczego nie zmieniał. Niekiedy tylko po cichu odchodziła jakaś pokojówka, a mama szczególnie długo ustalała z kucharką tygodniowe menu. Niepotrzebny trud, bo ojciec i tak wszystko zmieniał, jak tylko zobaczył, że długą żwirową drogą wśród lip do dworu jadą jacyś goście. Dysponował obfite posiłki i wyszukane potrawy, na które nie było ich stać.

Julianna westchnęła. Rodzinne troski już od dłuższego czasu siedziały jej na ramionach.

W domu robiło się coraz bardziej duszno. Od tych wszystkich niewypowiedzianych pretensji. Bieda zaglądała wszędzie, konsekwencje sytuacji polskiego narodu również, choć oczywiście we dworze miały one inną twarz niż w chłopskich chatach. Nie głodu, chorób i zimna, lecz ograniczeń stylu życia, możliwości i perspektyw dla kolejnych pokoleń. Matka widziała tylko jedno lekarstwo: wydać dobrze córkę za mąż.

Julianna ruszyła dalej. Przeskoczyła kolejną kępę maków. Miała nawet takie myśli, by się poświęcić. Zrobić grzecznie to, czego rodzice od niej oczekują. Ale prababcia stanowczo jej odradzała. Mówiła, że dobre rzeczy mogą się rodzić tylko z prawdy. A tej w rodzinnych planach matrymonialnych nie było. Ponieważ Julianna nie chciała wychodzić za mąż.

A tymczasem na wieczór znów zaproszono gości. Zapewne nie bez powodu.

ROZDZIAŁ 3



Józek spojrział na słońce. Stało już bardzo wysoko ponad koronami drzew.

– Późno jest, panie – powiedział, zwracając się do Dominika. – Musimy wracać. Jakże oni pojedą do kościoła bez Siwka?

Czy pojedą beze mnie? – zastanowił się syn dziedzica, ciągle mocno skoncentrowany na swoich problemach. Faktycznie czas jakby przyspieszył, minuty uciekały w zastraszającym tempie. Nie zdawali sobie sprawy, że tak długo błądzą po lesie. Powrót też dziwnie się przeciągał. W pewnym momencie nawet zgubili drogę, choć coś takiego nie przydarzyło im się od lat. Dominik zaczął się poważnie obawiać, że naprawdę się spóźnią.

Przyspieszyli. Wreszcie ścieżki w lesie zrobiły się szersze, do dworu było już niedaleko.

Nagle ogarnęła ich złowroga cisza. Jakby na moment cała przyroda zatrzymała się we wszystkich życiowych procesach. Nawet ptaki przestały śpiewać, wiatr ustał. Dominikowi wydawało się, że w oddali słyszy strzały, ale to zdarzało się często ludziom, którzy przeżyli bitwy. Wiedzieli, co to strach i ciągle nasłuchiwanie. Czasem zmysły myliły.

Matka cierpliwie uczyła ich nie podskakiwać na każdy głośniejszy dźwięk. Nie zawsze przecież oznacza to wojnę czy atak.

Dominik machnął dłonią, próbując bagatelizować przerażenie, które złapało go za gardło. Było przecież nieuzasadnione. To dzień ślubu, śmiechu i radości. Próbował to sobie przypomnieć wbrew dziwnemu przeczuciu, że właśnie nadciąga jakaś straszna katastrofa.

Gwałtownie zmienił front. Nagle przypomniały mu się wszystkie dobre rzeczy.

Postanowił nie myśleć już więcej o swoich zmartwieniach, związanych z faktem, że nie był pierworodnym synem. I tak miał przecież dobrze. Mieszkał we wspaniałym dworze, jednym z najpiękniejszych w okolicy. Doskonale i gospodarnie prowadzonym przez rodziców. Był lubiany także w chłopskich chatach, bo ojciec dbał o mieszkańców związanych z majątkiem wiosek. Mama go kochała.

I tylko te oczy Emilki, o których nie sposób było zapomnieć, nie pozwalały mu w pełni cieszyć się chwilą.

Znów usłyszał ten dziwny dźwięk. Drgnął. Józek spojrział na niego równie mocno zaniepokojony.

– Słuchaj! – powiedział do niego syn dziedzica. – Czy tobie też się wydaje, że tam strzelają? Wiele razy?

– Może to na wiwat? – Parobek przełknął ślinę przez zasnurowane równie mocnym strachem gardło. Wszyscy tu mieli podobne wspomnienia. Starał się uspokoić.

Popędził konia, ale nie pozwolił mu przejść w galop. Musieli uważać.

Ucieszył się jak nigdy, zobaczywszy znajomą ścieżkę, prowadzącą już prosto w stronę dworu.

Dominik chciał jeszcze bardziej przyspieszyć. Ale koń zrobił się niespokojny. Rżał, stawiał opór, a nawet podskoczył przednimi kopytami mocno do góry, omal nie strącając jeźdźca.

– Co tobie, Siwek? Co tobie? – zapytał Dominik i pochylił się nad jego głową. Potem jednak się wyprostował. Miał wrażenie, że czuje zapach dymu, ale wiatr gwałtownie zmienił kierunek i nieokreślone wrażenie umknęło. Próbował jechać szybciej, gdy nagle na zakręcie zobaczył Józkowego brata, a zaraz potem także jego ojca. Stary Brzeźnik stał, podpierając się sękatym kijem. Obaj mężczyźni wyglądali bardzo dziwnie. Ich odświętne ubrania były potargane, a twarze brudne.

Stali na środku drogi z zaciętymi, ponurymi minami, jakby mieli zamiar zatrzymać jeźdźców.

– Co jest?! – Dominik zeskoczył z konia. A wtedy oni obaj złapali go szybko, wykręcili mu ręce do tyłu, powalili na ziemię, a następnie związali. – Co robicie?! – zdążył jeszcze zawołać, zanim brat Józka związał mu usta jakąś szmatą.

– Bójcie się Boga! – Józek podbiegł do nich, gotów się bić, ale ojciec odsunął go stanowczo.

– Cicho! – powiedział mocnym, groźnym tonem. – Nie odzywaj się!

Oszołomiony Józek cofnął się o krok. Nie mógł pojąć, co się dzieje.

Dominik leżał na ziemi. Zaskoczenie odebrało mu wszystkie siły, a także zdolność myślenia. Zaatakowali go bliscy mu ludzie, których znał od dzieciństwa, wydawało się, że doskonale. W domu Józka czuł się jak u siebie, bywał tam często. Od jego ojca doświadczył wyłącznie dobrych rzeczy. Brzeźnik był jednym z kluczowych gospodarzy współpracujących z jego ojcem. Co się nagle stało?! Dlaczego tak się zmienił?

– Obaj cicho! – powiedział szybko ojciec Józka. – Pan Podhorski kazał cię związać – zwrócił się do Dominika. – To rozkaz.

– Jego tata? – Józek palnął się w czoło. Miał wrażenie, że ojciec oszalał.

– Tak – potwierdził stary Brzeźnik, a starszy syn na potwierdzenie kiwnął głową. – Kazał cię związać, dopóki nie wysłuchasz wszystkiego, co powiem, i nie będzie pewności, że nie rzucisz się natychmiast, żeby lecieć do dworu.

– Co się stało? – Józek usiadł na trawie. Dłonią mocno ścisnął koniec sznurka, do którego przywiązany był Siwek. W lot zrozumiał, że musiało się wydarzyć coś strasznego, a bezpardonowy atak jego ojca ma niestety swoje głębokie uzasadnienie.

Do Dominika to chyba nie docierało. Ale Józek już wiedział. Jego oczy nagle zrobiły się puste jak u każdego człowieka, co staje bezradny wobec okrucieństwa, przed którym nie sposób się obronić. Tak wielkiego, że wydaje się niewyobrażalne.

Ojciec oddychał głęboko. Patrzył na panicza wciąż przygwożdżonego do ziemi.

– Podnieście go – nakazał swoim synom. – Oprzyjcie o drzewo.

Dominik zaczął się szarpać.

– Jeśli się panicz nie uspokoi, nic nie powiem. – Głos starego Brzeźnika był stanowczy jak nigdy. Nie było w nim zwykłych nut sympatii ani też odczuwalnej zazwyczaj różnicy stanu. Rozmawiał z Dominikiem jak równy z równym.

Tamten przestał się rzucać. Spojrzał na niego, kiwnął głową. Chciał usłyszeć, co się stało.

– Pół godziny temu wojska carskie najechały na dwór – zaczął powoli Brzeźnik. Wyraźnie szukał odpowiednich słów. – Ktoś doniósł. Wiemy, kto – dodał od razu i Dominik domyślił się, że to Bracki, sąsiad, którego dziś zamierzano podejmować ze szczególną gościnnością. Aż mu się niedobrze zrobiło.

Jak można zdradzić rodaków, bliskich ludzi?! Mało mieli zewnętrznych wrogów?!

– Ukrywano u was powstańców i organizowano pomoc – mówił dalej Brzeźnik. – Podobno nawet zbierało się tu dowództwo. A twój ojciec ich wspierał. – Dominik wytrzeszczył oczy. Owszem, wszyscy walczyli w obronie ojczyzny, ale takie rzeczy nie miały miejsca. Wiedział o tym. Ratowali rannych, karmili, wspierali, ale nie byli centralą dla dowodzących. Każdy sobie z tego zdawał sprawę.

Miał chyba swoje myśli wypisane w oczach, bo Brzeźnik zareagował, smutno kiwając głową.

– To nie ma znaczenia, co jest prawdą – powiedział, szybko pozbywając Dominika złudzeń, że jakiegokolwiek dyskusowanie o faktach będzie miało sens. – Taki był donos! Carskim sługusom to wystarczyło.

– Ale co się stało? – zapytał Józek. Już od paru chwil w napięciu wstrzymywał oddech. Miał za dużo złych podejrzeń. Chciał się uspokoić. Usłyszeć, że to tylko jakaś zwykła burda na weselu. Przyjechali, postraszyli, ale potem dostali wódkę, kiełbasę i poszli.

Jego ojciec tylko pokręcił głową. A potem zaczął mówić.

– Był pożar – zakaszłał, kontynuowanie opowieści przychodziło mu z coraz większym trudem. – Zajęły się stajnie i stodoły, ale nowy właściciel szybko ugasił ogień, zanim zdążył podejść pod dom – dokończył pospiesznie.

Dominik poruszył się. Brzeźnik zdjął mu szmatę z ust. Chłopak chyba zaczynał coś rozumieć. Uznał, że nie zacznie krzyczeć. Jednak na razie nie zamierzał go rozwiązywać. Jeszcze nawet nie zaczął przekazywać tego, co najgorsze.

Oczy Dominika były ogromne, pełne przerażenia.

– Co to znaczy nowy właściciel? – zapytał szybko, plując resztkami nitek.

Ojciec Józka zrobił chwilę przerwy. Dłonie mu drżały, zaplatał nerwowo grube przyzwyczajone do ciężkiej pracy ręce.

– Pan dziedzic Podhorski próbował się bronić, ale nie miał wyjścia. Na podwórzu było mnóstwo ludzi. Wszyscy goście, kobiety, dzieci... A carscy mieli karabiny gotowe do strzału. Rodzina musiała się poddać. W zamian za to, że wszyscy pozostali goście zostali wypuszczeni. Inaczej doszłoby do prawdziwej jatki.

Wypowiedział to wszystko i otarł pot z czoła. Zaczynał się trząść ze zdenerwowania, a jeszcze przecież nie dotknął najważniejszego tematu. Coraz mocniej czuł, że dziedzic powinien być do swojej misji wybrać kogoś innego. Bardziej kompetentnego. Ale stało się. Na jakąkolwiek zmianę było już za późno.

Dominik tylko patrzył. Mógł już teraz mówić, ale nie był w stanie. Jego pytania zawisły w powietrzu. Nagle przestał się czuć tak bardzo dorosły. Zaprzagnął ponad wszystko, by ojciec teraz stanął obok niego. Wy tłumaczył to, co niemożliwe do zrozumienia.

– Przyszło dużo wojska, otoczyli dom... – odezwał się znowu Brzeźnik. Zaciśnął dłonie i mocno zaczerpnął powietrza. Postanowił tym razem zakończyć opowieść. – Mieli to zaplanowane – dodał. – Twój ojciec się poddał, żeby wypuścili gości. Tak zrobili. Wtedy dał mi do ręki to. – Stary Brzeźnik włożył dłoń do kieszeni, po czym wyciągnął garść drobnych monet. – Tyle tylko miał przy sobie, dla żebraków pod kościołem i może dla organisty z okazji wesela. – Broda mu zadrżała, bo kontrast pomiędzy tym, jak miał wyglądać ten dzień, a co się naprawdę stało, był porażający. – To dla ciebie – powiedział, kładąc je Dominikowi na kolanach. – Reszta przepadła. Wszystko – westchnął ciężko. – Jeśli nie będziesz krzyczał, obiecuję, że powiem ci więcej, ale musisz być cicho. Oni cię szukają! A my jesteśmy za blisko domu. Mamy mało czasu. Jeśli zaczniesz krzyczeć, natychmiast zakneblujemy cię z powrotem – zagroził.

Widać było, że to wszystko sprawia mu ogromną trudność. Sam jest też w szoku. Ale trzymał się, zdecydowany wypełnić swoje zadanie.

Dominik kiwnął głową. Był przerażony, ale jego umysł pracował z zimną precyzją. Wszystko dobrze słyszał i co najgorsze, rozumiał.

– Co z moim ojcem? – zapytał, kaszląc intensywnie.

Ojciec Józka spodziewał się tego pytania. Znowu zaczerpnął głęboko powietrza, spojrzał na drugą stronę drogi prowadzącej do dworu. Wiedział, że musi się spieszyć.

– Dziedzic nie żyje – powiedział szybko. A Dominik poczuł, jakby coś nagle przecięło czas. Krótkie zdanie rozplatało brutalnie jego życie na dwie części: przed tym momentem i po nim. Jakby już wiedział, że od tej pory niewiele będą miały ze sobą wspólnego.

– A mama? – Nie chciał tego słyszeć, a jednocześnie nie mógł przestać wpatrywać się w usta Brzeźnika. Czekać na odpowiedź.

– Także. – Brzeźnik kiwnął głową i Dominik w pierwszym momencie nie zrozumiał Co „także”? Nie żyje?! Przecież to niemożliwe!

Ale ojciec Józka ciągnął swoją opowieść dalej, teraz już nie zważając na nic. Ból doszedł do punktu, w którym nic się już nie czuje.

– Zginął także twój brat – powiedział. – Niestety rzucił się bronić ojca, ale pewnie i bez tego nie uniknąłby swojego losu. Powiedzieli, że tylko wtedy będzie spokój, jeśli żaden dziedzic nie będzie się plątał po okolicy i robił kłopotów.

Ostatnie pytanie nie mogło Dominikowi przejść przez usta. Był na siebie zły. Mama, tata, brat, najbliżsi, najukochańsi ludzie. Gorzko teraz pożałował każdego złego słowa wypowiedzianego dzisiaj, każdej myśli. Bardzo ich kochał. Ogromnie. A tymczasem teraz najbardziej drżał o nią!

– Ktoś jeszcze? – wyszeptał, patrząc w bok. Miał nadzieję, że tym razem padnie inna odpowiedź. Przecież Emilka nie należała jeszcze do rodziny. Młodzi narzeczeni nie zdążyli pojechać do kościoła.

Pewnie pozwolili jej odejść razem z rodzicami – pomyślał z nadzieją. – Ojciec Józka wspominał, że wypuścili wszystkich gości. Wszystkich gości! Uchwycił się tego faktu.

Stary gospodarz tylko westchnął. Miał dużo dzieci i spore doświadczenie, a twarde życie nauczyło go czytać z ludzkich twarzy. Niestety przede wszystkim cierpienie.

– Mogła odejść – powiedział cicho, a wszyscy domyślili się, kogo ma na myśli. – Ale tego nie zrobiła. Kiedy kazali najbliższej rodzinie stanąć pod ścianą, poszła razem ze swoim narzeczoną.

Skończył. Pochylił się mocno, opierając dłońmi o kolana, jakby już nie miał siły stać.

– Nie wierzę – wyszeptał Dominik. – Nie wierzę! – powtórzył. – Dlaczego to zrobiła?

– Nikt nie wie – odpowiedział mu brat Józka, bo ojciec wyczerpał już wyraźnie wszystkie siły. – Jej rodzice krzyczeli, próbowali ją ciągnąć na siłę do powozu. Nie dali rady. Tak zdecydowała. Może myślała, że się ulitują. Strzelić do panny młodej to nie taka prosta sprawa. Ale tak się właśnie stało. Na oczach tych, którzy nie uciekli w pierwszej chwili, służby i rodziny. A także Brackiego, któremu nawet powieka nie drgnęła.

W tym momencie Dominik zemdłał. Jakby go nagle odcięto od zmysłów. Litościwie, bo chyba serce by mu pękło. Ale niestety ten patent podziałał tylko na krótko.

Obudził się chwilę później, bo twarz obijała mu się boleśnie o bok konia. Ktoś go wrzucił na grzbiet Siwka i bez ceregieli szybko prowadził w głąb lasu. Tam, skąd przed momentem wrócili.

– Co wy ze mną robicie?! – krzyknął chłopak i szarpnął się, omal nie spadając z konia.

– Cicho! – Brat Józka natychmiast zacisnął mu dłoń na ustach. – Cicho! – powtórzył.

Zatrzymali się. Znowu jak poprzednio posadzili go pod drzewem. Widać ich misja jeszcze się nie skończyła. Chcieli się tylko oddalić.

– Nie wolno ci wracać do dworu! – zaczął szybko stary Brzeźnik. Oddychał pospiesznie i co rusz odwracał głowę w stronę drogi. – Tak stanowczo nakazał twój ojciec. Nie wolno ci wracać do domu! – powtórzył z naciskiem. – Nie wolno ci nikomu powiedzieć, jak się nazywasz. Masz wsiadać na konia i gnać w przeciwnym kierunku. Tak daleko, jak poprowadzi droga.

Dominik się przeraził. Usłyszał bowiem nagle swoje własne słowa. Wypowiedziane lekko jeszcze nie tak dawno, a jednak jakby w innym życiu. Skąd to się wzięło, że powtórzyły się tego dnia dwa razy. Czy kiedyś słyszał je w domu? Czy ojciec zwykł tak mawiać?

Ogarnęła go straszna zgroza i ogromne poczucie winy.

– Nie mogę – powiedział. – O co wy mnie podejrzewacie? Że jestem takim tchórzem? Że zostawię rodzinę? Muszę tam pojechać, zobaczyć ich, pochować. Jakże to tak?

– To niemożliwe – stanowczo zaprzeczył Brzeźnik. – Nowy właściciel pozwolił zrobić trumny. Pochowają ich wszystkich razem w rodzinnym grobowcu. To niby tak, że jest łaskawy. Pozwolił nawet służbie pomodlić się, a także przygotować dawnych właścicieli z szacunkiem do ostatniej drogi. Nikomu jednak nie wolno przyjść na pogrzeb. Może być tylko ksiądz i parę osób ze służby. Nic nie jesteś w stanie więcej zrobić. Nic! – zakończył z naciskiem.

Dominik czuł, że zaraz zwariuje. Nigdy w to nie uwierzy, jeśli nie zobaczy na własne oczy. Był w szoku. To wszystko nie mieściło mu się w głowie.

– Ojciec kazał cię związać i trzymać tak długo, aż zrozumiesz. – Brzeźnik rozwiął jego wątpliwości. – Nie możesz też pojechać do naszej chałupy ani do żadnej innej w wiosce. Szukają cię nie tylko carscy, lecz także ludzie nowego właściciela.

– Przestań ciągle mówić „nowego właściciela”. Kto to jest?

– Bracki. – Ojciec Józka potwierdził domysły, które snuli od pierwszej chwili.

– Wiedziałem. – Dominik był zły, że w ogóle zadał to pytanie. – Jasne! Dlatego przyjechał dziś taki zadowolony. Boże, jakimi potworami potrafią być ludzie!

Ojciec Józka tego nie skomentował. Jego nic już nie dziwiło. Dość się napatrzył od dzieciństwa na okrucieństwo różnego rodzaju.

– Proszę umierającego się spełnia – powiedział. – A twój ojciec błagał mnie, żebym dopilnował, że uciekniesz. Zrozumiesz, co do ciebie mówię! – dodał z naciskiem. – Jesteś wszystkim, co teraz ma ta rodzina. Wszystkim! – powtórzył słowa pana we dworze, które wypowiedziane w tragicznych okolicznościach wryły mu się w mózg na zawsze. – Ostatnim potomkiem! – mówił z coraz większym drżeniem w głosie. – Jedynym, który pamięta. Musisz uciekać natychmiast. Najdalej, jak się tylko da. W tamtą stronę. – Wskazał przeciwny kierunek do drogi prowadzącej do dworu. – Rozumiesz?!

Dominik nie rozumiał. A nawet jeśli, to i tak nie miał zamiaru posłuchać tych żądań. Chciał od razu pędzić do domu. Przecież wszystko, co powiedział Brzeźnik, brzmiało jak największy absurd świata.

To nie może być prawda. Na pewno coś da się jeszcze zrobić. Myśli intensywnie przelatywały

mu przez głowę.

Ale jednocześnie w głębi serca rodziło się bolesne żrące poczucie, że stary Brzeźnik nie kłamie. Ojciec Józka nigdy nie znał się na żartach, a jego chłopski rozum w każdej sytuacji twardo trzymał się realiów. Wiadomo, że nie pozwoliłby sobie na fałsz w tak ważnej sprawie. Po co miałby to robić? Jednak uwierzyć mu to było coś ponad ludzkie siły.

Dominik nadal siedział pod drzewem. Nawet gdyby teraz chciał biec do dworu, to nie starczyłoby mu sił. Nagle wszystkie odpłynęły proporcjonalnie do stopnia, w jakim docierała do niego prawda.

Oni nie kłamali! Ani stary, ani młody Brzeźnik. Mieli to wypisane na twarzach. Sami wyraźnie wciąż jeszcze byli w szoku, a dramat, jaki rozegrał się niedawno na ich oczach, również nie w pełni do nich dotarł. Ale uparcie wykonywali swoją misję.

Słowo dane umierającemu to była w tej okolicy świętość. Zdarzało się, że ludzie poświęcali swoje życie, żenili się z kimś, kogo nie kochali, albo przysięgali nienawidzić sąsiada po kres swoich dni, choć w gruncie rzeczy nie mieli do niego żalu, bo tak nakazał umierający ojciec.

Co miał zrobić Dominik, który teraz najbardziej na świecie pragnął wrócić i zobaczyć rodziców całych i zdrowych? Ślubny orszak jadący ukwieconą drogą do kościoła, piwonie matki. Wszystkie to wielkie i drobne sprawy, które jeszcze chwilę temu składały się na całe jego życie.

Poczuł, jak drżą mu usta.

– Trzeba uciekać! – Ojciec Józka zareagował stanowczo, bo czuł, że chłopak z dworu zaraz się rozklei. – Wszystkiego tu dopilnujemy. Uciekaj i nigdy nie wracaj, chyba że świat się zmieni, a ten naród stanie się kiedyś wolny – dodał bez większej nadziei.

– Ja mam tu jeszcze chleb – powiedział praktycznie jego syn. Otarł dłonią policzek, rozmazały się na nim smugi z popiołu. Płakał i nawet nie zamierzał tego ukrywać. – Matka dała – wyjaśnił, po czym wcisnął Dominikowi do ręki bochenek, a on, niewiele myśląc, otworzył zaciśniętą mocno pięść i oddał część monet, które przed momentem dostał. – Nie, paniczu – zaprotestował chłopak. – Wam będą bardziej potrzebne.

– Proszę, weź, bo inaczej nie dam rady. Zawróć! – zagroził Dominik.

– Nie możesz. – Stary Brzeźnik twardo upierał się przy swoim. – Twój ojciec powiedział, że jesteś wszystkim, co ma. Jeśli zawrócisz, zginiesz. Jeśli nie zaczniesz natychmiast uciekać, też.

Obaj z Józkiem podnieśli go z ziemi i wsadzili siłą na Siwka. Trzymał się prosto, ale patrzył na nich, jakby nagle przestał rozumieć ojczystą mowę.

– Jedź! – zawołał Brzeźnik. – Może gdzieś znajdziesz lepszy los. Może coś na ciebie czeka. Tu nie ma już miejsca.

Popatrzył, jak jego syn również siada na drugiego dworskiego konia. Tylko kiwnął głową. Spodziewał się tego od pierwszej chwili. Uczynił w powietrzu znak krzyża, a potem smagnął Siwka. Józek sam sobie poradził, by swojego wprawić w kłus.

Obaj mężczyźni popędzili przez las. Wiatr śmigał im koło uszu, gałęzie smagały policzki. Nie wybierali ścieżek, gnali przed siebie. Gdyby nie rozsądek koni, pewnie szybko skończyłoby się to jakimś upadkiem do jaru albo złamaniem nogi, ale zwierzęta instynktownie wybierały właściwą drogę. Pędzili tak długo, jak tylko ich rumaki dawały radę.

Dominik nie myślał o niczym. Wydawało mu się, że wszystko jest w porządku, tak jak dawniej. Po prostu wybrał się z Józkiem na przejażdżkę. Jadą szybko przez las, jak to nieraz bywało, ale za chwilę wrócą i dostaną od matki ścierką po głowie. Zaraz potem gospodyni postawi przed nimi ciepły posiłek. Dominik zje, odszuka ojca gdzieś w głębi domu, porozmawia z nim. A wieczorem wyjdzie na podwórko, zaczerpnie aromatycznego powietrza, pachnącego w jedyny na świecie sposób. Różami matki, ziołami, świeżym sianem, w rytm zmieniających się pór roku. Usiądzie na ganku, popatrzy, jak krząta się służba w codziennych zmaganiach, by dwór trwał, działał, żył.

Choćby do końca swoich dni miał tęsknić za Emilką, gotów był się zgodzić. Niechby mu to uczucie nawet rozsądziło serce. Żeby tylko móc zawrócić konia. Mieć szansę zobaczyć, że to wszystko, co powiedział stary Brzeźnik, nie jest prawdą.

Pewnie gdyby był sam, jego droga skończyłaby się w tym miejscu. Ochłonał już trochę i dotarło do niego, jaką głupotą jest taka ślepa ucieczka przed siebie. Trzeba koniecznie sprawdzić, co w domu.

Zatrzymali właśnie konie przy niewielkim strumyku, żeby mogły napić się wody i nieco odetchnąć. Oni też obaj padli na trawę. Dominik pomyślał, że musi to zrobić. Natychmiast wracać. Nie da rady tak uciekać bez pożegnania, bez choćby sprawdzenia, czy to wszystko prawda. To ponad ludzkie siły.

Ale Józek tylko na niego spojrział. Zaraz potem zerwał się na równe nogi, stanął nad nim wyprostowany, spojrział z wysoka i powiedział stanowczo:

– Ja też cię zwiążę. – Pierwszy raz zwrócił się do Dominika na ty. – Nie pozwolę, żebyś wrócił i zginął! – dodał. – Pan we dworze powiedział ojcu przed śmiercią, że jesteś wszystkim, co ma. Nie możemy cię stracić.

Dominik położył się na trawie i zakrył dłońmi twarz. Czuł się okropnie. Miał do siebie tak straszliwy żal.

Po co chciał być ważny dla rodziny? Po co?!

Jakże wspaniale być tylko młodszym synem, a nie jedynym dziedzicem. Tym, od którego wszystko zależy. Okropne, straszne uczucie. Co się dzisiaj stało? Czy usiadł pod jakimś przeklętym drzewem, które spełniało życzenia? Zwłaszcza te głupie? Wypowiedział parę zdań w złości i został tak nieludzko ukarany? Czy kiedykolwiek zdoła sobie wybaczyć? Zrozumieć, co się stało?

Józek tym razem nie zamierzał wdawać się w żadne dyskusje. Sensu tych zdarzeń nie widział i nawet nie próbował ogarnąć. Ale miał do wypełnienia misję i powoli zaczynało się okazywać, że potrafił być równie uparty jak jego ojciec.

Spojrzął tylko na Dominika stanowczo. Było jasne, że w razie potrzeby użyje siły. A tej miał pod dostatkiem. Wysoki, barczysty, przyzwyczajony do fizycznej pracy skrywał pod koszulą mocne mięśnie. Dominik też nie był słabeuszem, ale teraz nie czuł się dobrze. Coś go nieustająco łąpało za gardło, jakaś panika, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał.

Strach przed prawdą.

Nie byłby teraz w stanie podjąć walki.

Józek pozwolił koniom spokojnie się napić i poskubać trawy, zaraz potem zerwał pęk suchych chaszczki i otarł nim boki zwierząt, pogłaskał, ale kiedy tylko zaczęły spokojniej oddychać, natychmiast dał sygnał, by ruszać dalej.

Dominik też wsiadł na konia. Powoli zerwał go do galopu. Pędził w przeciwnym kierunku, a tak bardzo chciał wracać.

ROZDZIAŁ 4



Julianna siedziała przed toaletką i próbowała wytargować na swojej opiekunce jak najbardziej praktyczną fryzurę.

– Proszę, zapleć mi warkocz – zaczęła błagalnym tonem, jednocześnie patrząc jej w oczy. To zwykle zmiękczało ludzi.

Stanisława, która z oszczędności pełniła w tym domu bardzo różne funkcje: od nauczycielki, opiekunki po pokojówkę, wydeła pulchne usta.

– Pani kazała, żeby panienka wyglądała pięknie – powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał stanowczo. Wciąż walczyła, by zdobyć u swojej podopiecznej choć odrobinę autorytetu. – Ma być proszona kolacja, ważni goście...

– Ja i bez tego wyglądam pięknie – przerwała jej Julianna, patrząc w swoje odbicie w lustrze. Jej uroda naprawdę nie wymagała wielkiej oprawy. Dla tych adoratorów, których wybrali na dziś rodzice, prezentowała się nawet za dobrze.

Bona była wyraźnie oburzona z powodu tych słów. Jednak Julianna nie mówiła tego z próżności, lecz wyłącznie z powodu dystansu do takich błahych spraw jak wygląd w czasie kolacji. Miała inne plany na wieczór niż siedzenie przy stole i udawanie grzecznej panienki.



Czuła, że w chacie pod lasem właśnie dziś urodzi się dziecko. Obie z prababcią od kilku dni

czekały w gotowości. Antonina mówiła, że maluch jest dziwnie ustawiony, ale Julianna czuła, że wszystko będzie dobrze. Od miesiący podkarmiła młodą matkę wynoszonym potajemnie z dworu jedzeniem i uspokajała, by tamta dotrwała w jak najlepszym stanie do porodu.

To było ważne dziecko. Oczekiwane, kochane. Mało takich w chłopskich chatach, najczęściej przepelnionych i biednych. Julianna uważała, że tym bardziej ten mały promyczek powinien się pojawić na świecie zdrowy i bezpieczny.

Tak fatalnie Bóg wysyła dzieci na świat. Często w nieodpowiednie miejsca. Z góry skazując je na cierpienie, brak miłości ze strony biednych, słabych, chorych na ciele lub duszy rodziców.

Należało chronić każde życie, które miało prawo rosnąć i rozwijać się w miłości. Żeby powiększała się ilość dobra na tym niełatwym świecie.

Musiała dzisiaj być tam z prababcią. Wszystkiego dopilnować.

Staruszka była dzielna, rwała się do pracy. Nikomu nie odmawiała. Ale czas płynął i nawet ona nie potrafiła ukryć, że staje się coraz słabsza. Jej pokręcone od pracy dłonie często drżały, przygarbione plecy nie miały tej siły co dawniej. Słabł jej też wzrok i słuch, pilnie potrzebowała następczyni. A tej w wiosce nie było.

Popęnilimy straszny błąd – myślała Julianna, nie zauważając, że opiekunka kręci jej coraz mocniejsze loki. – Nie powinnam była dawać prababci nadziei, że przejmę po niej misję – dręczyła się. – Trzeba było wybrać jakąś dziewczynę z wioski.

Przygarnęła szybko cztery dziwne sterczące loczki, które Stanisława właśnie zakręciła jej starannie na gorącym żelazku.

– Będzie mi to spadać do oczu – powiedziała nerwowo.

– Panienko – upomniała ją bona. – Cały wieczór będzie panienska prosto siedzieć, mało się odzywać, te loki nawet nie drgną.

Julianna spojrzała na nią z takim zaskoczeniem, jakby ta nagle zaczęła mówić do niej w innym języku. Siedzieć nieruchomo? Co za bzdury?!

Odebrała już w swoim życiu kilka porodów. Wiedziała, jaki to ogromny wysiłek psychiczny, ale też fizyczny. Ile wymaga skupienia. Siły, pochylania się, przynoszenia różnych potrzebnych rzeczy, wysiłku. Nie chciała, by w tym trudnym czasie fruwały jej przed oczami jakieś durnowate loki.

– Albo to rozprostujesz, albo sama to zrobię – zapowiedziała stanowczo.

Stanisława westchnęła. Ta dziewczyna była tak dziwna, że nikt nie byłby w stanie jej zrozumieć. Właściwie to ona sama już się poddała. Wiedziała, że i tak długo tej pracy nie utrzyma, choć podobało jej się tutaj. Dwór funkcjonował na dość luźnych zasadach. Nie pilnowano służby tak żarliwie jak w innych miejscach, co miało swoje plusy.

Całe popołudnie mogła spędzać na udawaniu, że jest zajęta, bo jej podopieczna znikwała na wiele godzin. Karmili dobrze, choć w kuchni plotkowano, że to życie ponad stan nie skończy się niczym dobrym.

Ale były też minusy. Pensja wypłacana od przypadku do przypadku. Ogólny chaos i wrażenie, że wszystko to prostą drogą zmierza w stronę jakiejś katastrofy.

Julianna zaczęła szybko rozprostowywać loki, przeczesła je i przypięła do pozostałych włosów.

– Jeśli panienska chce gorzej wyglądać, jej wola – powiedziała wyraźnie obrażona opiekunka. – Ja tu długo nie popracuję, mnie wszystko jedno, ale panienska zapłaci za to życiem.

– Słucham?! – Julianna spojrzała na nią.

– Rodzina to dla dziewczyny wszystko – pouczyła ją Stanisława. – Panienska tego jeszcze nie wie, ale ta jedna decyzja o zaręczynach może młodą pannę na zawsze zniszczyć albo uratować.

Machnęła dłonią. Nie było sensu się starać. Ta dziewczyna nic nie rozumiała. Widać miała tak samo mało rozumu jak jej ojciec wydający lekką ręką pieniądze, by potem zapożyczać się u Żydów. Postanowiła, że jak tylko wyszykuje swoją podopieczną, napisze listy do kilku znajomych. Poszuka nowej posady. Lepiej być przygotowanym. Perspektywy na to, że Julianna wyjdzie dobrze za mąż, zabierze ją ze sobą i będą obie prowadziły wygodne życie, rysowały się nikłe. Tej postrzelonej panienski nikt sensowny nie weźmie sobie za żonę, a szkoda. Taka ładna.

Obie patrzyły w lustro w tym samym momencie i widziały dwie zupełnie różne rzeczy. Julianna

miała bardzo smutne oczy. Martwiła się o prababcię. W myślach po raz kolejny robiła przegląd wszystkich dorastających dziewcząt w wiosce.

Próbowały kilka razy, ale nikogo nie udało się nauczyć choćby części tej wiedzy, która była niezbędna, żeby pomagać ludziom. Kilka panien było nawet całkiem sprytnych. Od razu chciałyby zarabiać, choć umiały naprawdę niewiele. Nie rozumiały tej odpowiedzialności za ludzkie życie, która towarzyszy każdemu, kto próbuje leczyć. Nie zdawały sobie też sprawy, że oprócz wdzięczności można się spotkać z ogromną niechęcią, wręcz nienawiścią. Nie każdego bowiem da się uratować.

Prababcia mówiła, że jeśli komuś pisany jest koniec drogi, to nie wolno się temu przeciwstawiać. To źle dla tego człowieka, jeśli nie odejdzie, bo skazuje się go najdłuższe cierpienie, trzymając na siłę na ziemi.

Ale ludzi, którzy mają w sercu prawdziwą zgodę na wyroki losu, spotyka się niewiele. Większość pragnie, by wszystko rozwijało się po ich myśli, a jeśli się nie uda, szukają winnych. Znachorka świetnie się do tego nadaje. Można się na niej wyżyć. Zrzucić odpowiedzialność.

Taka osoba nie może być byle kim.

Co robić? – myślała Julianna. – Jak znaleźć męża, który pozwoliłby mi leczyć ludzi? Opiekować się prababcią, biegać do niej każdego dnia?!

Tego szukała w kolejnych kandydatach przedstawianych jej przez rodzinę.

– Czy jesteście już gotowe? – Do pokoju weszła matka i z wielkim niezadowoleniem oceniła prostą fryzurę córki. – Znowu ten warkocz? – zapytała zdenerwowana. Źle się ostatnio czuła i miała niską odporność na stresujące zdarzenia. – Dlaczego nie uczesałaś jej ładnie? Przecież wyraźnie prosiłam – zwróciła się z pretensjami do bony.

– To ja, mamó – odezwała się Julianna, broniąc swojej opiekunki. – Proszę cię, nie gniewaj się. To przecież wystarczy. Kto dzisiaj przychodzi? – spróbowała nakierować jej myśli na inny tor.

– Jackowscy, Żalczyk i Maślarz – wymieniła matka. – Przecież wiesz, skład jak zawsze. Do tego Jackowscy przyjadą z jakąś kuzynką, podobno ładna – dodała i usiadła na łóżku. Nagle zabrakło jej sił.

– Źle się pani czuje? – Bona podeszła do niej, a Julianna poczuła strach. Mama rzeczywiście źle wyglądała. Była blada, a na jej czole perliły się kropelki potu.

– Nie mam już siły. – Pani Łącka spojrzała na córkę. – Potrzebuję wsparcia w prowadzeniu domu. Z każdym dniem tak słabiej się czuję.

Nie kłamała. Julianna potrafiła bez trudu rozpoznać taką manipulację. Ludzie, nawet ci o najlepszym sercu, czasem udają chorobę, by coś uzyskać. Na przykład skłonić córkę do wyjścia za mąż. Ale mama naprawdę była w słabej formie.

– Ta kuzynka ponoć biedna, ale urocza. Takie potrafią narobić sporo kłopotów. – Pani Łącka otarła zroszone potem czoło. Napiła się wody. Dłoń jej drżała. Wciąż była piękną kobietą, jak córka, ale upływ czasu też wyraźnie rysował się na jej twarzy,

Stanisława tylko pokiwała głową. Od razu domyśliła się, o co chodzi, ale Julianna wyglądała na zupełnie nieprzejętą zagrożeniem ze strony kolejnej młodej kobiety na tym dość ciasnym rynku matrymonialnym, choć przecież sprawa głównie jej dotyczyła.

– Śliczna podobno – mówiła dalej matka. – Doskonale wie, jak się zachować – zaznaczyła z naciskiem, a Julianna poczuła piekący wyrzut sumienia. – Ciotka ją wspiera. – Pani Łącka znów napiła się wody, a kilka kropel wychlapało jej się na sukienkę. – Ma na wydaniu syna, więc jej wszystko jedno, a córki jeszcze za młode. Śliczna kuzynka nie jest dla rodziny żadnym zagrożeniem.

– Za to dla nas owszem – nie wytrzymała bona, a pani domu skarciła ją wzrokiem, nie doceniając wsparcia.

– Julianna należy do rodziny o bardzo długich tradycjach – powiedziała poważnym tonem. – To najważniejsze nazwisko w okolicy. Nie będzie się bać jakiejś obcej dziewczyny. – Próbowała te słowa wypowiedzieć z przekonaniem, to się jednak nie udało, ponieważ go nie miała. Sama przecież jeszcze przed momentem wyrażała swoje obawy, ale uraziło ją, że nawet służba widzi ich problemy. Wyszło to wszystko dość blado.

Spojrzała na córkę. Miała nadzieję, że ta uspokoi jej obawy. Czy ta dziewczyna nie widziała, że sytuacja wymaga pilnej decyzji? Ileż można czekać, trwonić czas i pieniądze na niekończące się kolacje?

– Możesz już wyjść – zwróciła się do opiekunki. Chciała zamienić z córką kilka słów na osobności.

Julianna tylko westchnęła. Czuła, co się święci. Mogła bez trudu przewidzieć każde słowo, które tutaj za moment padnie. Na pamięć znała wszelkie zastrzeżenia, obawy oraz rady swojej mamy. Ale zawsze słuchała ich z szacunkiem. Wiedziała, że wynikają wyłącznie z troski, a także braku zrozumienia, co naprawdę w życiu jest najważniejsze. Teraz jeszcze doszły do tego problemy ze zdrowiem. Wszystko coraz bardziej się komplikowało.

– Kochana moja – zaczęła matka. – Bardzo cię proszę, dziś na kolacji ani słowa o babce, leczeniu, pomaganiu ani powołaniu.

Widać nie tylko Julianna umiała przewidywać argumenty drugiej strony.

– Jedyne, do czego powołana jest kobieta, to być dobrą żoną i matką – mówiła stanowczo mama. – Przynieść honor swojemu nazwisku. Zwłaszcza wtedy, kiedy ród nie ma syna, który mógłby cię wyręczyć w tych zadaniach... – Zawsze w tym momencie przerywała i za każdym razem przez jej twarz przebiegał grymas bólu.

Lata niczego nie zmieniały. Fakt, że pochowała aż trzech małych chłopców w ciągu swojego życia, odbił bolesne piętno na jej sercu. Nigdy nie zapominała.

Julianna miała wrażenie, że z czasem jest nawet coraz gorzej. Było jej bardzo przykro. Zawsze żyła w cieniu tej tragedii. Wszyscy jej bracia zmarli, zanim się urodziła. Nie na skutek jakiegoś strasznego kataklizmu, lecz zupełnie zwyczajnych chorób, wobec których miejscowy lekarz okazał się kompletnie bezradny. Nie mogła pojąć, dlaczego matka tego nie rozumie. Czemu – choć sama została dotknięta tak wielką tragedią – nie pojmuje, że leczenie to święta misja, ratowanie życia, istnień ludzkich.

Czym wobec tego były te wszystkie nieznośne prośzone kolacje? Ci mężczyźni wyszkoleni przez matki, jak gładko rozmawiać z panienkami, udający dżentelmenów, jednak zmieniający się tuż po ślubie w prostaków oczekujących, że będzie się przytakiwało każdemu ich słowu tylko dlatego, że są określonej płci?!

– Kochanie! – Mama jeszcze bardziej się postarała, by jej głos zabrzmiał łagodnie. – Musisz wiedzieć, że tata ma parę problemów. Oczywiście nie z własnej winy. – Natychmiast stanęła po stronie męża, choć wszyscy od najprostszego parobka aż po nią samą doskonale wiedzieli, że kłopoty finansowe, z jakimi boryka się rodzina, w ogromnej mierze zależne są od lekkiego podejścia pana tego domu do finansów, gospodarowania i tych wszystkich prozaicznych spraw, którymi gardził, uważając się za kogoś stworzonego do wyższych celów. – Jesteś naszą jedyną nadzieją – powiedziała.

Julianna westchnęła. Tak, to też wiedziała od zawsze. Nie chciała zawieść swojej rodziny. Obowiązek wobec rodu był częścią niej samej. Podobnie jak wszystkich jego członków. Krążył w jej organizmie wyspany z mlekiem matki, jako najważniejsza życiowa misja. Przez całe swoje dzieciństwo podobnie jak inni wyczekiwała, że może mama urodzi jeszcze jakieś dziecko, nawet kolejną dziewczynkę, kogokolwiek, kto zdejmie z jej pleców chociaż część tego ciężaru. Nic takiego się jednak nie stało i dziś było już wiadomo, że w tej kwestii sytuacja się nie zmieni.

Julianna musiała wyjść za mąż. Dobrze, rozważnie. Dla dobra nazwiska i rodu.

To samo mówiła prababcia, tylko doradzała jej, by prawnuczka postarała się uzyskać w tym najważniejszym życiowym targu jak najlepsze warunki.

Antonina nalegała, by Julianna czekała na miłość, ale dziewczyna miała dużo praktyczniejsze podejście. I ono wzmocniło się jeszcze na widok mamy, której wyraźnie coś dolegało. Chciała jej pomóc, pocieszyć, dać nadzieję.

Odwlekanie decyzji i tak niczego by jej nie dało. Musiała wyjść za mąż. Nie było innej drogi. I nie miało to również wielkiego znaczenia, za kogo. Wszyscy mężczyźni, których poznała do tej pory, byli jej z gruntu tak samo obojętni.

W tej jednej kwestii prababcia Antonina bardzo się myliła. W tych konkretnych życiowych rozrachunkach, z jakimi właśnie miała do czynienia, niczego sensownego nie dało się uzyskać.

Julianna nie wyobrażała sobie, by mogła się zakochać w którymkolwiek z synów sąsiadów. Z żadnym i tak nie dało się szczerze o niczym ważnym porozmawiać. Interesowały ich tylko puste pogawędki na tematy, po których bezpiecznie się poruszali. Udzielali wciąż tych samych odpowiedzi,

wymądrzali w sprawach, o których nie mieli pojęcia. Nie pytali jej o nic, co istotne. Jak się czuje, co myśli, jakie ma plany. Każdy z góry zakładał, że wie.

Julianna porzuciła więc marzenia o bliskości. Chciała tylko znaleźć kogoś, kto nie będzie jej zbytnio przeszkadzał. Chyba nadszedł czas, by go wreszcie wybrać.

– Na kolacji będzie też nasz doktor – powiedziała mama. – Bardzo cię proszę...

– Wiem – przerwała jej szybko Julianna. – Ale ja też was proszę – nie wytrzymała. – Powiedźcie mu coś, może wtedy ja nie będę musiała.

– To staruszek – broniła się mama. Zaczęła chodzić po pokoju. Chyba lepiej się już poczuła. A może to ten szczególny temat podniósł jej ciśnienie?

– Słyszałaś, że powiedział swojej służącej, żeby go nie budzić w nocy do porodów?! – zawołała Julianna. – Nie chce mu się jechać do chorych dalej niż kawałeczek od domu. Najchętniej siedziałby we dworach, pił nalewki albo jadł twój pyszny świeży chlebuś, który tak uwielbia. Z chrupiącą skórką – dodała drwiąco, naśladując lekko ochrypły głos doktora. – A kobiety w tym czasie się wykrwawiają. – Nie dodała również, że umierają dzieci, bo nie chciała, żeby matka znów popadła w przygnębienie.

– To tylko doktor – odpowiedziała mama smutno. – Przecież wiesz, że wszędzie jest tak samo. Nie zmienisz świata. Wola boska, ludzie żyją, chorują i umierają.

Julianna tylko westchnęła. Już żałowała swojego wybuchu. Niepotrzebnie zużywała energię na denerwowanie się. Mama i tak tego nie zrozumie. To było niepojęte. Jakby pani Łącka znajdowała się w szczelnie zamkniętym pudełku, do którego nie dobiegają żadne dźwięki. Przecież fakty były takie oczywiste. A wydawało się, że prawie nikt ich nie widzi!

– Czy możesz mi obiecać, że będziesz się dzisiaj zachowywać jak panienka z dobrego domu? Choć przez ten jeden wieczór? – zapytała mama. To zapewne miało zabrzmieć stanowczo, lecz słyszalna była głównie prośba, wręcz błaganie.

Rodzicom wyraźnie palił się grunt pod nogami i prócz dobrego ślubu córki nikt nie widział żadnego rozwiązania kłopotów.

– Proszę cię... – dodała już wprost.

– Dobrze. – Julianna kiwnęła głową.

Wbrew pozorom rozumiała swoje powinności. Kochała rodziców. Chciała, by byli szczęśliwi. Wiedziała, że nie są winni temu, że tak, a nie inaczej zostali wychowani, w określonych warunkach wzrastali. Nie ich wina, że nie umieli szerzej myśleć.

Chciała ich ochronić, zapewnić bezpieczną starość pod skrzydłami statecznego, gospodarnego zięcia. Cały majątek tego potrzebował. Była gotowa to zrealizować.

Teraz tylko musiała znaleźć sposób, żeby być jednocześnie w dwóch miejscach na tej nieszczęsnej kolacji. Pogodzić konieczność rozdawania uśmiechów, kiwania głową, milczenia i sznurowania ust, by nie wydostały się z nich żadne sensowne słowa z pragnieniem powiedzenia, co naprawdę myśli, i natychmiastową potrzebą, by wstać od stołu i pędzić do wioski.

Prababcia mówiła, że uśmiech to jej dar. Potrafi nawet leczyć i powinna z niego jak najczęściej korzystać. Postanowiła posłuchać tej rady.

– Tak – powiedziała Julianna, po czym kiwnęła głową i uśmiechnęła się do mamy z całą serdecznością. Od razu zadziało. Atmosfera się poprawiła, a pani Łącka nieco odetchnęła.

Julianna postanowiła wykorzystać ten prosty patent także wieczorem. Sprawiać wrażenie, że z każdym się zgadza, wszystko rozumie, a jednocześnie zrealizować własne plany. Powinno się udać. Nie po raz pierwszy przecież łączyła zakazany świat prababci z oficjalnymi obowiązkami we dworze.

– Życie jest twarde – powiedziała na koniec mama, ściskając ją delikatnie za ramię. – A los kobiety ciężki. Pomyśl o swojej prababci. Gdzie mieszka, jak żyje. Niech ci to będzie przestrogą. Ona przecież też urodziła się w pięknym dworze.

Pani Łącka wyszła, w przekonaniu, że zostawia Juliankę w stanie głębokiej refleksji. Tak też było. Dziewczyna pochyliła się i położyła czoło na blacie toaletki. Pomyślała, jak mama mało wie.

O niewielkiej drewnianej chacie położonej na górskiej łące, daleko w lesie. O niewiarygodnym spokoju, jaki tam panuje, pięknych wschodach i zachodach słońca, wolności, w jakiej żyje prababcia. O tym, jak smakują bułeczki, które piecze. Jak tam pachnie ziołami. Ilu ludzi zdołała w życiu swoim

uratować! Jak bardzo wszystko, co ta kobieta robi, ma sens.

I mimo że pozornie wyklęta ze społeczności, prababcia Antonina była jednocześnie jej filarem. Nie było takiej sprawy, której nie umiałaby załatwić. No, może z wyjątkiem jednej.

Nawet ona nie знаła mężczyzny, który byłby dobrym mężem dla ukochanej prawnuczki. A to oznaczało, że taki nie istnieje na świecie i nie warto tracić życia, by go szukać.

Julianna wstała. Podjęła już decyzję.

ROZDZIAŁ 5



Dzień powoli chylił się ku zmierzchowi. Musieli zrobić kolejny postój na niewielkim wzniesieniu położonym ponad wartkim strumykiem. I to właśnie tutaj Dominika dopadł najgorszy kryzys.

Józek mocno się wystraszył. Od momentu ucieczki zachowywali się jak partnerzy, ale dawne odruchy nie znikają w jeden dzień. Syn dziedzica stał naprzeciw niego i patrzył władczo. Wiadomo było, że nie pozwoli się już łatwo obezwładnić ani związać. Był ostrzeżony oraz przygotowany. Siłą nie sposób było ciągnąć go dalej.

Las się kończył, nie wiedzieli dokładnie, gdzie są, ale poprzez przerzedzające się drzewa widać było pola porośnięte wschodzącym zbożem i jakąś drogę. Za chwilę pewnie pojawią się ludzie, a wraz z nimi być może także kłopoty.

– Proszę – zaczął łagodnie Józek. – Musimy jechać. Jesteśmy za blisko. Trzeba uciekać, tak daleko, jak tylko prowadzi droga – zakończył zgodnie z wydanym mu poleceniem, ale głos mu drżał. Był zły na cały świat, że to właśnie jemu dostało się to zadanie. Naprawdę nie czuł się na siłach. W jaki sposób miałby niby zatrzymać Dominika, jeśli ten uprze się, by wracać?!

A na to się właśnie zanosilo.

– Możesz sam jechać dalej! – powiedział stanowczo Podhorski. – Ale ja wracam. To była okropna głupota! – Uderzył się dłonią w czoło. Wyglądał na zdenerwowanego. – Nie myślałem, co robię. Dałem się wam namówić na tę cholerną ucieczkę jak jakiś kretyń. Ale dość tego! Muszę natychmiast wracać do domu.

– Nie. – Odpowiedź Józka była bardzo spokojna.

– Myślisz, że będę cię pytał o zdanie? Że możesz mi czegokolwiek zabronić? Raz wam się udało, boście mnie zaskoczyli, ale nigdy więcej. Moje miejsce jest tam, gdzie się urodziłem.

Józek milczał. Czuł się bezradny i zły. Co za okropne zrzędzenie losu sprawiło, że właśnie on, człowiek prosty, zupełnie do tej roli nieprzygotowany dostał takie ciężkie zadanie! Pojęcia nie miał, co powiedzieć. Od tego wszystkiego jeszcze bardziej się denerwował.

– Ja też chcę wracać! – krzyknął. Broda mu drżała, a dłonie zaplatał nerwowo. – Nie wiem, co z matką i ojcem. Przecież każdy widział, że u nas bywasz. Może też im coś zrobili?!

Szybko otarł policzek. Nie godziło się, żeby mężczyzna płakał. To doskonale wiedział. Głupia łąza po prostu sama się wepchała do oczu.

Wściekł się z tego powodu jeszcze bardziej. Miał być wsparciem i opiekunem, a rozklejał się jak baba.

– Myślisz, że ja chciałem uciekać?! – Józek znów zwrócił się do Dominika per ty. Intuicja słusznie mu podpowiadała. To podkreślało wyjątkowość chwili, dodawało mocy jego słowom. – Też zostawiłem wszystko! – zawołał. – Chałupę z rodzicami, dziewczyny, robotę, wieś. Tylko dlatego, żeby ci pomóc. Bo wiedziałem, że tak będzie. Ty nie posłuchasz, o co cię ojciec prosił. A tymczasem tutaj słuchać nam trzeba – dodał z mocą. Zdenerwowanie już minęło. Została tylko pewność, że robi, co słuszne. – Bracki doniósł na twoich rodziców – powiedział cichym spokojnym głosem, który przejmował do głębi. Jeszcze mocniej niż poprzedni krzyk. – Wszystko wiedział – dodał. – Że będzie ślub i zaborcy przyjdą dzisiaj. Patrzył, jak się przygotowujecie, jacy młodzi są szczęśliwi, niewinni. I sumienie go nie ruszyło.

– Na pewno go ruszy, kiedy wrócę. – Dominik kręcił się niepewnie wokół dużej kępy trawy, co rusz się o nią potykając. Niczego nie zauważał. Myślami był tam, w domu.

– Zabiją cię, zanim zdążysz dojechać do dworu. – Józek tylko pokręcił głową. To takie oczywiste, a trzeba było tłumaczyć.

Dominik słyszał, co przyjaciel mówił, ale nie rozumiał. Kopnął ze złością trawę, po czym podszedł do konia. Obejrzał się nawet za siebie, spodziewając się, że dawny parobek, a teraz towarzysz ucieczki, rzuci się na niego, żeby mu przeszkodzić. Był gotowy walczyć. Teraz czuł w sobie mnóstwo

siły. W tym momencie nikt nie dałby go rady związać ani powalić na ziemię.

Ale Józek stał bez ruchu i tylko patrzył.

Patrzył tak, że Dominikowi w pewnym momencie zaczęła drżeć broda. Jakby był dzieciakiem, a nie dzielnym młodym mężczyzną.

– Naprawdę myślisz, że nie mogę wrócić? – zapytał, choć sam umiał sobie udzielić odpowiedzi. Chłopak kiwnął głową.

– I musimy dalej jechać – powiedział. – Szybko, żeby znaleźć przed nocą schronienie.

– Nie mamy jedzenia. – Dominik czuł to dziwne uczucie w brzuchu już od jakiegoś czasu. Śniadanie było dziś marne, bo wszyscy czekali na weselną ucztę. Smakołyki pachniały od kilku dni, ale on nich nawet nie podjadał, zajęty wyobrażaniem sobie nocy poślubnej brata i snuciem alternatywnych scenariuszy. Takie przyziemne sprawy jak jedzenie nie zaprzętały mu głowy. Chleba we dworze było pod dostatkiem.

Teraz też uczucie głodu z trudem przedostawało się do jego świadomości. Ale już to czuł. Wiedział, że minie kilka godzin i dopadnie go na dobre. Nie miał pojęcia, gdzie są, jak daleko odjechali od dworu. Nie zabrali niczego, żeby skrzesać ogień. Mieli tylko kawałek chleba od Brzeźnikowej i kilka drobnych monet. W świecie Józka majątek, w jego – mało znacząca kwota.

Czuł, jak grunt usuwa mu się spod stóp. Kim był bez stojącej za nim rodziny, dworu, żywnych pól uprawnych, chłopskich chat, w których każdy wiedział, kim jest Dominik Podhorski?

– Zatrzymaliśmy się, bo las się przerzedza – powiedział Józek, starając się, by jego głos brzmiał rzeczowo. Skupił się na konkretach. – Tu muszę cię na chwilę zostawić samego. – Spojrzał na Dominika uważnie. – Sprawdzić, czy nie ma jakichś chałup w pobliżu. Może uda mi się kupić coś do jedzenia.

– Pojedziemy razem – odparł szybko Podhorski.

– Nie! – zaprotestował Józek. – Jechałem i cały czas myślałem. Siwek to może być kłopot. Wędrujemy sami. Nie możemy powiedzieć, skąd jesteśmy, a jak ktoś zapyta o tego konia, nie uwierzą, że należy do dwóch włóczęgów. – Dominik poczuł dreszcz, słysząc to słowo. – Na razie trzeba go trzymać z dala od ludzkich oczu, żeby sobie nie napytać biedy.

Dominik kiwnął głową. To było logiczne.

– Muszę cię tu zostawić – powtórzył Józek. – I tak nikt nie upilnuje drugiego człowieka, jeśli on nie będzie tego chciał – dodał. – Twój ojciec prosił, żebyś został, uciekał, ocalił życie. Wracanie to straszna głupota, ale to twoja rzecz.

Po tych słowach Józek wsiadł na swojego konia i ruszył przed siebie.

A Dominik został sam z myślami, z którymi zupełnie nie miał pojęcia, co zrobić. Siły starczyło mu tylko na tyle, żeby się nie pogrążyć w całkowitej rozpacz.

Dokąd tak bez sensu gnał? Czy w ogóle warto uciekać? A może właśnie lepiej wrócić? Czy nie? To pytanie skierował do niego Józek. Trzeba było znaleźć odpowiedź. Własną. Po co się dalej męczyć? Jaki jest sens ciągnąć kolejne dni, kiedy człowiek ma pewność, że nie uśmiechnie się już nigdy w życiu? Nic dobrego go nie spotka, nie ucieszy. Cokolwiek by się wydarzyło, nie cofnie przecież czasu. Nie odzyska rodziny.

Pogłaskał Siwka. Piękny dworski koń. Ostatnie, co go łączyło ze starym światem. Miał jeszcze na sobie koszulę. Już nie była bielutka. Po tym, jak kilkakrotnie leżał w niej na ziemi, miała na sobie brudne plamy. Podobnie jak spodnie. Jeszcze parę dni takiej poniewierki i twarz też stanie się brudna, tak samo dłonie. Dominik przestanie przypominać syna zamożnych rodziców.

Kim wtedy będzie?

Nauczono go, że o wszystkim decyduje urodzenie. To, z jakiego człowiek pochodzi rodu, ma znaczenie decydujące. Określa całe życie. Nic więcej się właściwie nie liczy. Skąd ludzie bez kawałka własnej ziemi wiedzą, kim są? Czy w ogóle ich życie ma jakąkolwiek wartość?

Czaszka mu pękała od tych pytań, a one jak na złość nie chciały go zostawić. Siedział bezmyślnie na trawie trzymany w miejscu przez dwie sprzeczne siły, z których jedna nakazywała mu natychmiast wracać, bo przecież niemożliwe, żeby to, co usłyszał, było prawdą, a druga stanowczo mówiła, że ma siedzieć, bo tak nakazuje rozsądek, a także jego powinność wobec rodu, którą teraz tylko on mógł wypełnić.

Siedział tak bardzo długo. Wokół pyszniła się majowa przyroda, ale on jej nie widział. Słońce mocno już chyliło się ku zachodowi i zrobiło się chłodniej. Józka wciąż nie było.

Dominik do tego stopnia tkwił w bezruchu, że wtopił się w krajobraz. Jakieś ptaki niedaleko grzebały w liściach, nic sobie nie robiąc z jego obecności. Jakby przestał istnieć.

Był już okropnie głodny. Teraz potrzeb organizmu nie zagłuszało nawet ogromne cierpienie, które dręczyło coraz mocniej. Zaczął się martwić, że Józce coś się stało i nie wróci.

Co wtedy?

ROZDZIAŁ 6



Julianna zeszła na dół jako ostatnia. Szerokie drewniane schody prowadziły z niewielkiego poddasza wprost do położonej w centralnej części dworu obszernej jadalni. Mama od lat marzyła, że zobaczy córkę w białej sukni właśnie w tym miejscu. Schodzącą po drewnianych stopniach w stronę zgromadzonych bliskich. Jedyną dziewczynkę w rodzie całe życie przygotowywano do tej właśnie chwili.

Poczuła to. W tym momencie. Ciężar presji, który przez lata udawało jej się od siebie odsuwać, teraz nagle się objawił. Spódnica dotykała miękko jej kolan, kiedy pokonywała kolejne stopnie. Trzymała się balustrady. Poczuła, że to jej dom. Jest już dorosła. Dzieciństwo dawno zostało w tyle. A to niosło poważne konsekwencje.

Zatrzymała się na chwilę i spojrzała w dół. Wszystkie oczy były zwrócone na nią. Spóźniła się, bo wysłała pokojówkę do babci po wieści. Niełatwo było namówić dziewczynę, by wymknęła się bez wiedzy pracodawców.

Tymczasem goście przy stole uznali, że to wejście specjalnie zostało tak zaplanowane, żeby panienkę Juliannę zaprezentować w pełnej krasie i by wszyscy zauważyli jej przybycie. To się na pewno udało.

Ona sama się spieszyła. Nie o to przecież chodziło. Głowę zaprzętało jej tylko mające przyjść na świat dziecko. Wieczór z gośćmi zapowiadał się dość koszmarne. Puste rozmowy, a tymczasem tam ktoś mógł w każdym momencie potrzebować pomocy.

Wprawdzie prababcia Antonina obiecała, że w razie potrzeby przyśle kogoś zaufanego do dworu, by wezwać Juliannę, ale czy to zrobi? Było dość prawdopodobne, że nie będzie chciała zawracać prawnuczce głowy.

Tymczasem do tego wszystkiego nagle włączyło się to okropne poczucie odpowiedzialności za rodzinę. Akurat teraz. Jakby nie mogło wybrać innego momentu. Rozumiała tak jasno jak nigdy wcześniej, że nie uniknie swojego losu. Musi wybrać męża.

Pod naporem spojrzeń Julianna poczuła, jak rumieńce wypływają jej na twarz. Zatrzymała się na chwilę, bo musiała zaczerpnąć oddechu. Niepotrzebnie zgodziła się dzisiaj, by jej włożono i starannie zasnurowano gorset. Ale nie można kłócić się o wszystko. W czymś trzeba ustąpić. Padło na gorset i teraz odczuła tego skutki. Nie mogła złapać tchu. A nadmiar myśli przelatujących jej przez głowę, a także wypełniających serce emocji nie pomagał.

Bliska sąsiadka Łackich, pani Jackowska, matka bardzo wysokiego chudego syna Jacka Arkadiusza, który od dawna nie ukrywał, że chętnie poślubiłby śliczną dziedziczkę z dworu, z szacunkiem spojrzała na matkę Julianny. Takie wejście to było naprawdę coś.

Dziewczyna stała na schodach, doskonale widoczna z każdego kąta jadalni. W jasnej sukience i pszenicznym warkoczu, cała spłoniona wyglądała na tak skromną i pokorną, jak tylko można sobie wymarzyć. Pierś jej falowała, co z pewnością nie uszło uwagi zgromadzonych we dworze mężczyzn. Ale wszystko sprawiało tak naturalne wrażenie. Jakby naprawdę nie było obliczone na popis przed gośćmi.

Pani Jackowska, która wydała już za mąż dwie córki, doskonale wiedziała, jak trudno wychować panienkę, by umiała postępować według takich kryteriów. Ile trzeba ćwiczyć młode dziewczę, by potrafiło tak skromnie spuszczać oczęta. A o piękny naturalny rumieniec też wcale nie tak prosto, zwłaszcza na zawołanie.

Z uznaniem pokiwała głową.

Cieszyła się, że rodzina Łackich poważnie potraktowała ten wieczór. Niechby się wreszcie coś wydarzyło. Ileż można jeździć w konkury?

Spojrzała na Jacka Arkadiusza. Była z niego dumna. Pięknie się prezentował.

Wszyscy się dzisiaj wystroili na tę kolację. Także kuzynka Aniela, którą pani Jackowska gościła

od kilku dni. Panienska w wyraźny sposób chciała przystąpić do rywalizacji o rękę któregoś z obecnych przy stole kawalerów.

Na widok Julianny aż się skuliła. Uroda i klasa tej dziewczyny aż kłuły w oczy. Ale zaraz potem się wyprostowała. W końcu męskich kandydatów było więcej, niż panienska Łacka mogła przyjąć.

Rodzina o nią zadbała i postarali się, by Aniela nie sprawiała wrażenia ubogiej krewnej. Zakręcili jej włosy, wpletli w nie wstążki i pożyczili ładną sukienkę. Jeszcze chwilę temu była tu największą atrakcją, ale kiedy śliczna Julianka w prostym warkoczu i jasnoniebieskiej sukience zeszła po schodach, wszystko inne zbladło.

– Dobry wieczór. – Panienska Łacka przywitała się z gośćmi.

Ominęła wprawdzie doktora, ale zrobiła to na tyle dyskretnie, że nikt prócz niego nie zauważył afrontu. Stary mężczyzna skrzywił się nieprzyjemnie. Doskonale wiedział, co ta głupia dzierlatka o nim myśli, ale nie miał zamiaru zniżać się do dyskutowania z jakimś podlotkiem, choćby i z dobrego rodu.

Pokojówka zaczęła podawać potrawy. Julianna zwróciła uwagę, że dziewczyna dziwnie wygląda. Ma bladą cerę i czerwone oczy, jakby długo płakała. Postanowiła natychmiast po kolacji wypytać ją, co się stało. Nie umiała sobie tego wyobrazić. Raczej nie były to jakieś sercowe rozterki, bo Basia od lat była zakochana w tym samym chłopaku, a on świata poza nią nie widział. Mieli się w lecie pobrać.

Ale kto wie? Może coś się zmieniło? Miłość to przecież taka płocha wartość. Nie ma co na nią stawiać. Teraz przypomniały jej się wszystkie historie o nieszczęśliwych uczuciach. Jakby ich właśnie potrzebowała, by przekonać samą siebie, że nie ma co przejmować się takimi drobiazgami. Lepiej po prostu zrobić, co do człowieka należy, i mieć spokój. Zająć się ważniejszymi kwestiami.

Niech to małżeństwo przestanie wreszcie być najważniejszą sprawą w domu. Niech się skończy wybieranie, skoro i tak nie ma w czym!

Potrzebowała spokoju, a wszyscy patrzyli tylko na nią.

Mama też wyglądała na zdenerwowaną.

Miejmy to już za sobą – pomyślała Julianna i podjęła decyzję. – To się stanie dzisiaj.

Podano żurek i to na nim skupiła się teraz uwaga gości. Dwór na Zaslaviu słynął ze swojego żurku. Nie bez powodu. Zupa stanowiła idealne połączenie kwaśnego żytniego zakwasu, ostrości czosnku i łagodności śmietany.

Jak zawsze nie żałowano niczego. Duże kawałki kiełbasy pyszniły się w aromatycznej potrawie, dobrze ugotowane jajka miały najlepszy żółty kolor.

Nikt długo nie czekał, łyżki poszły błyskawicznie w ruch i nawet przestano spoglądać na panienskę. Goście byli głodni.

Na początku posiłku często jadano w milczeniu. Żywsze rozmowy zaczynały się dopiero po kilku pierwszych potrawach. Była to więc dla Julianny okazja, by przyrzeć się biesiadnikom.

Znała ich oczywiście i widziała nie po raz pierwszy. Prócz kuzynki Jackowskich twarze pozostałych umiałaby odtworzyć z pamięci. Ale dziś patrzyła na nich inaczej.

Któryś z nich miał zostać jej mężem.

Biesiada była obfita. Jednak Julianna zauważyła, że tylko jedna dziewczyna podaje do stołu. Czy znowu kogoś zwolniono? A może kolejna osoba ze służby sama odeszła, nie mogąc się doczekać nawet tej skromnej zapłaty, jaką oferował ojciec?

Widziała, że mama patrzy z troską na ilość jedzenia na stole. Zapłata dłonie, próbuje się uśmiechać, ale jest spięta.

Wnioski nasuwały się same. Czas się kończył. Jeśli Julianna chciała wypełnić swój obowiązek wobec rodziny, musiała się spieszyć. Okazja właśnie się nadarzała. Trzech najlepszych kandydatów ojciec zgromadził dzisiaj przy stole.

Jacek Arkadiusz Jackowski, syn najbliższych sąsiadów, właściciel dwóch wiosek. Mieszkał w bardzo skromnym dworze, właściwie większej chacie. Na co dzień klepali biedę, choć próbowali ze wszystkich sił zachowywać pozory. Ale mieli ciotkę! Owa stateczna matrona obiecała ponoć, że jeśli chłopak dobrze się ożeni, wspomże rodzinę finansowo. Na ten fakt liczyły obie rodziny. Pani Jackowska coraz bardziej się niecierpliwiła. Julianna była najlepszą partią, ale przecież nie jedyną. Upragnione pieniądze ciotki mogły też trafić do innego domu. Potrzebujących w okolicy nie brakowało.

Julianna spojrzała na młodego Jackowskiego i próbowała wyobrazić go sobie jako męża. Zajadał właśnie pieczoną gęś z coraz bardziej kurczącego się dworskiego stada. Choć spora porcja smacznego mięsa zniknęła błyskawicznie w jego ustach, a on dobrał sobie od razu drugi kawałek wcale nie mniejszy, to jego postura nie zdradzała nawet śladów żadnego z posiłków, jakie w swoim życiu zjadł. Chudy, z zapadniętymi policzkami, długimi palcami oddzielał mięso od kości.

Julianna poczuła dreszcze na samą myśl, że te nieprzyjemne blade dłonie, zimne – co miała okazję sprawdzić za każdym razem, kiedy się z nią witał – miałyby ją dotykać. Zaczynała się zastanawiać, czy może prababcia nie ma odrobiny racji, tak mocno opowiadając się za małżeństwem z miłości. To by pewnie ułatwiało wiele kwestii.

Tylko co z tego, skoro tutaj żadne takie zdarzenie nie miało szans. Bez względu na to, kto zostanie wybrany.

Drugi z mężczyzn wybranych przez ojca, Jakub Żalczyk, był wdowcem z piątką dzieci. Dobry, stateczny gospodarz szanowany w okolicy. Wydawało się, że właściwie jest nie do wzięcia. Od lat wiele panien intensywnie na niego polowało. On jednak niewzruszenie trwał w wierności swojej zmarłej żonie. Dzieci wychowywały mu opiekunki, a on zajmował się gospodarstwem i całkiem nieźle prowadził spory tartak. I to było główne źródło nadziei ojca w związku z nim jako kandydatem na męża. Miał bowiem coś tak niebywale cennego jak gotówkę. A fakt, że po raz pierwszy zaczął wspominać o ożenku, spoglądając właśnie na Juliannę, napawał pana Łackiego szczególną dumą.

Może tak będzie najłatwiej? – pomyślała szybko dziewczyna. – Stary mężczyzna, ma już dzieci, pewnie nie będzie się tak bardzo interesował swoją nową żoną, pozwoli mi mieć swoje sprawy? – Pospiesznie wyliczała jego atuty, starając się przymknąć oko na jego pomarszczoną skórę i pokręcone od chronicznego zapalenia stawów ręce. – To przecież bez znaczenia – powtarzała sobie.

Wychowywanie pasierbów nie przerażało jej tak bardzo jak bliskie pożycie z mężem. Obcym w gruncie rzeczy mężczyzną, którego nie tylko nie będzie miała szansy poznać bliżej, lecz być może w ogóle nie da się tego zrobić, bo pod odświętnym surdudem i paroma gładkimi komplementami, którymi się posługiwał w jej obecności, nic pod spodem nie było. Żadnej mądrości, głębi, przemyśleń.

Szybko rzuciła okiem na ostatniego z kandydatów, grubego Maurycego Maślarka. Był z nich wszystkich najbrzydszy. Duży, ze sporą nadwagą. W dzieciństwie chorował na ospę i zostały mu na twarzy brzydkie blizny. Ale za to nie miał rodzeństwa. A to stanowiło niezwykle rzadkość w miejscowych zwykle obdarzonych licznym potomstwem rodzinach.

Dla pana Łackiego sprawa rysowała się jasno. Im więcej dzieci, tym więcej chętnych do podziału majątku. I choć rodziny zwykle cieszyły się z kolejnych synów oraz córek, to później, gdy przychodził czas dla nich, by się usamodzielnic, pojawiały się problemy. Dóbr często brakowało i tylko najstarsi synowie mieli szansę na schedę po rodzicach.

Jedynaczka Julianna i jedynak Maślark mogli razem mieć naprawdę dobrą sytuację. Oczywiście gdyby dało się przełknąć fakt, że chłopak był strasznie głupi i istniało też niebezpieczeństwo, że przeje wszystko, co tylko oba dwory zdołały zgromadzić. Nawet teraz wszystkie półmiski znajdujące się bliżej niego był już puste, podczas gdy z pozostałych dopiero zaczynało ubywać potraw.

Co ja mam zrobić? – myślała w popłochu Julianna. – Prosić rodziców, żeby poszukali kogoś innego?!

Wiedziała, że w szlacheckich rodach na ten moment to i tak najlepsi kandydaci. Reszta zginęła w powstaniu, była zadłużona po uszy, albo borykała się z jakimś nałogiem. Bogatszych domów było tu mało.

Tak bardzo chciała pobiec teraz do prababci, zająć czymś ręce i głowę. Podniosła wzrok i napotkała surowe spojrzenie matki. Było w nim wszystko, o czym przed chwilą myślała. Zegar głośno wybił szóstą, jakby też chciał podkreślić, że już czas. Nie sposób dłużej zwlekać. Nie da się od tego uciec.

Odpowiedziała niepewnym spojrzeniem.

Wybiorę Żalczyka – pomyślała i odruchowo kiwnęła głową, jakby dawała pani Łackiej znak. Mama najwyraźniej zrozumiała. Uśmiechnęła się, bo choć nie wiedziała, jaką córka podjęła decyzję, to słusznie przypuszczała, że wreszcie udało się nakłonić dziewczynę do współpracy. Coś, w co powoli

oboje rodzice przestawali wierzyć, zaczynało się ziszczać.

– Przyniesi moją nalewkę jeżynową! – powiedziała do pokojówki.

Jej mąż spojrział ze zdziwieniem. Alkoholem gospodarowano ostatnio szczególnie oszczędnie. Nie dało się bowiem dyskutować z faktem, że półki w piwnicach pustoszały, ani udawać, że wcale tak nie jest.

– Czuję, że będziemy mieli co świętować – szepnęła do niego żona.

On też od razu bardzo się ucieszył. Szybko zerknął na córkę. Widząc jej poważną twarz, zaczął dziękować Bogu, że jednak dożył tego momentu. Jego dziecko dorastało. Zaczynało rozumieć, co w życiu ważne. Naprawdę poważnie się obawiał, że to się już nigdy nie stanie. Córka nie zachowywała się jak inne dorastające dziewczęta. Czasem kompletnie nie mógł zrozumieć, o czym ona do niego mówi. Ale teraz to się mogło zmienić. Wyjdzie za mąż, wszystko zacznie się normalnie układać.

Julianna spojrzała w okno. Czują, jak zaciska się wokół niej niewidzialna pętla. Było jej duszno. Kropelka potu spłynęła jej po skroni.

Czy ktoś mnie uratuje?! – pomyślała rozpaczliwie. – Czemu nie ma już na świecie tych rycerzy, którzy ponoć kiedyś błakali się po okolicy i pojawiali tam, gdzie byli potrzebni?

– Panienko Julianno – odezwał się Jackowski, przechylając nieco osadzoną na długiej szyi głowę. Jego ton był tak uroczy, że nagle wszyscy zamilkli, choć prawdopodobieństwo oświadczeń w takiej formie nie było zbyt wysokie. Zakaszła, wziął głęboki wdech, po czym wypowiedział kolejną kwestię. – W niedzielę przyjeżdża do nas ciocia – recytował te słowa, jakby wcześniej uczył się ich na pamięć. Było to wielce prawdopodobne, bo jego matka kiwała głową w rytm wypowiedzanych sylab, jakby sprawdzała, czy wszystko zgadza się z zaplanowanym oryginałem. – Podejmiemy ją uroczystym obiadem – dodał, a matka znów poruszyła głowę z aprobatą.

Znowu zrobił przerwę i Julianna miała nadzieję, że na tym się skończy. Dlaczego zaczęło ją ogarniać tak wielkie przerażenie? Jakby zbliżało się coś strasznego, czego jeszcze nigdy nie doświadczyła? Nie była przecież tchórzem ani podlotkiem, który nic nie wie o życiu.

Choć od panienki z dobrego domu wymagało się pewnej nieśmiałości, skromnego spojrzenia i udawania, że nic nie wie o życiu i we wszystkich sprawach musi się wspierać na silnym ramieniu męża, to jednak prawda była taka, że czasy nie sprzyjały delikatności kobiety. Warunki były twarde, ludzie żyli w ciągłej niepewności, widzieli niejedną tragedię.

Julianna też już kilkakrotnie miała okazję spojrzeć śmierci w twarz, a także stanąć przed poważnym wyzwaniem. Nie bała się ryzyka. Teraz jednak coś dziwnego złapało ją za gardło i nie chciało za nic puścić.

Jackowski chrząknął, przełknął ślinę, aż mu gula na gardle podskoczyła, po czym odezwał się z mocą, wypowiadając te słowa takim tonem, jakby miał zaraz skoczyć w przepaść. Też się wyraźnie denerwował.

– Panienko Julianno – powtórzył i zebrał się na odwagę, by spojrzeć dziewczynie w oczy. – Chciałbym, żeby nas panienka odwiedziła. Ciotka wspomniała, że chciałyby panienkę poznać.

Julianna na ułamek sekundy przymknęła oczy, ale zaraz je otworzyła. Nie mogła teraz stchórzyć. Bez względu na to, co się z nią działo, już prawie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy do rozmowy, dość niegrzecznie, wtrącił się Maślarz.

– U nas w niedzielę też będzie ucza – powiedział i oblizał się szybko, jakby właśnie pomyślał o wszystkich smakołykach, które się w związku z tym pojawią na stole. – Świętujemy trzydziestą rocznicę ślubu naszych rodziców – wyjaśnił. – Chciałbym panienkę zaprosić, żeby mi towarzyszyła.

Po ustach mężczyzny wciąż spływał słodki sos z podanego właśnie deseru. Oblizał je ponownie i Julianna poczuła, jak robi jej się słabo. To było obrzydliwe. Maurycy jednak nie miał z tym żadnego problemu, nie okazywał najmniejszych nawet oznak nieśmiałości. Położył pulchną dłoń na stole.

– Chciałbym cię prosić, panienko – powiedział znaczącym tonem – byś towarzyszyła mi podczas tego ważnego wydarzenia. Przyjedzie wielu gości.

Dla wszystkich było w pełni zrozumiałe, co taka propozycja oznacza. Podobnie jak poprzednia, złożona przez Jackowskiego. Chodziło o pierwsze wspólne oficjalne pojawienie się w towarzystwie.

Julianna znowu przymknęła powieki, tym razem na trochę dłużej.

Stary Żalczyk widocznie wyczuł, że to ostatnia szansa, żeby złożyć także swoją propozycję. Począł na koniec jak wytrawny negocjator, wyprostował się i nieco odsunął od stołu. Julianna poczuła, że oddycha jej się nieco łatwiej. Spojrzała na niego życzliwie. Dał jej trochę przestrzeni. Nawet jeśli tylko symbolicznie, miało to znaczenie.

– Ja nie organizuję żadnych ważnych uroczystości w najbliższą niedzielę – zaczął powoli, a pozostali kandydaci się zaniepokoiili. – Nie mam też zbyt wielu starych ciotek. W większości wszystkie szczęśliwie zdążyły wymrzeć. – Uśmiechnął się słabo. – A jedna nawet dała mi spadek – dodał i spojrzał w stronę Jackowskich. Nie było bowiem dla nikogo tajemnicą, że ta rodzina od lat wyczekiwała wieści o zgonie krewnej. – Ale moje dzieci – dodał, znowu uśmiechając się lekko – marzą, by panienkę poznać. Kucharka robi pyszne ciasto i posiedzimy w rodzinnym gronie.

W jego słowach Julianna nie słyszała nacisku. Myśli przebiegały jej błyskawicznie przez głowę. Oto najwyraźniej stanęła przed wyborem dużo szybciej, niż się spodziewała, a pozornie mało znaczące zaproszenia zawierały bardzo silne, dość zresztą słabo ukrywane przesłanie. By dziedziczka dworu wreszcie się zdecydowała.

Czas płynął. Zegar tykał denerwująco, a dziewczyna spojrzała na niego ze złością. Czemu nawet on wywiera taką presję?!

Ojciec zamarł z łyżką w ręku w połowie transportu kawałka ciasta do ust i wpatrzył się w swoją córkę. Mama nie jadła już od dłuższego czasu. Wszystkie uważnie obserwowała. Nawet pokojówka zatrzymała się w drzwiach i podsłuchiwała jawnie, choć było to zabronione. Los wielu osób zależał teraz od decyzji Julianny. Jeśli powie coś niewłaściwego, karta nagle może się odwrócić. Tacy kawalerowie, może nie najpiękniejsi, z pewnością mało romantyczni i porywający, ale jednak ze wszystkich znanych najlepiej sytuowani, łatwo mogą obrać inny cel. A męska duma zwykle ma cienkie nóżki i chwieje się z byle powodu, kierując swojego pana ku gwałtownym, trudnym do przewidzenia decyzjom.

Julianna namyślała się krótko, a napięcie już stawało się nie do wytrzymania. Trzeba było działać bez zwłoki. Jak wtedy gdy odbiera się poród. Coś się niespodziewanie zmienia i od szybkiej decyzji zależy życie.

– Bardzo lubię dzieci – powiedziała, zwracając się do Żalczyka, a dwaj pozostali sąsiedzi jednocześnie skrzywili usta w dość podobnym grymasie, który zarówno na chudej, jak i puciołowatej twarzy wyrażał tę samą emocję. Rozczarowanie. – Cenię sobie rodzinne wartości – dodała, a Żalczyk uśmiechnął się kolejny raz. W tym momencie z triumfem.

Tak zdecydowała. Miała nadzieję, że ten mężczyzna da jej spokój, pewną swobodę działania umożliwiającą prowadzenie własnego życia, nie będzie chciał mieć więcej dzieci i ogólnie sam zajmie się sobą jak do tej pory.

Kandydatów na dziedziców mu nie brakowało. Miał czterech zdrowych synów, a ona na razie też nie marzyła o macierzyństwie. Wszystkie dzieci w okolicy były jej. I tak nie było szansy każdym się zaopiekować, jak na to zasługiwało. Nie sądziła, by kiedyś miało się to zmienić.

Ojciec skinął na pokojówkę i kazał podać gąsior najlepszego wina. Tego, które leżakowało od ślubu, ponad trzydzieści lat.

– Napijmy się za zdrowie gości – powiedział ogólnie, bo nie wypadało jeszcze cieszyć się w sposób jawny, zanim się rozmówi z przyszłym zięciem na osobności, ale oczy mu błyszczały. Już przeliczał w głowie wszystkie możliwe zyski. Liczył nie tylko na pomoc w spłacie dworskich długów, lecz także na wnuka. Żalczyk miał dużo dzieci. Widać świetnie sobie radził w tym względzie.

Mama też się cieszyła.

Pokojówka pobiegła pod jakimś pretekstem do kuchni, pewnie chciała zanieść wiadomość.

Julianna poczuła, jak robi jej się słabo. Tego też zasadniczo nie praktykowała, omdlenia jej się nie zdarzały. Na kobiece dolegliwości Antonina parzyła jej ziółka, a inne jej napary oraz krople sprawiały, że prawnuczka była w dobrej formie. Teraz jednak coś dziwnego ją zaatakowało. Jakaś nieznaną słabość.

– Muszę wstać od stołu – powiedziała do mamy cichym głosem.

– A tak, oczywiście, moja maleńka. Przepraszam państwa – zwróciła się z promiennym uśmiechem do zgromadzonych gości. – Odprowadzę na chwilę córkę do pokoju. Dużo wrażeń. Za dużo

dla takiej młodej dziewczyny.

Wszyscy pokiwali głowami. Żalczyk bardzo się ucieszył. Wszystko mu się dzisiaj podobało. A miał wcześniej pewne wątpliwości. Też przecież słyszał plotki. Straszono go, że panienka z dworu ma silny charakter. Niełatwo będzie nad nią zapanować. Tymczasem proszę, delikatna jak kwiatusek. Tego właśnie oczekiwał: łagodności, posłuszeństwa, pracowitości, uległości, rzecz jasna, siedzenia w domu i zajmowania się dziećmi, spełniania zachcianek męża. Ot, takie tam zwykłe małżeńskie obowiązki.

Wyprostował się, a potem pochylił nad stołem i wziął kolejny kawałek ciasta. Czuł się zwycięzcą. Nie dawał sobie dziś rano zbyt dużych szans. Miał zamiar w razie czego jeszcze po południu pojechać do Joanny Kowalewskiej, panienki wprawdzie o wiele uboższej, ale za to lepiej obdarzonej przez naturę. Jej matka musiała zużywać sporo materiału, żeby pomieścić kuszące mężczyzn kształty, ale panienka Łącka też była niezła – pomyślał z zadowoleniem. Honor większy, nazwisko większe. A po kilku ciążyach dziewczyna na pewno nabierze kształtów.

Że też go wybrała! – Miał ochotę wznieść jakiś okrzyk radości, ale nie wypadało wobec wyraźnie skwaszonej konkurencji chełpić się zwycięstwem.

Był spośród nich najstarszy, ale, jak widać, też i najmądrzejszy – odpowiedział sobie sam na własne wątpliwości, które przez chwilę go ogarnęły. Widocznie dziewczyna ma rozum. Nie bez powodu opowiadali w okolicy, że panienka Julianna jest wyjątkowa. Był teraz skłonny zgodzić się z tą opinią.

– To ja też skorzystam z okazji – powiedział, wstając, po czym zwrócił się do gospodarza: – Możemy chwilę porozmawiać na osobności?

– Oczywiście. – Pan Ignacy z lubością pogładził się po okrągłym brzuchu. – Zapraszam – powiedział i wspólnie skierowali się w stronę korytarza.

Pozostali goście dość szybko się pożegnali. To nie było przyjemne. Niby nie padło żadne słowo o oświadczeniach. Nikt też oficjalnie niczego nie wygrał ani nie przegrał, jednak odjeżdżali stąd z podkulonymi ogonami oraz poczuciem dotkliwej klęski.

– Co ja powiem ciotce? – Młody Jackowski odezwał się, zaraz jak tylko wsiedli do powozu. – Będzie rozczarowana.

Jego matka miała czoło zmarszczone grymasem niezadowolenia.

– Nie wiem – powiedziała. – Może od razu pojedziemy do panienki Joanny od Kowalewskich. Ona ci z pewnością nie odmówi. Wiadomo, że to dużo mniej ważna partia, ale może ciotce się spodoba.

– Poczekajcie – odezwała się nagle kuzynka Aniela, milcząca przez całą kolację. – Jeszcze do ślubu nie doszło. Kto wie, co może się wydarzyć? Ponoć o panience Juliannie różnie gadają.

– Nawet ty już coś słyszałaś? – Jackowska pochyliła się w stronę dziewczyny.

– Wszystko obserwowałam i nic mi się tu nie zgadza. – Młoda kuzynka mówiła cicho i z namysłem. – Służba plotkuje, że tej dziewczyny nikt do ołtarza nie zaciągnie. Że ona ma zupełnie co innego w głowie. Podobno jej prababcię wygnali z towarzystwa, a Julianna do niej biega wbrew woli rodziców. Leczy ludzi po wioskach, porody odbiera, rannych oporządza. Słyszałam nawet, że staremu Rutkowskiemu, jak mu kula po polowaniu w nodze utknęła, wydłubała ją tak fachowo, że teraz chodzi, nawet śladu nie ma. Lekarz by sobie z tym nie poradził. Mężczyzna!

– Co w tym dziwnego? – Jackowski skarcił ją wzrokiem. Nie podobało mu się, że źle mówi o dziewczynie, która jemu tak mocno zapadła w serce. On szanował ją za pomaganie innym.

– Bo kiedy patrzyłam na panienkę przy stole, to w niczym nie przypominała tej dziewczyny z opowieści. Taka skromniutka, grzeczna, oczęta spuszczone, wrażliwa, że aż zasłabła pod koniec obiadu, przy którym nie padło ani jedno mocniejsze słowo. Ciężko uwierzyć, że ona żywcem wydłubała kulę z czyjejś nogi i nawet jej ręka nie drgnęła.

– Ja nie wiem... – Jackowski wrzucił ramionami. – Ona zawsze była taka śliczna i miła.

– A mnie się wydaje, że Żalczyk kupił kota w worku. I nie ma pojęcia, co zobaczy, kiedy zajrzy do środka – powiedziała stanowczo kuzynka.

Jackowska kiwnęła głową. Ucieszyła się, że wzięła tę dziewczynę do domu. Ma głowę na karku. Może się przydać.

– Myślisz, żeby jeszcze poczekać? – zapytała.

– Różnie się losy ludzkie plotą, a ciotkę jakoś udobruchamy. – Aniela bardzo chciała się przydać

rodzinie, która ją przygarnęła. – Opowiemy o krewnych, których dawno nie widziała. Ja mam trochę nowych wieści. Może da się zagadać, przekonamy ją, że przy następnej wizycie na pewno już pozna narzeczoną swojego ulubionego bratanka. – Uśmiechnęła się przymilnie do kuzyna.

Jackowska w tym momencie trochę pożałowała, że łączy ich tak bliskie pokrewieństwo. Taka bystra dziewczyna zdecydowanie by się w rodzinie przydała, ale cóż, na to nie mieli żadnego wpływu.

Jednak na rozstaju dróg nie skręciła w stronę domu Kowalewskich. Postanowiła dać sprawie czas. Może rzeczywiście stary Żalczyk cieszy się za wcześnie?

ROZDZIAŁ 7



Julianna niecierpliwie weszła do swojego pokoju, by położyć się na łóżku. Naprawdę zrobiło jej się słabo.

- Pomóc ci w czymś? – zapytała troskliwie mama. – Może chcesz porozmawiać?
- Nie, dziękuję. Tylko chwili spokoju.
- Oczywiście, córeczko.

Mama wyszła i zamknęła za sobą drzwi. No tak, życie zgodnie z oczekiwaniami rodziców miało jednak swoje zalety. Jej pozycja w domu zmieniła się błyskawicznie. Miała wreszcie coś do powiedzenia. Tylko czy cena za to musiała być tak wysoka?

Czy mama naprawdę nie zastanawiała się nad tym, jak będzie wyglądało to małżeństwo? Widać było, że się cieszy, a przecież każdy człowiek obdarzony choć odrobiną inteligencji bez trudu mógłby się domyślić, że jej związek z Żalczykiem nie ma szans być szczęśliwy. A może nikomu o to nie chodziło? Może to w ogóle nie jest takie ważne? Tylko młodym się wydaje, że liczy się wyłącznie miłość?!

Julianna tego nie wiedziała. I w gruncie rzeczy nie zamierzała też się nad tym zbyt długo zastanawiać.

Podeszła do okna i otworzyła je. A potem włożyła dłonie pod sukienkę i pociągnęła za tasiemkę sznurującą gorset. Spróbowała go trochę rozluźnić. Na szczęście był wiązany z przodu i mogła samodzielnie sobie z nim poradzić. Nie chciała wołać bony. Zaczerpnęła powietrza.

Teraz była już spokojniejsza. Układała sobie wszystkie sprawy w głowie i doszła do wniosku, że może to nie będzie takie trudne. Wyjść za mąż i zaraz potem odsunąć to małżeństwo na margines życia. Udawać, że nic się nie stało.

Coś jak relacje z rodzicami. Owszem, byli jej bliscy. Mieszkali pod tym samym dachem. Należeli do rodziny, na której jej zależało. Ale na co dzień funkcjonowali w zupełnie odmiennych światach. Decyzja o wyjściu za mąż to było jedyne, co Julianna zrobiła, kierując się ich zdaniem, bo poza tym wszystko czyniła po swojemu.

– Z mężem będzie tak samo – wyszeptła, po czym szybko otworzyła szafę i wyciągnęła najcieplejszą chustę. Zawiązała ją ciasno przy szyi, a zaraz potem sprawnie, jak setki razy wcześniej, zeszła po metalowej kratce, po której wspinał się bluszcz.

Mama niewiele więcej hodowała. Zielony bluszcz był zupełnie bezproblemowy i mało wymagający. Radził sobie sam. Wspinał się po ogrodzeniu, ukrywając fakt, że murki, o które nikt nie dba, sypią się od dawna. Obrastał też kolumny przy wejściu, jak również niektóre wiekowe drzewa.

Julianna chętnie widziałaby w swoim domu więcej kwiatów, ale nie miała tu decydującego głosu. A mama o takie rzeczy nie dbała.

Dziewczyna zsunęła się na ziemię, a jeden z zielonych liści bluszczu został w jej włosach. Podciągnęła sukienkę, złapała ją mocno w obie garści i zaczęła biec przez ogród. Gdyby widział to jej przyszły mąż, pewnie bardzo by mu się to nie spodobało. Ale on wciąż rozmawiał z panem domu w gabinecie, przekonany, że ten mężczyzna może decydować o losach swojej córki. Że jest to dziewczyna posłuszna rodzicom, w przyszłości łatwa do pokierowania przez starszego męża.

A tymczasem Julianna gnała, jakby ją niósł wiatr. Najpierw drogą wiodącą pomiędzy starymi lipami do bramy, a później na przełaj przez łąki do wioski. Czuli, że poród nastąpi niebawem. Musiała tam być. Może prababcia nie zdąży albo nie będzie mieć siły, by pomóc. Ostatnio często narzekała na dziwną słabość, która ogarniała ją w dość niespodziewanych momentach.

Opłotkami zbliżyła się do domu rodzącej dziewczyny, nie zważając na psy, które szczekały zajadle, łapiąc ją nawet za brzeg sukienki. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że prababcia siedzi na ganku. Miała opuszczone plecy i dłonie położone na kolanach jakby w geście bezradności.

Julianna poczuła, że ściska jej się serce.

Tylko nie to – pomyślała. – Przybiegłam za późno.

Nie udało się być może właśnie z tego powodu, że ona siedziała sobie na kolacji, marnując czas na jakieś bezsensowne matrymonialne plany, podczas gdy tu nowe życie potrzebowało pomocy. Podbiegła szybko.

– Prababciu, jak ci poszło? – Spojrzała na nią z przestraszeniem.

Starsza kobieta uśmiechnęła się. Mimo że miała już ponad dziewięćdziesiąt lat, jej włosy cały czas były ciemne. Ani jednego siwego. Ludzie uważali, że to na pewno z powodu jakichś czarów.

– Dobrze wszystko, kochanie – powiedziała. – Tylko zmęczyłam się trochę i wyszłam na powietrze, żeby odsapnąć. Oni się tam teraz cieszą, sprzątaj. Niech sobie będą chwilę sami.

Ulga sprawiła, że Julianna też padła na tę samą ławkę. Ogromnie się ucieszyła.

– Ale odwiozą cię do domu? – zapytała.

– Tak, oczywiście. Za chwilę, ja też potrzebuję dojsć do siebie. Nie tylko młoda mama – powtórzyła.

Prawnuczka spojrzała na nią z troską.

– Coraz częściej łapie cię ta słabość, potrzebujesz pomocy – powiedziała. – Nie możesz ciągle mieszkać sama.

Westchnęła. Znów jakieś kłopoty. Życie ostatnio bez przerwy dawało do zrozumienia, że nic nie może iść tym rytmem, do którego wszyscy się przyzwyczaili. Nadchodzą zmiany. Nie chciała ich. Musiała zacisnąć powieki, żeby prababcia nie zobaczyła łez. Za nic nie chciała się przy niej rozkleić.

– Słońce moje, stokrotko kochana – powiedziała łagodnie Antonina. – Przecież wiesz, że ja nigdy nie jestem sama. Mam swoje zwierzęta i drzewa wokół domu, wiatr mi szumi, gwiazdy do mnie mrugają. A i ludzie co chwila zachodzą, żeby trochę pogawędzić, dostać jakąś pomoc. Nic mi nie jest.

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi – powiedziała stanowczo Julianna. – Ktoś powinien się tobą opiekować. Wiesz, że możemy wziąć jakąś dziewczynę z wioski, która z tobą zamieszka.

– Nie, nie. – Prababcia odpowiedziała równie stanowczo, jak wiele razy wcześniej, kiedy poruszały ten temat. – To mój dom. Nie może mi się nikt plątać pod nogami, bo wzrok mam coraz słabszy. Jeszcze na niego nadepnę.

– Błagam cię, prababciu. – Julianna uśmiechnęła się mimo woli. – Nie nadepniesz na żadną dziewczynę i się o nią nie potkniesz. Po prostu ci pomoże. Ugotuje posiłek, trochę posprząta.

– Posprząta?! – oburzyła się prababcia. – Niczego u mnie nie można dotykać. Wiesz, że zioła są delikatne, a specyfiki, które robimy, cenne. Jakżeby taka niewprawiona osoba mogła koło tego chodzić?

– A ja? – Juliannie przyszedł nagle do głowy szalony pomysł. – Mogłabym się do ciebie przeprowadzić?

Ale zaraz posmutniała. Wyobraziła sobie ten wielki skandal. Już raz matka dobitnie jej to wytłumaczyła, jak to było wiele lat temu, kiedy prababcia zostawiła dwór, dziedzictwo, swoją zamężną córkę, ludzki szacunek, bezpieczną starość. Wszystko to tylko po to, żeby móc leczyć ludzi. Jak to zachwiało dobrym imieniem rodu. Miało miejsce wiele lat temu, ale ojciec często napomykał, że problemy finansowe wzięły się właśnie stąd, że musieli się borykać z wielkim rodzinnym skandalem. Drugi taki z pewnością by ich złamał.

– Jesteś kochana, stokrotko moja – powiedziała prababcia. Objęła ją za ramiona, pochyliła się i pocałowała w czubek głowy. – Ale myślę, że dla ciebie los przygotował inne miejsce. Wszędzie możesz czynić dobro. Jako pani we dworze też – dodała. – Moja matka leczyła ludzi w wiosce i to jej nie przeszkadzało zachować swojej pozycji. Potem jakoś tak ludzie się zmienili. Zaczęli gadać bzdury o czarach, a do tego sprowadził się lekarz. Jego poprzednik był bardzo dobrym fachowcem, świetnie go pamiętam. On nie musiał bać się zielarek, bo też dobrze sobie radził. Moja matka nieraz z nim rozmawiała. Lubili się. On brał od niej zioła, a ona od niego leki. A potem wszystko się zmieniło.

– Wiem – westchnęła Julianna.

Doktor pracujący w wiosce był słabym fachowcem, do tego leniwym człowiekiem. Lubił odpoczywać, dobrze zjeść, a jakimkolwiek zaangażowaniem wykazywał się wyłącznie podczas leczenia zamożnych pacjentów.

– Może ja bym wyszła za mąż za lekarza? – Juliannie przyszedł nagle do głowy świetny plan. –

Sprowadziłabym go tutaj i za jednym zamachem rozwiązałibyśmy wszystkie problemy.

– Skąd takiego weźmiesz, dziecko moje kochane? – Antonina tylko westchnęła. – Wioska jest mała, ludzie tu biedni. Nawet okoliczne dwory, choć próbują zachowywać pozory i śnić swoje sny o wielkości, w gruncie rzeczy klepią biedę. Sama widziałaś, kogo dziś zaprosili twoi rodzice. Nie ma na czym oka zawiesić. A przecież nie można absolutnie zarzucić twojemu ojcu, że źle wybrał. To najlepsi kandydaci. Jedyni, którzy mają jakąkolwiek szansę na odrobinę gotowizny. Reszta biednieje, chłopieje, idzie w dół. – Poglaskała wnuczkę po policzku. – Ale ty nie podejmuj pochopnych decyzji. Daj życiu szansę. Może przyniesie jakieś rozwiązanie?

W tym momencie drzwi się otworzyły i z chałupy wyszedł starszy mężczyzna. Pachniało od niego bimbrem. Oczy mu się świeciły, a policzki były czerwone.

– Dziękuję – powiedział wesoło, schylając głowę w stronę Antoniny. – Piękny chłopak, a było już z naszą Marysią krucho. – Dziękuję – powtórzył i wyciągnął zza pazuchy biały materiał, w który zawinięty był ser. Położył na kolanach babci, a potem wyjął jeszcze z kieszeni butelkę alkoholu domowej roboty. – Zaraz zawiozę was do domu – dodał nieco bezosobowo, bo mieszkańcy wioski mieli spory problem z tym, jak nazywać prababcie. Między sobą mówili czasem o niej „wiedźma”, bywało, że elegancko „zielarka”. Ksiądz na nią jawnie kłął, a lekarz używał słów, których okoliczni ludzie nie rozumieli. – Dzień dobry, panience dziedzicze. – Skłonił się zaraz potem w pół. – Też mogę podwieźć wozem do dworu – zaproponował. – Chociaż mój wóz skromny.

– Nie. – Julianna pokręciła głową. – Ja do prababci na chwilę. Zabiorę się z wami.

– Ano dobrze. – Mężczyzna podrapał się fraszobliwie po głowie. Dziedzic we dworze denerwował się bardzo, jeśli ktoś pomagał Juliannie jeździć w tamtą stronę, ale co było zrobić. Choć jego zdanie było w okolicy ważne, to jednak bardziej ludzie bali się narazić zielarce niż dziedzicowi. W razie czego ona zawsze prędzej pomogła. Pobiegnął szybko za dom, po czym wyprowadził konia i stary wóz. Kobiety wsiadły, a on ruszył.

– Tak się teraz młodzi cieszą – uśmiechnął się, aż miło było na niego popatrzeć. Tak mało mieli biedni ludzie chwil całkowitej radości.

Zapach alkoholu roznosił się z dość dużą intensywnością. Antonina wyciągnęła podarowaną jej buteleczkę i odkręciła.

– Chyba też muszę sobie łyknąć – powiedziała do prawnuczki. – Bo jakoś mi słabo.

Julianna kiwnęła głową, ale sama odmówiła poczęstunku.

– Jak się czujesz? – zapytała. – Coś te dolegliwości często cię ostatnio nawiedzają.

– Jestem stara – odparła Antonina z westchnieniem. – Znam różne leki. Mogę sprawić, żeby mnie nie bolały kości, żebym rano wstawała z większą siłą. Wypić coś, żeby dobrze spać albo żeby mi pamięć nie szwankowała. To dużo, kiedy człowiek ma sporo lat, ale ludzkiego przeznaczenia nie odwrócę. Ciało nosi nas przez lata, jednak żadne nie jest wieczne. Tego nikt nie zmieni. To jest zapisane w każdym kawałeczku człowieka. Już w dniu jego narodzin. Nie trzeba się denerwować – dodała, ściskając dłoń wnuczki. – To normalne, a ja nie zniknę, odejdę tylko do innego świata.

Julianna zamrugnęła gwałtownie powiekami, bo choć na ten temat rozmawiały już wcześniej, to jednak teraz – podobnie jak w przypadku małżeństwa – dotarło do niej, że to nie jest tylko teoria. Kiedyś stanie się naprawdę i tak bardzo odmieni jej życie.

Wydawało jej się, że to może być cierpienie, jakiego nie da się udźwignąć. Gdyby zabrakło prababci, świat przestałby mieć jakikolwiek sens. Zostałaby na nim całkiem sama. Kto by wtedy pilnował, czy wszystko jest w porządku? Kto byłby osiłą, wokół której kręciły się sprawy? Powiernikiem, autorytetem, najważniejszym człowiekiem?

– Nie jestem gotowa – powiedziała.

– Jesteś, kochanie. – Prababcia ją objęła. – Stokrotki są silne. Nie boją się mrozu, suszy, deszczu. Nawet jak ktoś je zdepcze, to i tak szybko podnoszą główki. A przy tym są takie piękne, choć proste. Jak ty.

Julianna milczała. Ściemniło się już, a oni wjechali do lasu. Mężczyzna trwożnie rozglądał się wokół siebie. Nie mógł uwierzyć, jak kobieta może dobrowolnie chcieć samotnie mieszkać tak daleko od wioski, pośród ciemnych drzew, niebezpiecznych zwierząt, a i ludzi o różnym charakterze, którzy też

przecież mogli w każdej chwili przybłąkać się tutaj i zrobić jej krzywdę. Nic takiego się wprawdzie przez ostatnie lata nie stało, ale kto wie. Zawsze może się zdarzyć.

Wspinali się mocno kamienistą drogą pod górę, koń stukał kopytami, czasem ślizgając się na gładkiej powierzchni, ale wóz posuwał się we właściwym kierunku.

Julianna przytuliła się do ramienia prababci, oparła o nie głowę i przymknęła powieki. Chciała znów być dzieckiem. Móc uciekać tu wieczorami i spędzać noc bez wiedzy rodziców. Udawało jej się to nieraz. Ciągle była pilnowana przez jakieś bony, które tchórzliwie ukrywały różne jej występki przed swoimi pracodawcami w obawie o własne posady. Wielokrotnie już jako mała dziewczynka biegała przez ciemny las bez strachu.

Woznica wjechał na niewielkie podwórko, modląc się, by w ciasnocie udało mu się zawrócić. Był wyraźnie zdenerwowany. Silny chłop, ale w tych warunkach nie czuł się pewnie. Natomiast Julianna weszła do ciemnego domu babci i od razu poczuła się jak u siebie. Bezpiecznie. Tu nie obowiązywały żadne konwenanse. Mogła być sobą. Mówić, co naprawdę myśli. Tańczyć o wschodzie słońca, rzucać inteligentne uwagi bez obawy, że jakiś mężczyzna poczuje się zagrożony i może przez wieś ponieść się plotka, że panienska we dworze nie jest odpowiednią kandydatką na żonę.

Pod piecem jeszcze się tliło, więc szybko dorzuciła kilka przygotowanych obok niego solidnych szczap drewna, dolała wody z dzbanka do okopconego naczynia i postawiła, by się zagotowała. Potem podkręciła lampę naftową. Zrobiło się bardzo przytulnie. Pachniało suszonymi ziołami i kwiatami. Zawsze o każdej porze roku cała chatka przesiąknięta była tym niezwykłym aromatem. Wiecznie coś tu się suszyło, gotowało lub było w użyciu.

Jednak Julianna zaniepokoiła się mocno, bo prababcia – która zwykle ledwo weszła do środka, zaczynała się natychmiast krzątać wokół jakichś pilnych spraw – teraz usiadła tuż obok drzwi wejściowych na wysuszonej drewnianej ławce i takim samym gestem jak przedtem założyła ręce na kolanach.

– Co ci jest? – zapytała ponownie dziewczyna.

– Nic, stokrotko. Muszę tylko odpocząć. Zrób mi herbatki z tymi ziółkami obwiązany czerwona wstążeczką.

Zimny pot spłynął Juliannie po plecach. Tych z czerwonym sznureczkiem nie wolno jej było dotąd dotykać. Większość receptur prababcia albo jej dawno zdradziła, albo miała zapisane w zeszycie schowanym w miejscu, które prawnuczka dobrze знаła. Ale cztery woreczki z czerwonymi wstążeczkami zawierały mikstury, których nie wolno jej było używać. Nigdy też nie była świadkiem, by Antonina z nich korzystała. Domyśliła się więc, że to te, które zawsze dawane są ukradkiem, gdy ktoś przybiegał po pomoc i prosił, by mógł porozmawiać w cztery oczy. Albo gdy prababcia szła do umierających i niechętnie zabierała ze sobą młodą prawnuczkę. Musiała się bardzo źle czuć, skoro sama zdecydowała się na tak mocny specyfik.

– Ten pierwszy od lewej – powiedziała.

– Jesteś pewna? – zapytała Julianna, odwracając się. – Wiesz, że z twoim wzrokiem ostatnio nie jest najlepiej.

– W takich sprawach się nie mylę – odparła staruszka stanowczo.

Julianna wzięła woreczek. Drżały jej dłonie.

– Dwie szczypty – powiedziała prababcia – rozetrzeć w palcach. Pamiętaj, że to, co przechodzi przez ludzkie dłonie, ma inną moc niż takie z apteki. Jak dajesz zioła do zupy, przyprawy do ciasta, kromkę chleba dziecku, pamiętaj, że twoja dobra intencja ma znaczenie. Podobnie jak dotyk dłoni. Dlatego rosół babci albo mamy uzdrawia chorych, choć sam w sobie nie ma aż takich magicznych mocy.

Staruszka ostatnie słowa wypowiedziała, jakby sprawiły jej duży wysiłek. Julianna była przyzwyczajona, że każda czynność komentowana jest w ten właśnie sposób. Cokolwiek by robiły, czy to ścinały zioła, wysiewały nasiona na wiosnę, kroїły, suszyły, by włożyć do lnianych woreczków i powiesić na drewnianych belkach pod sufitem. Wszystkiemu zawsze towarzyszyła opowieść, anegdota lub pouczenie. Zawsze prababcia sprawiała wrażenie, że sprawia jej to przyjemność. Chętnie mówiła, a teraz po raz pierwszy w jej głosie pojawił się wysiłek i znów drugi raz tego dnia Julianna poczuła, że

ma mało czasu. Nie może już być dzieckiem, podlotkiem ani panienką. Świat mocno na nią naciskał. Musi podjąć decyzję i stać się kobietą.

Woda zaczęła bulgotać w naczyniu, wzięła więc ulubiony emaliowany garnuszek babci ozdobiony wzorem w poziomki, nalala wrzątku, poczekała, aż trochę się uspokoi, po czym starannie odmierzyła trzy szczypty ziół, rozcierając je lekko w palcach. Miały bardzo intensywny gorzki zapach. Podejrzała, że nie są smaczne i na pewno ich rolą nie jest poprawa nastroju, lecz walka z poważną chorobą.

– Nie myśl tak dużo nad tym. – Antonina zauważyła, że nos wnuczki marszczy się z niechęcią wobec woni, która zaczyna unosić się z kubka. – To musi być takie. Podobne zawsze przyciąga podobne. Pachnące ziółka, rumianek, koperek czy złotą lipę parzy się dzieciom, słodzi miodem, na łagodne dolegliwości. Ale na te cięższe przypadki, co przychodzą niby zmory, trzeba równie wielkiej mocy. Daj mi już.

Julianna podała jej kubek i usiadła obok. Właściwie prababcia przyznała się, że ma kłopoty nielekkiej wagi. Po raz pierwszy.

Co robić? – myślała z przestachem. Zwykle w takich sytuacjach pytałaby o radę starszkę siedzącą obok, ale teraz problem właśnie jej dotyczył. Ten sprawdzony sposób więc na nic się nie przydał. Powaga sytuacji w pełni do niej dotarła.

Nie mogła już zgłaszać dziecinnych propozycji, że się tutaj przeprowadzi ani że zabierze babcię ze sobą do domu. Ojciec by dostał apopleksji. Nie znosił jej.

Tak bym chciała znaleźć jakieś rozwiązanie – pomyślała błagalnie. – Czemu to musi być takie skomplikowane?

– Dlaczego to ja jestem tą ważną partią w powiecie, o której rękę starają się najzamożniejsi, ale też najbardziej beznadziejni mężczyźni w okolicy?! – wyrwało jej się na głos. – Czemu nie mogę sobie być zwyczajną Julką, która może wyjść za mąż za parobka?

Tak, to by było piękne. Po prostu się w kimś zakochać, biegać do sadu na ukradkowe spotkania jak pokojówki na przykład czy dziewczyny z wioski. Pójść na jakąś zabawę, tańczyć w świetle księżyca, przytulać się, pocałować po raz pierwszy z kimś, kto naprawdę jest pociągający. I choć nie ma ani grosza, nikt go o to nie pyta.

Prababcia wypła już pół kubka gorzkiego naparu, potem znów uściśnęła dłoń prawnuczki.

– Czasem marzenia się spełniają – powiedziała. – Więc uważaj, czego chcesz.

Julianna wiedziała, że w jej przypadku nie ma żadnego zagrożenia.

– Ja już wszystko, prababciu, zdecydowałam – powiedziała. – W niedzielę jadę na obiad do Żalczyka, poznam lepiej jego dzieci, a potem wiadomo, co się wydarzy. Nic na to nie mogę poradzić. Jeden los, jak mawia nasza gospodyni.

– Każdy wie – westchnęła Antonina. – Tu żadnej tajemnicy nie ma. Pewnie wszystko z twoim ojcem już obgadane. Czekali jak te psy na kość! – zdenerwowała się. – Skoro się poddałeś, to teraz na pewno się natychmiast rzucą, nie zmitrzą ani jednej chwili. A ten bałwan twój ojciec nawet się nie zastanowi, czy to dobrze dla jego córeczki.

– Ma trudną sytuację – zaczęła go odruchowo bronić.

– To czemu do niej doprowadził?! – oburzyła się prababcia. – Co to za ojciec, co nie potrafi zabezpieczyć jednego tylko dziecka?! Gdyby miał łeb na karku, toby od lat składał na posag dla ciebie, zamiast tylko ciągle robić długi!

Julianna westchnęła. Nie odpowiadała, żeby nie prowokować prababci do dalszej dyskusji. Ale ona i tak nie zamierzała kończyć.

– Ganek we dworze chylił się ku ziemi, jak w chłopskiej chacie – mówiła szybko. Wypiła do końca gorzki napar, po czym skrzywiła się. – Co to za sztuka wziąć kawałek drewna, przystawić drabinę i przybić gwoździe? – zapytała. – Pod stodołą pokrzywy na dwa metry. Wstyd i zaniedbanie. Służba w rozprężeniu, ziemniaki wam wykradają, bochenki chleba kucharka do domu nosi. Nikt niczego nie pilnuje, ale na tytoń zawsze jest i na gazety z miasta też. Na gości, powozy i suknie dla twojej matki. – Julianna już wiedziała, że w tym miejscu wywód się zakończy. Antonina dochodziła do swojego granicznego punktu. – Źle wychowałam córkę, a ona to samo zrobiła ze swoją. Niepotrzebnie

pozwoliliśmy, by sama sobie wybrała męża. To nie jest robota dla młodziutkiej dziewczyny.

– Oni się bardzo lubią – powiedziała dziewczyna cicho. Przykro jej było słuchać takich słów o rodzicach.

– Wiem – potwierdziła prababcia. – Toteż uważam, że wygrali los na loterii. W mało którym domu można zobaczyć choć tyle, a prawdziwą miłość jeszcze rzadziej. Ale ja bym dla ciebie chciała takiego losu jak cenna perła. Jaki się trafia raz na sto lat. Najpiękniejszego. Żebyś znalazła mężczyznę, co cię całym sercem pokocha, a ty też nie będziesz mogła oczu od niego oderwać. Co postawi dwór na nogi i pokaże twojemu ojcu, gdzie jego miejsce – zakończyła z mocą.

Trzasnęło polano w piecu i posypały się iskry. Julianna tylko się uśmiechnęła. Dość smutno.

– Nie ma tutaj dostatecznie mocnych ziół – powiedziała, rozglądając się po wnętrzu chatki – które by miały moc kogoś takiego do nas sprowadzić. W sumie powiem ci szczerze, że mężczyźni to mi się w ogóle nie podobają – zwierzyła się. – Żaden z nich. Ja się nigdy nie zakocham.

– Uważaj, co mówisz – powiedziała prababcia. – Nie zarzekaj się, nie rzucaj słów na wiatr, bo takim, co się zarzekają, los lubi udowodnić, że nie mają racji. A to czasem powoduje komplikacje. I powiem ci. – Antonina przyłożyła na chwilę dłoń do czoła, a potem położyła ją na sercu. – Jakoś tak czuję, że te kłopoty... to one właśnie nadchodzą.

ROZDZIAŁ 8



Gdzieś ty był tyle czasu! – Dominik poderwał się z ziemi. – Miałem już wracać. Tyle że konia samego nie mogłem zostawić.

– To by był bardzo zły pomysł. – Józek rzucił na ziemię swoją czapkę, w której było trochę ziemniaków.

– Tylko to udało ci się kupić? – zdumiał się Podhorski. – Surowe ziemniaki?

– Niczego mi się nie udało kupić – uświadomił go Józek. – Zwinąłem to z pola – przyznał się. – Jesteśmy za blisko dworu. Ponoć za twoją głowę jest nagroda, podsłuchałem przez okno w karczmie. Nikt o niczym innym nie gadał, tylko o dworze, twoich rodzicach, tej weselnej tragedii. A także o tym, że jeden syn dziedzica się ostał.

– I pewnie myślą, że jestem okropnym tchórzem, który zostawił rodzinny majątek. – Dominik poczuł gniew.

– Nie. – Józek pokręcił głową. – Każdy wie, że teraz musisz uciekać. Trzymają za ciebie kciuki, żeby ci się udało. Nawet ci z majątku Brackiego. Nienawidzą go wszyscy. Ale wiadomo pieniądze to pieniądze – dodał z westchnieniem. – Zawsze znajdzie się jakaś gnida, która dla niego sprzeda człowieka.

Dominik gwałtownie odwrócił głowę. Nie trzeba mu było tłumaczyć. Dobrze wiedział, do czego ludzie są zdolni.

– Mnie też niektórzy znają – dodał Józek wyraźnie zdenerwowany. – Nie mogłem się tu za bardzo kręcić. Złapałem trochę ziemniaków, zanim mnie psy dopadły. A potem płątałem się po różnych miejscach, żeby mieć pewność, że nikt mnie nie zauważył i przypadkiem nie śledzi.

– Dlatego cię tak długo nie było. – Dominik wszystko już rozumiał.

Józek kiwnął głową.

– Mamy przynajmniej trochę ziemniaków – powiedział. – Rozpalimy ogień, upieczemy je i tyle. Trzeba nam tu będzie zostać na noc. Konie muszą odpocząć. Ale przed świtem ruszamy dalej.

Zabrali się do pracy. Nazbierali trochę chrustu, suchej trawy, a potem Józek długo męczył się, żeby skrzesać iskrę z dwóch znalezionych kamieni. Nie były idealne do tej roli, ale na lepsze nie mieli szans.

Dominik poczuł, jak burczy mu w brzuchu. Aż dziw brał, że w takich okolicznościach jego organizm był w stanie pomyśleć o jedzeniu. Jednak coś go w środku skręcało. Na dodatek coraz mocniej.

Rano złapał tylko kromkę chleba w biegu. Nikt nie miał nawet czasu siadać do posiłku. Wszyscy czekali na popołudniową ucztę. A ta miała według planu ciągnąć się trzy dni. Tak się martwił, jak on wytrzyma ten czas po północy, kiedy młodych odprowadzano do małżeńskiej sypialni. Nie przyszło mu na myśl martwić się o coś tak oczywistego jak pożywienie. Wyobrażenia podsuwała mu różne obrazy dotyczące tego wieczoru, ale nie to, co faktycznie się wydarzyło. To okazało się niewyobrażalne.

Opuścił głowę, przymknął oczy i znowu zobaczył jej twarz. Myśl, że została dzisiaj zastrzelona, była kompletnie nierealna. Podobnie jak to, że stracił rodziców i brata.

– Nie uciekamy na zawsze. – Józek patrzył na płonący ogień i jednocześnie zerkał na towarzysza. – Tylko na chwilę, żeby ocalić nazwisko – powiedział. – Potem, jak wszystko się uspokoi, wrócimy tutaj, odbijemy dwór, zemścimy się za krzywdę.

Dominik spojrział w jego stronę. W pierwszej chwili chciał dodać, żeby lista była pełna: „Wrócimy także życie rodzicom i Emilii”.

No, ale to oczywiście bardzo głupie tak się ludzi jak dziecko. Jednak uchwycił się tej myśli, że nie ucieka na zawsze. To tylko tymczasowe rozwiązanie, jak cofnięcie wojsk w celu strategicznego przeszerogowania. Trochę pomogło. Przesunął się nawet do ognia i zaczął grzać dłonie. Józek ostrożnie odłamał dwa kawałki chleba od matki. Kto wie, na jak długo będzie musiał im wystarczyć.

Obaj trzęśli się z zimna. Majowe dni były słoneczne, ale noce jeszcze chłodne, zwłaszcza kiedy siedzieli na ziemi, w lesie.

A przede wszystkim, gdy człowiek był przerażony z powodu wieści druzgoczących życie, serce oraz duszę.

Józek spojrzął na syna dziedzica i pomyślał, że dobry mu pomysł przyszedł do głowy, by go omamić wrażeniem, że ucieczka nie jest ostateczna. Łudzić, że jeszcze kiedykolwiek będzie mógł wrócić do domu. To mu na pewno pomoże zachować trochę spokoju. Może dzięki temu nie zawróci w nocy w stronę dworu, czego Józek w głębi serca się obawiał.

On sam nie miał wątpliwości, że ścieżkę, którą jadą, widzą po raz ostatni. Trzeba im będzie uciekać jeszcze wiele dni, aż rzeczywiście zobaczą miejsce, gdzie droga się kończy. Nie umiał sobie tego wyobrazić, ale od dziecka był nauczony, że dziedzic ma zawsze rację, jest najmądrzejszy w wiosce i nawet ksiądz go słucha. Z jego poleceniami się nie dyskutuje, po prostu się je wypełnia i zwykle potem dobrze się to dla człowieka kończy. Tak więc zamierzał szukać tej drogi i wypełnić polecenie. To było jak życiowy cel, powołanie: doprowadzić ostatniego potomka Podhorskich w bezpieczne miejsce. Gdzieś daleko.

Póki co jednak czas im się bardzo dłużył. Drewno się w końcu wypaliło. Pojawiło się dostatecznie dużo gorącego popiołu, żeby w nim piec ziemniaki, ale potrzebowali jeszcze ponad godziny, by móc je zjeść. Słońce całkiem już zaszło, zrobiło się ciemno. Kiedy wreszcie rozgrzebali ognisko, rozgrywali gorące kartofle, parząc sobie dłonie i usta.

Taka była weselna uczta rodu Podhorskich.

Dominik pomyślał, że już nigdy nie pojedzie na żadne wesele. Cokolwiek by się w jego życiu wydarzyło, nie da się zaprosić na świętowanie do nikogo, nawet do Józka.

Nigdy się też nie ożeni. Choćby miał za to płacić okrutną samotnością. Nowa miłość, a przede wszystkim żona byłaby niczym zdrada. Świętokradztwo. Zamach wobec pamięci rodziców, brata, a także tej niewinnej i pięknej dziewczyny, która oddała swoje życie za mężczyznę, który nawet nie był jej mężem. Nie zatańczyli pierwszego tańca, nie pocałowali się nad stołem, nie przełamali chleba, nie spędzili ani chwili w tej sypialni, której mama nie chciała wcześniej Emilce pokazać. Szykowała dla niej niespodziankę.

Już jej nie zobaczy. Rodzina została zniszczona. On też do niej należał i poprzysiągł sobie, że nigdy nie zakosztuje tego, czego oni nie mieli szansy. Zawsze już będzie sam. Choćby to miało być niezgodne z ostatnią wolą ojca.

ROZDZIAŁ 9



Julianna wróciła do domu dokładnie tą samą drogą, którą z niego uciekła. Sprawnie wspięła się po konstrukcji z bluszczu. Dłonie na pamięć wiedziały, w którym miejscu można bezpiecznie się złapać, stopy również pewnie opierały się o doskonale znane gałęzie czy też deseczki.

Pchnęła delikatnie przymknięte okno, po czym zeskoczyła na podłogę.

– Och! – krzyknęła, bo nagle na swoim łóżku zobaczyła rodziców. Siedzieli tam prawie po ciemku. Tylko na bocznej szafce paliła się niewielka świeczka. – Co się stało? – zapytała.

Mieli takie miny, jakby wydarzyło się coś naprawdę strasznego.

– Gdzie byłaś?! – Ojciec zwykle dość łagodnego charakteru raczej nie podnosił głosu. Ale teraz był zdenerwowany.

– Odpowiedz! – Do rozmowy szybko włączyła się matka. – Dokąd biegasz po nocy? Z kim się spotykasz? Święty Boże, czy ty nie wiesz, że jesteś już właściwie zaręczona?! Do tej pory różne rzeczy mogły ci uchodzić na sucho, ale nie teraz! – Matka załamała ręce.

Julianna przyjrzała jej się bliżej. W słabym świetle świecy widać było, że jej oczy są zaczerwienione. Chyba dużo płakała.

– Jak myśmy cię wychowali?! – Matka znowu nie dała ojcu dojść do słowa. – Tyle trudu, pieniędzy! Jedyne nasze dziecko. Wszystko zawsze tylko dla ciebie. A teraz takie coś! Córka dziedzica wymyka się po nocy przez okno jak jakaś dziewczka kuchenna, pomywaczka. Jeśli służba się dowie, wybuchnie straszny skandal. Czy ty tego, dziewczyno, nie rozumiesz?!

Julianna usiadła spokojnie na fotelu naprzeciwko nich. Służba doskonale o wszystkim wiedziała i to od lat. Każdy z nich miał świadomość, że panna dziedziczka nie biega za chłopakami. Pomywaczki, pokojówki, stajenni mieli rodziny, często liczne. Wielu z nich choć raz w życiu pomogła prababcia Antonina. Wyleczyła, uratowała dziecko, a czasem nawet życie.

Panienka z dworu bywała widziana w chłopskich chatach, jak obciera dzieciom zasmarkane nosy, wozi jakieś buteleczki z lekami, przemyca jedzenie. Mówi wprawdzie dziwne rzeczy o tym, że koniecznie trzeba się myć, sprzątać chałupy, ale ogólnie jest jak anioł i nikomu nie odmawia w potrzebie.

Tylko jej rodzice byli jak dwie samotne wyspy na tym morzu powszechnej informacji. Bali się ciągle, że wybuchną plotki, a jednak ze świata ubogich ludzi nic się nie wydostawało. Do szlacheckich dworów docierały tylko niejasne, niepotwierdzone pogłoski. Mogły być zarzewiem skandalu, jak wszystko. Póki co jednak Julianna cieszyła się opinią miłej, dobrze ułożonej panienki o pszenicznym warkoczu i pięknym uśmiechu, która na dodatek jako jedynaczka odziedziczy obszerny dwór i trzy wioski.

To sporo.

Owszem miała też wady. Należała do nich między innymi prababka niespełna rozumu, która opuściła kiedyś swoją rodzinę, by mieszkać w lesie, jak jakaś nie przymierzając wiedźma albo czarownica. Ale ona pomagała i to komplikowało osąd. Miała też dziewczyna nieco lekkomyślnego ojca, któremu pieniądze dość intensywnie przeciekały przez palce, jednak także w tej kwestii niewiele osób się wypowiadało, ponieważ owa dolegliwość była w okolicy dość powszechna. Ludzie woleli o tym nie wspominać. Pański gest to w końcu święte prawo ziemiaństwa.

– Nie masz żadnego względu na nasze zdrowie! – krzyczała dalej matka.

– Spokojnie. – Julianna wstała, podeszła do niej, objęła ją za ramiona. Oddychała równomiernie. Wiedziała, że nastrój osoby, która jest silna, udziela się pozostałym. Głaskała ją po plecach i rzeczywiście po kilku minutach rodzice wyraźnie się uspokoili. – Czego się wystraszyliście? – zapytała. – Że mam kogoś i wam o tym nie powiedziałam? – zapytała z ogromnym zdumieniem.

Ojciec prostodusznie kiwnął głową.

Westchnęła i zrobiło jej się trochę smutno. Jak bardzo jej nie znali ci najbliżsi z pozoru ludzie. Prababcia Antonina nigdy by nie wpadła na taki pomysł.

– Nie mam nikogo – powiedziała. – Byłam w lesie...

– Tylko nie to! – przerwał jej natychmiast ojciec.

To chyba nie był dobry pomysł, żeby się przyznać. Poziom zdenerwowania rodziców, który zdołała doprowadzić do akceptowalnych rozmiarów, podniósł się jeszcze wyżej niż na początku.

– Zakazałam ci tam chodzić! – krzyknęła matka. – To się wszystko teraz skończy – dodała stanowczo. – Zbyt długo ci pobłażaliśmy. To żadnej panience nie służy, a zwłaszcza takiej z szanowanego domu. Ale teraz koniec. Masz narzeczonego! – powiedziała, jakby przekazywała informacje o groźnej chorobie, dziedzicznej i nieuleczalnej. – Ze wszystkim koniec! – piekliła się. – Siedzisz teraz w domu cały czas. Ze mną. Trzeba pilnie zacząć haftować wyprawę, wszystko planować. Poza tym musisz tu być, na wypadek gdyby twój narzeczony chciał cię odwiedzić. Jestem pewna, że jutro przybędzie. Dziś po rozmowie z ojcem nawet nie miał okazji cię zobaczyć, a na pewno, jak to mężczyzna, będzie się chciał nacieszyć twoim widokiem. W końcu trafiła mu się nie lada partia.

Julianna objęła się ramionami. Majowa noc, która jeszcze chwilę temu wydawała jej się piękna i ciepła, zwłaszcza gdy zdyszana biegła przez las, teraz zaskoczyła ją swoim chłodem. Kiedy postanowiła poświęcić swoje życie dla dobra rodziny, nie spodziewała się, że tak szybko ono się zmieni. I do tego zdecydowanie na gorsze. Nagle miała zostać w domu, nie odwiedzać już prababci. To nie wchodziło w grę. Antonina źle się czuła. W każdej chwili mogło coś się stać.

Julianna zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. Nie mogła się tą myślą podzielić z rodzicami. Jeszcze by ją postanowili objąć surowym aresztem. Musiała coś pilnie wymyślić.

Mama okazała się sprytniejsza. Natychmiast wyczuła, co się święci. Może dlatego, że trochę lepiej знаła swoje dziecko i częściej konfrontowała się z niemożnością zmuszenia córki do czegoś, czego ta dziewczyna nie chciała. Dziś po raz pierwszy sprawy szły po jej myśli. Ta kolacja, podczas której Julianna de facto wybrała sobie narzeczonego, to taki moment, kiedy pani Łącka była z niej dumna w stopniu absolutnym, co zbyt często się nie zdarzało. Córka wyglądała dziś jak wzór i ucieleśnienie panięńskich cnót. Nie można było dopuścić do tego, żeby to wszystko się zepsuło.

Spojrzała na męża. Oboje znali prawdę lepiej niż ktokolwiek inny. Mieli długi na tyle duże, że bezczelny Żyd zaczął się upominać o spłatę rat. Śmiał ich nachodzić w domu i nagabywać na drodze, kiedy wracali z kościoła. Zwykła odpowiedź, że dostanie swoje pieniądze wkrótce, już mu nie wystarczała. Państwo Łąccy pilnie potrzebowali czegoś, co będą mogli mu rzucić w oczy jako wymówkę. Ślub córki świetnie się do tego nadawał. Pojawią się prezenty, dalsza rodzina sypnie groszem, a pan młody – choć wcale już nie taki młody – na pewno dla tak ślicznej przyszłej żony niczego nie będzie żałował.

Anna uściśnęła dłoń męża, jednocześnie ostrzegając go spojrzeniem, by się nie wtrącał.

– Obiecuję ci – powiedziała, zwracając się do Julianny. – Że jeśli uda się przeprowadzić ten ślub zgodnie z planem, twoja prababcia zostanie otoczona opieką.

– Naprawdę? – Córka podbiegła do niej i uklękła. Obok jej kolan położyła swoją głowę i pozwoliła, by matka ją pogłaskała jak kiedyś, gdy była dzieckiem.

– Będziemy o nią dbać i przypilnujemy, żebyś miała z nią kontakt.

Czuła, jak jej mąż wyprostował się gwałtownie i nabrał w usta powietrza, żeby coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu na to. Uściśnęła znowu jego rękę i mówiła dalej:

– Tylko musisz chwilę poczekać. Niech to wszystko się ułoży. Przed ślubem opinia panienki jest krucha jak cienkie szkło, ale potem wszystko się zmienia. Jako żona będziesz miała więcej wolności, a skandal już tak bardzo nie osłabi rodziny.

Julianna myślała intensywnie. W słowach matki było sporo racji.

– Najgorzej jest wtedy, gdy w domu znajduje się córka na wydaniu – tłumaczyła dalej pani Łącka. – Kiedy to się wreszcie skończy, nastąpią dla nas wszystkich długie lata spokoju. Aż do momentu, kiedy ty będziesz wydawać swoje dziecko, ale to z oczywistych względów jeszcze długa perspektywa.

Julianna nic nie odpowiadała, co jej matka wzięła za dobrą monetę.

– Pan Żalczyk jest człowiekiem majątnym. Ma trzy wioski – wyliczała z przyjemnością. – Jedną wniosła w posagu jego matka, a dwie dostały mu się po ojcu. Niemały dom, a teraz będzie także zarządzał wspólnie z ojcem naszym majątkiem. Zobaczysz, nie będzie przesiadywał przy tobie całymi

dniami. Braknie mu na to czasu. Powoli ułożysz sobie życie i każde z was będzie zajmowało się tym, co dla niego ważne.

Julianna chciwie słuchała tych słów. Właśnie tego oczekiwała. Takiej pociechy, że wszystko się ułoży po jej myśli. To małżeństwo niewiele w jej życiu zmieni.

– To dla naszej rodziny ważne – powtórzyła mama. – Nikt nie jest na świecie sam i nie może robić tylko tego, co mu sprawia przyjemność. Domy rodzinne dają ludziom schronienie, opiekę, ciepło, jedzenie. Ale też każdy ma tutaj rolę do odegrania. Inaczej po prostu się nie da. Ty swoją funkcję wypełniasz doskonale. Wyrosłaś na piękną, mądrą panienkę. Mamy tylko ciebie – dodała. – Nawet gdybym chciała wydać cię za mąż za kogoś innego, to po prostu nie ma żadnego lepszego kandydata. Dużo młodych chłopców zginęło, inni bardzo zbiednieli. Jeśli masz dziurawą łódkę, nie możesz brać na nią kolejnych ludzi, bo wszyscy zatonię. Musisz szukać kogoś, kto ci pomoże.

Julianna wciąż milczała, ale te wszystkie słowa jej się podobały. Utwierdzały ją w wewnętrznym przekonaniu, że słusznie robi.

– My naprawdę nie chcemy twojego nieszczęścia – dodała mama szczerze. – Gdyby się tu pojawił książę z bajki, z pałacem, pieniędzmi i koneksjami, tobyśmy go podjęli z największą gościnnością, na jaką nas stać. Ale dobrze wiesz, że w naszej okolicy takich nie ma. Sama biedota i parę raptem rodzin, które jakoś sobie radzą.

– Wybraliśmy dla ciebie najlepszych – wtrącił się wreszcie ojciec. – A ty też podjęłaś świetną decyzję. Pieniądze Jackowskiego palcem po wodzie pisane. Znamy takie ciotki, co to się potrafią rozmyślić dosłownie w ostatniej chwili, bo coś im się nagle nie spodoba. A tu u Żalczyka konkret. Rozmawialiśmy dwie godziny. Wszystko ustalone, a on już nawet zostawił trochę gotowizny na ślubne przygotowania. Ty wiesz, co to teraz znaczy? – Ojciec wyciągnął z kieszeni woreczek z monetami. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tyle trzymałem w ręce – powiedział.

Julianna czasem się zastanawiała, dlaczego właściwie tak kocha swoich rodziców. Co to za dziwna siła? Nie miała wątpliwości co do jej istnienia i odczuwała ją w każdej chwili. Nie zmieniało to jednak faktu, że niekiedy odnosiła wrażenie, że chyba ją ktoś podrzucił albo zamienił zaraz po porodzie. Tak bardzo się różnili.

Jednak mimo iż wiedziała, że błędy ojca są przyczyną jej kłopotów i to on doprowadził do tego, że teraz musi wydawać córkę za mąż, kierując się głównie względami finansowymi, to nie mogła też zapomnieć, że to ten sam człowiek, który uczył ją jeździć konno, grał z nią w warcaby, nosił na barana, przytulał i sprawiał, że jej dzieciństwo było szczęśliwe.

Gdyby nie prababcia, która często otwierała jej oczy, może też poddałaby się temu urokowi, jak mama. Uważałyby, że wszystkie kłopoty spadają na nich niezasłużenie.

– Prababcia nie może mieszkać sama! – przypomniała sobie o najważniejszym temacie.

– Nie martw się – powiedział ojciec. Zrozumiał już intencje swojej żony i zamierzał ją wesprzeć. – Ja wiem, czego ona najbardziej potrzebuje, i podobnie jak mama chciałbym ci obiecać, że jak tylko wesele się skończy, damy Antoninie to, na czym najbardziej jej zależy.

– A skąd ty możesz wiedzieć, czego jej trzeba?! – zdumiała się Anna, mimo iż mieli trzymać zwarty front. – Przecież jej nie lubisz.

– To nie ma nic do rzeczy – odparł mężczyzna. – Za to wiem, czego najbardziej chce każda czarownica czy wiedźma.

– Tato! – oburzyła się Julianna.

– Wychodzisz za mąż, jesteś już dorosła. Może czas porozmawiać o tym wprost! – Ignacy nagle poczuł, że ma dość. Ciągłego milczenia i ustępowania. Nieuchronnie nadchodzący ślub Julianki nie tylko w niej samej wiele zmieniał. – Mieszka w lesie! – zawołał. – Zbiera zioła. W jej chacie śmierdzi nie wiadomo czym, dziwni ludzie biegają do niej po nocy. Po wiosce krążą plotki, że ponoć przepowiada przyszłość. To co? Nie jest czarownicą?! Dobrze, że teraz nie ma żadnego pomoru na zwierzęta, bo na pewno byłoby na nią. A i nam by się przy okazji oberwało. To są niebezpieczne sprawy. Wiem, bo jej babka była taka sama i źle skończyła.

– Co się z nią stało? – Julianna nie знаła tej historii.

– Niech Antonina sama ci opowie. Może to będzie przestroga.

– Daj spokój, dawne czasy – próbowała łagodzić pani Łącka. – Teraz jest inaczej.

– Nic nie jest inaczej! – zawołał jej mąż. – Ludzie zawsze tacy sami. Jak cię potrzebują, bo dziecko zachoruje, to biegną, całują po rękach i są najlepszymi przyjaciółmi. Ale nie daj Boże, karta się odwróci, to zaraz powiedzą, że ktoś rzucił złe oko albo odebrał krowom mleko. W sumie dawno powinienem coś z tym zrobić. Nie ty jesteś od tego, żeby się opiekować prababką! – Spojrzał na córkę ze stanowczością, jakiej wcześniej u niego nie widziała.

Julianna zadrzała. Czuła jakiś podstęp.

– Ale pomogę ci. Wszystkie czarownice chcą tylko jednego. – Ojciec wrócił do tematu. – Dziecka, następcy, świeżej krwi – powiedział. – Jednak to nie będziesz ty! – dodał z mocą. – Niedoczekanie, żeby moja córka żyła jak wyrzutek i musiała się codziennie bać, czy jej chałupy nie spalą, bo ktoś będzie chciał na nią zrzucić winę za swoje błędy. Damy twojej prababci inną dziewczynę.

– Tato... – rozczarowała się Julianna. – Myślisz, że na to nie wpadłam? Szukaliśmy. Nie ma w wiosce nikogo takiego. To nie jest prosta sprawa. Prababcia leczy ludzi. Ma wielką wiedzę, a dziewczyny nie chcą się uczyć, ćwiczyć długie lata. Niektóre też się boją właśnie przez takie gadanie o czarownicach. Jak jest jakaś bystrzejsza, to ją szybko za mąż wydają albo ojciec się nie zgadza, żeby terminowała u prababci. Sprawdziłyśmy wszystkie dziewczynki.

Ignacy wstał i zaczął się godnie przechadzać po pokoju.

– Może tutaj sprawdziliście – przyznał. – Ale świat jest duży, a ja mam kuzynkę w Krakowie. Odkąd kuzyn zmarł, klepią biedę. Dzieci tam sporo. Jest jedna dziewczynka. Będzie mieć pewnie koło trzynastu lat. Sprowadzę ją tutaj. Pamiętam, że była takim zmyslnym berbeciem. Wygadana, załatwiała dla matki sprawunki, chociaż była jeszcze mała. Będzie się nadawać. Zamieszka z twoją prababką na stałe. Będziesz miała pewność, że wszystko w porządku, a potem pomyślimy co dalej.

Julianna zadrzała. To słowo „potem” zabrzmiało bardzo ostatecznie. Za dużo zmian. Narzeczony, który pojawił się właściwie znikąd, nagle rozpoczęte przygotowania ślubne, choroba babci, a teraz ta nowa dziewczyna, która miała znaleźć się w ich życiu. Owszem Julianna sama kogoś takiego szukała, uczestniczyła w sprawdzaniu każdej kandydatki, która tylko im obu z Antoniną przysłała do głowy, ale teraz nie była zadowolona. Jakby wyczuwała kolejną zmianę na gorsze. I tak już kontakty z prababcią z powodu męża staną się utrudnione. A kiedy w małej chatce zamieszka obca dziewczyna, nie będzie już warunków do prowadzenia osobistych rozmów ani zwierzeń. Ta niezwykła przestrzeń zacznie być dzielona z kimś jeszcze.

– Uciesz się. – Matka zdziwiła się brakiem jej reakcji. – Tata naprawdę się postarał. Trzeba to docenić. Sprowadzenie tej dziewczyny to dodatkowe koszty. Podróż, potem utrzymanie.

– U prababci nikt nie głoduje – oburzyła się Julianna. – Ludzie zawsze coś przynoszą, a ona jest bardzo gospodarna.

– Tak wiem. – Pani Łącka przewróciła oczami z obrzydzeniem. Jakieś kawałki chleba wyciągane spod spoconej pazuchy, te kapusty ściskane w brudnych rękach, osełki masła od przypadku do przypadku. Co kto miał. Aż ją przeszył dreszcz na samą myśl, że córka mogłaby mieć z tym wszystkim cokolwiek wspólnego. Prowadzić kiedyś takie życie. Teraz dopiero do niej dotarło, jak blisko Juleczka jest związana z prababcią i jakie to wszystko stało się nagle niebezpieczne.

– Dopilnujemy, żebyś nie musiała się już o nic martwić – nacisnęła, a córka kiwnęła głową.

Cóż innego mogła zrobić? Czuła się dziwnie. Do tej pory w znaczącym stopniu sama decydowała o swoim losie, przynajmniej takie odnosiła wrażenie, a teraz jakby wpadła w rwącą górską rzekę, której nurt z dużą prędkością niósł ją w nieznanym kierunku. Co z tego będzie, nie miała pojęcia. W tej chwili chciałaby, żeby to, co ludzie opowiadają o babci, okazało się prawdą. Żeby staruszka dysponowała magicznymi właściwościami i mogła odwrócić los.



Ciemny las szumiał głośno. Prababcia Antonina była w stanie z tych dźwięków wyczytać pogodę na następny dzień, a także kilka kolejnych. Wsłuchiwała się uważnie. Dla niej to było jak melodia, której nuty jasno przekazywały pewne treści. Dziś był to niepokój. Coś nadchodziło.

Zadrżała, a potem wstała i przymknęła drzwi. Założyła nawet skobel, czego zwykle nie robiła. Było bardzo późno. Spojrzała w stronę łóżka, ale nie chciało jej się teraz kłaść i przewracać z boku na bok. Paradoksalnie właśnie na stare lata, kiedy jej moce były największe, poznała wiele skutecznych receptur i dysponowała tak dużą wewnętrzną siłą, że potrafiła rozwiązać wiele problemów, sobie nie umiała pomóc.

Czas – władca potężniejszy niż ona – dawał jej znać, że liczba przydzielonych jej dni, nocy, poranków i miesięcy powoli się wyczerpuje. Nie mogła spać. Bolało coraz mocniej, pojawiała się nieznana wcześniej słabość ogarniająca całe ciało. Antonina najlepiej wiedziała, że coraz silniejsze leki nie są rozwiązaniem.

Usiadła więc znowu w tym samym miejscu pod oknem i wsłuchiwała się w szum wiatru. Rudy kot spał już na środku łóżka. Przyszedł wczoraj, ale już czuł się tutaj jak u siebie. Zawładnął najlepsze miejsce z całkowitą swobodą.

Ten nie miał żadnych problemów, choć też sprawiał wrażenie leciwego. Widać koty dysponują lepszymi rozumami i potrafią spędzać starość inaczej, niż tylko licząc kolejne coraz słabiej działające organy.

Antonina wiedziała jednak, że to nie ciało jej przede wszystkim dokucza, ale myśli.

Martwiła się o swoją prawnuczkę. Chciała dla niej prawdziwego szczęścia, a ono zawsze wynika ze szczerości. Z tego, że ktoś ma odwagę iść swoją własną drogą. To trudne. Mówi się, że szczególnie dla kobiety, ale tak naprawdę dla każdego. Mężczyznami też przecież manipulują rodziny. Skłaniają do zawierania związków małżeńskich, wyboru zawodu, współnika do interesów czy nawet tego, co zjedzą na śniadanie, z kim się spotkają w niedzielę i jaką włożą koszulę.



Wielu ma wobec nich jakiś plan. Sprzeciwić się tej ludzkiej masie, połączonej wspólnym frontem tradycji i oczekiwań, to wyczyn. Juleczka zawsze wydawała się taka silna, a teraz nagle gwałtownie się

złamała. Szła jak po sznurku w stronę losu, który może się okazać dla niej bardzo niedobry.

Antonina usiadła na swojej ulubionej ławie pod oknem. Zamknęła powieki. Położyła dłonie na kolanach wierzchem do góry. Oddychała powoli i spokojnie. Starła się coś zobaczyć, a może wymodlić. Wyprosić odmianę losu, rozwiązanie. Żeby ono przybyło, pojawiło się w ich wiosce. Czowała całą sobą, że coś takiego się zbliża, ale może pojawić się za późno. Na przykład po ślubie. Są bowiem jakieś przeszkody, które to rozwiązanie zatrzymują w drodze.

Nagle drgnęła, bo przeszył ją zimny dreszcz.

Ktoś potrzebował ratunku!

Gdyby była choć trochę młodsza, wskoczyłaby teraz na konia i pozwoliła, by intuicja ją poprowadziła. Może by znalazła tego człowieka? Pewnie mężczyznę. Pomogła mu. Ale dawno już nie jechała wierzchem, a w niewielkiej stajni trzymała tylko leciwego gniadosza, do którego można było zaprząć co najwyżej lekki wóz i jechać nim do rodzącej kobiety. Kiedyś na piechotę dobiegłaby szybciej, ale dziś zdana była na tego pomocnika.

Źle, kiedy stary człowiek mieszka sam – pomyślała. – Przydałby się teraz młody ochotny zięć, który by nie splunął, gdyby usłyszał, że ona ma przecucie, że powinien jechać w nieznanym kierunku i szukać nadchodzącego rozwiązania, lecz po prostu pomógł.

Aż się uśmiechnęła pod nosem na myśl, jak by na taką prośbę zareagował ojciec Julianny. Niestety nie miała nikogo, kogo mogłaby poprosić o taką osobistą przysługę. Nikogo ze wsi nie mogła wtajemniczyć. A sprawa mogła się okazać poważna.

Zaplotła swoje mocne spracowane ręce. Tak wiele potrafiły. Tak dużo wiedziała o świecie, ludziach. Zawsze więcej niż inni. A jednak nie zawsze umiała się obronić. Jak wtedy, gdy miała szesnaście lat i na pozornie niewinne pytanie: „Czy pójdziesz ze mną, panienko, na spacer?” odpowiedziała bez zastanowienia: „Tak”. Nie spodziewała się, że właśnie decyduje się jej los.

To się zdarza młodym dziewczynom. Wykonują odruchowo kolejne ruchy, naciskane przez otoczenie i budzą się dopiero jakiś czas po weselu. Rozglądają wokół i zastanawiają, jak w ogóle mogło do tego dojść.

Dokładnie pamiętała tamten poranek, kiedy patrzyła na swojego męża, zszokowana, że wybrała takiego właśnie człowieka. Już nigdy potem nie podjęła bezmyślnej, automatycznej decyzji. Nie pozwoliła, by ktokolwiek zadecydował o jej losie.

Jednak nauczyła się tego za późno. Konsekwencji ważnego kroku nie dało się cofnąć i gdy pewnego dnia przysłała do niej prawdziwa miłość, zastała ją wprawdzie wciąż jako młodziutką dziewczynę, ale już zamężną i z dzieckiem na ręku.

Zadrżała. Nigdy więcej już nie spotkała takiego mężczyzny, jak ten, który wtedy powiedział, że ma swojej zasady i nie będzie niszczyć rodziny. Odszedł. Na dobre. Druga szansa na miłość już się nie pojawiła.

Ten ból wciąż w niej był. Nauczyła się z nim żyć. Czasem nawet zapominała, ale on zawsze prędzej czy później wracał.

Z całego serca pragnęła, żeby Julianka nie doświadczyła czegoś takiego.

Większość ludzi żyje wprawdzie bez miłości i dają radę. Zawsze znajdzie się inny cel: dzieci, dom, uprawa roli, hodowanie kwiatów, spotkania z ludźmi, zwyczajne codzienne troski i radości.

Ale to coś zupełnie innego niż dzielenie każdego dnia z kimś, kto jest naprawdę bliski.

Juleczkę koniecznie należało ratować.

– Nie możesz się spóźnić – wyszeptwała w mrok. – Znajdź siłę!

Miała nadzieję, że jej przesłanie dotrze do tego właściwego człowieka.

Jednak nie mogła mieć co do tego pewności.

ROZDZIAŁ 10



Dominik nie spał całą noc. Nie dlatego, że wokół było chłodno, a ziemia twarda. Bywał często poza domem, a i niewygodny nie stanowiły dla niego problemu. Nieraz na polowaniach nocowali byle gdzie. Po prostu nie mógł zamykać oczu. Zaraz bowiem wracały obrazy, których wprawdzie nie widział osobiście, ale za to wyobrażał sobie na dziesiątki różnych sposobów. Sam nie wiedział, co gorsze. Rzeczywistość czy jego przypuszczenia?

Jak to było? – dręczył się. – Co oni czuli? Czy zdążyli się wziąć za ręce? Dotknąć? Pożegnać? Czy bardzo ich bolało?

Józek chrapał w najlepsze, ale i on zapewne przeżywał podobne emocje. Pewnie ten kamienny sen, w który od razu zapadł, był też jakąś formą ratunku dla jego organizmu oraz psychiki.

Dominik pomyślał o nim z wdzięcznością. To był jedyny okrucieństwa w jego zamrożonym sercu. Fakt, że przyjaciel wyruszył z nim w nieznaną, zostawił swój dom, rodziców, wszystko.

Przewracał się na twardej ziemi, jeszcze bardziej brudząc odświętną koszulę. Chciał odpocząć i bardzo tego potrzebował, ale nie mógł.



Być może jednak fakt, że nie spał tej nocy, uratował mu życie. Dzięki temu dostatecznie szybko zauważył niebezpieczeństwo. Zdążył się przynajmniej zerwać i krzyknąć. To sprawiło, że Józek również błyskawicznie wstał. Wprawdzie silny cios w brzuch chwilę potem powalił go na kolana, ale przynajmniej zdołał ochronić głowę przed wielką siekierą, która leciała w jego stronę.

Dominik dostał z pięści i chwiał się teraz, próbując utrzymać równowagę, a krew kapłała mu z rozwalonej wargi.

– Gadać, złodzieje! Skąd macie takie konie?! – krzyczał jakiś obdartus, wymachując nieco zardzewiałym, ale z pewnością ostrym nożem. Jego brudni, obszarpani towarzysze stali za nim w każdej chwili gotowi do ataku. – Komu je ukradliście?!

Dwaj mężczyźni mocno złapali Józka, a trzeci przyłożył mu w brzuch.

– To dworskie. – Dominik próbował ratować sytuację. Nie mieli szans w walce ze wszystkimi przeciwnikami naraz. Mężczyźni mieli ostre narzędzia i kije, a także przewagę liczebną.

– Nie łzyj! – zawołał zbir i przyłożył mu znowu. – Znamy wszystkie konie pana Wierzbickiego. Takich nie ma.

No tak – pomyślał Dominik, chwiejąc się na nogach. Nie chciał doprowadzić do eskalacji bijatyki. Mogliby tego nie przeżyć. Najwyraźniej trochę się oddalili od świata, który znał. Być może nawet nazwisko jego ojca coś by tym obdartusom powiedziało, choć pewności nie było, lecz koni już nikt nie kojarzył. Syna również nie. Przynajmniej z twarzy.

– Dobra. – Drugi z włóczęgów, wyższy i wyraźnie silniejszy, mocno uderzył swojego kompana w ramię. – Skoro tak gadają, to może wiedzą. Bierzemy konie i zaprowadzimy jaśniepanu. Porządek musi być – roześmiał się nieprzyjemnie, pokazując komplet niezdrowych zębów.

– O tak! – zarechotał drugi.

Nie wiedział, czy faktycznie tak zrobią, ale pomysł był niezły. Ukrycie takich rumaków, by nikt ich nie zauważył, mogłoby się okazać niemożliwe. A nawet Żyd nie kupiłby zwierzaka pochodzącego z niepewnego źródła. Natomiast pan we dworze przyjmie wszystko. Swoje i nie tylko. Kolaborował z władzą. Był chciwy i ponury. Jeśli trafią na odpowiedni moment, to może coś dostaną w zamian.

Józek się wyprostował i wreszcie wyswobodził.

– My sami zaprowadzimy – powiedział i w tym momencie dostał jeszcze raz z buta. Stali na lekkim wzniesieniu, poleciał więc siłą bezwładności w tył. Zanim zdążył się pozbierać, złapać oddech, by pomóc swojemu panu, rzucili się też na Podhorskiego.

Dominik został mocno pobity. Napastnikom nie udało się go całkowicie obezwładnić, bo bronił

się z ogromną zaciekłością, ale kiedy jeden z nim walczył, drugi wskoczył Siwkowi na grzbiet, porwał rzemień także od konia parobka i zaczął się oddalać. Jego kompani jeszcze solidnie przyłożyli Józkowi na koniec, a potem pobiegli za złodziejem.

Józek próbował ich dogonić, ale nie dał rady. Nie mógł złapać oddechu, a mięśnie brzucha odmawiały posłuszeństwa. Złapał się pnia drzewa i próbował nie upaść.

Dominik wprawdzie stał o własnych siłach, ale też z trudem łapał równowagę. Dostał solidnie. Co prawda sam też mocno przyłożył napastnikom, ale ich przewaga liczebna dała mu się we znaki. Bolały go żebra. Z nosa, wargi, a także z poharatanego policzka lała się krew. Nie czuł jednak bólu, tylko wściekłość.

Jak mogli się tak dać zaskoczyć?!

Teraz zrozumiał, co Józek miał na myśli, mówiąc, że tylko on może się pokazać w wioskach, które mijają. Dwóch nieznanymi mężczyzn na pięknych dworskich koniach z pewnością zwracałoby uwagę i to, co ich spotkało teraz, mogłoby się zdarzyć w każdym innym miejscu. Pytania, na które nie umieliby udzielić odpowiedzi, oskarżenia, niebezpieczeństwo.

– Zapamiętam nazwisko tego dziedzica – powiedział do Józka. – I wrócimy tutaj – dodał, z trudem łapiąc oddech. – Odbierzemy konie, a potem nasz dwór.

Józek tylko pokiwał głową.

– Tam na dole – wskazał dłonią głęboki jar – płynie jakaś woda. Trzeba iść, obmyć się, napić. Musimy stąd uciekać. Spieszyło im się, nie przeszukali nas, ale mogą wrócić. Takim jak oni nigdy nie jest mało. Trzeba nam prędko ruszać dalej.

Dominik go posłuchał. Zeszli na dół, pomagając sobie nawzajem. Podhorski zaczął chłodną wodą przemywać twarz. To spowodowało, że znieczulenie wywołane emocjami ustąpiło. Ból rozlał się po całym obitym ciele.

– Powinienem być mocniej im przyłożyć! – denerwował się.

– To zbóje! – Józek nie miał złudzeń. – Wszyscy mieli noże. A jeden nawet siekiere. Spieszyli się, żeby zabrać konie. Inaczej nic by nas nie uratowało. Za same buty mogliby gardło poderznąć. Trzeba się cieszyć, że żyjemy.

Dominik wcale nie był taki pewien, czy to akurat szczególny powód do radości. Życie się na niego uparło. Po raz drugi w tak krótkim czasie został uratowany ze śmiertelnego niebezpieczeństwa przez przypadek. Gdyby spał, może by mu rzeczywiście poderznąli gardło. Gdyby nie pojechał szukać w dniu ślubu głupiego konia, zginąłby razem ze swoją rodziną. Tak się jednak nie stało. I jak to wszystko zrozumieć?

– Dlaczego akurat ja? – Spojrzał na Józka, jakby ten mógł pojąć całość jego wyводу myślowego, ale najwyraźniej tak się rzeczywiście stało. Parobek, przyzwyczajony do zaskakujących pytań oraz niekończących się dywagacji, pokręcił głową.

– Nie znam odpowiedzi, ale Bóg zna. Jakaś przyczyna musi być.

Umyli się. Nie było łatwo, bo nawet schyłanie stanowiło spory wyczyn. Dominik wyprał koszulę. Większość zabrudzeń zeszła, ale kolor bardzo się zmienił. Zimna woda nie była w stanie przywrócić dawnej bieli. Koszula prezentowała się teraz tak marnie, że z całą pewnością nikt już nie będzie pytał, kim są. Poszarzała z tyłu od ziemi i trawy, z przodu od wielkiej plamy krwi, wymięta i mokra szybko stanie się ubiorem włóczęgi pasującym do ich sytuacji.

– Dokąd my właściwie się wlecemy? – zapytał Dominik, spoglądając w górę. Nie chciało mu się nawet wychodzić z tego jaru, do którego wleźli w poszukiwaniu wody.

– Tak daleko, jak prowadzi droga – stanowczo powtórzył Józek słowa swojego dawnego pana. – Potem się zobaczy. Najważniejsze, żeby iść.

A to wbrew pozorom wcale nie było takie proste. Oberwali solidnie. Józek mocno kulał, a Dominik czuł potężny ból pod żebrami, który utrudniał zaczerpnięcie powietrza. Każdy krok teraz był wysiłkiem i o ile wcześniej poruszali się w dość dobrym tempie, o tyle teraz droga wiła się przed nimi w nieskończoność.

– Nigdy się nie skończy – powiedział Dominik, kiedy koło południa wyszli z lasu i wstąpili na ubity zakurzony trakt prowadzący do jakiejś kolejnej wioski. Nawet nie wiedział, do jakiej. Słabo się

orientował w okolicy. Prawie nigdy nie bywał dalej niż kawałek od domu. – Widzisz, jak to jest – powiedział do Józka. – Ojciec zawsze zabierał Franciszka na jarmark, jako starszego. Ja siedziałem z matką. Nawet nie wiem, co jest poza granicami naszej wioski.

– Skąd wasz ojciec miał wiedzieć, że przyjdzie nam kiedyś żyć dalej niż najbliższe sąsiedztwo? Nie mógł. – Józek tylko westchnął. Bardzo źle się czuł, ale nie chciał tego dać po sobie poznać.

– Tak. – Dominik kiwnął głową. Od pokoleń życie rodziny toczyło się w jednym miejscu. Żenili się wśród znajomych, prowadzili interesy z sąsiadami, zakupy robili w najbliższym mieście i to rzadko, bo dwór był raczej samowystarczalny, a matka prowadziła go oszczędnie.

Nawet meble zamówiła u miejscowego stolarza, a nie jak niektórzy w drogich sklepach. Nie zależało jej na tym, by się chwalić bogactwem przed światem. Wolała bezpieczeństwo, jakie daje rodzinie pełna spiżarnia, dobrze prowadzone gospodarstwo, oszczędności.

Gdzie teraz było to wszystko?

– Po jaką cholere moi rodzice pracowali?! – Dominik zwrócił się znowu do Józka, krzywiąc się jednocześnie z bólu, a parobek cierpliwie spojrział na niego z niezmienną życzliwością.

– Na pewno ludzie Brackiego znajdą teraz ukryte monety – powiedział Podhorski z żalem. – Zeżrą szynki, które matka tyle czasu wędziła, wypiją kompoty, wyliżą konfitury, wybiją gęsi, kury, indyki, wypiją mleko od krów – wyliczał w rytm kolejnych kroków wywołujących coraz mocniejsze fale bólu. – A nasza urodzajna ziemia będzie im rodzić pszenicę! – dodał ze złością, po czym splunął krwią. – Co ona winna? Przecież nie wie, że zmienił się pan!

Dominik obrócił się nagle i zauważył, że jego parobek, sądząc, że nikt na niego nie patrzy, skręca się z bólu.

Walnął się w głowę.

– Co tobie, Józek? – Podszedł bliżej. – Mów. Głupi jestem, że bez przerwy ci się żalę, a ty nawet nie odpowiadasz. Już nie będę! – To przyrzeczenie wyrwało mu się z głębi serca i złożył je przede wszystkim sobie.

Faktycznie dotarł do jakiegoś kresu.

Przestał być już młodym chłopakiem, który może sobie bezpiecznie narzekać na los, bo wszystkimi prawdziwymi problemami i tak w gruncie rzeczy zajmują się rodzice. Stał się dorosły. Co więcej, odpowiedzialny za przyjaciela, który zostawił wszystko, żeby z nim być.

Dość tego! – pomyślał sobie, patrząc na skrzywioną cierpieniem twarz swojego parobka. Pomógł mu usiąść na brzegu drogi.

– Odpocznij – powiedział z troską. Nie mieli nawet wody, bo nie było jej do czego zaczerpnąć. Obok przejechał wóz, a kurz podniósł się do góry. Wstawał bardzo słoneczny dzień. Wiosna zaczynała rozkwitać w pełni. Zbliżali się do granic jakiejś wioski i widać było, że i tutaj przy chałupach kwitną bzy. Coś jednak łączy obce ziemie z tym, co każdy człowiek ma w sercu.

Są pewne podobieństwa. Dominik był jednak pewien, że nic nie sprawi, by kiedykolwiek jeszcze poczuł się gdzieś jak w domu.

– Poczekaj – powiedział. Wyciągnął z kieszeni garść monet i wybrał tę najmniejszą, miedzianą. – Skoczę do tamtej chałupy, przyniosę trochę wody, może jakiegoś jedzenia.

– Nic nie będą mieli. – Józek jednym celnym rzutem oka ocenił zamożność gospodarstwa położonego na skraju wioski. – Musisz iść dalej. Tam, gdzie dach w miarę prosty i płot też stoi równo, będą może mieć zapasowy bochenek chleba albo trochę sera. Tu pewnie nic, tylko tyle, żeby raz dziennie dzieciom dać coś do gęby.

Dominik nie dyskutował. Pewnie parobek miał rację. Chłopska chata to nie dwór, żeby mieli Bóg wie jakie zapasy. Poszedł więc, starając się trzymać prosto i nie pokazywać przyjacielowi, że on też ledwo stawia kolejne kroki. Wystarczyło, że pierwszą dobę Józek był silny za nich dwóch. Teraz tę rolę przejął Dominik i zamierzał się z niej wywiązywać już stale. O życiu i jego zawitych zakrętach postanowił na razie nie myśleć. Może kiedyś zrozumie, co się właściwie stało. Może nigdy. Jak po czymś takim można się w ogóle podnieść?

Słońce przypiekało mu w twarz, psy zaczęły się dobierać do spodni. Ilość ujadających kundli powiększała się z każdym jego krokiem, czyniły mnóstwo jazgotu. Te, które do niego nie doskakiwały,

objały się o swoje budy czy szopy uwięzione na sznurkach i łańcuchach.

Współczuł im, bo kochał zwierzęta. Ale jego psy też zostały we dworze. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że służba o nie zadba. Zacisnął pięści. Bezsilność wobec tych wszystkich spraw była najgorsza.

Ale szedł dalej. Był odpowiedzialny za przyjaciela.

Wreszcie zobaczył chałupę, przy której kwitły aż trzy bzy. Podwórko było zamiecione, a płot stał wyjątkowo równo. Józek byłby zadowolony.

– Pochwalony! – powiedział Dominik, podchodząc bliżej do płotu. W odpowiedzi jakaś młoda dziewczyna, która niosła mleko, położyła garnek na stopniach i szybko uciekła w głąb chałupy.

Dominik westchnął. Nie dziwił się. Pewnie droga, którą przebył i to, co przeżył, mocno wyrysowały się na jego twarzy. Dotknął dłonią ust i poczuł, jak bardzo są napuchnięte. Nie miał lusterka, więc nie zdawał sobie sprawy, że pod oczami zaczyna mieć brzydkie sińce. A kiedy wypowiedział słowo, pękła warga i krew znów zaczęła kapać mu na koszulę.

Po chwili z domu wyszedł jakiś starszy mężczyzna.

– Czego tu?! – zawołał opryskliwie.

– Nic złego – powiedział spokojnie Dominik. – Wędrujemy do rodziny. Napadli nas po drodze. Szukam kogoś, kto sprzeda mi pół bochenka chleba. – Wyciągnął dłoń z monetą od razu, żeby uprzedzić dyskusję o włóczęgach i żebrakach. A także by mężczyzna nie spuścił z łańcucha psa, do którego cały czas się zbliżał. Ogromnego białego futrzaka, szczerzącego zęby z wyraźną ochotą, by się na kogoś rzucić.

Moneta zadziałała zgodnie z przewidywaniami. Przyciągnęła wzrok mężczyzny.

– Skąd masz pieniądze? – zapytał gospodarz.

– Ojciec mi dał – odparł Dominik zgodnie z prawdą. – Kiedy mnie wyprawiał na drogę. Miałem też konia, ale mi ukradli. W lesie. – Zamachnął się ręką mniej więcej w prawidłowym kierunku.

Czasem prawda ma moc. Bywa, że ludzie rozumieją się na poziomie, w którym nie ma słów, lecz emocje. Dominik wiedział, że gospodarz jest bardzo nieufny i żadne wytłumaczenia by go nie przekonały. Ta bezpośrednia prawda jednak zrobiła swoje. Poza tym widać było, że ten włóczęga różni się od innych. Inaczej mówi, stoi i patrzy śmiało w oczy. Coś było na rzeczy. Gospodarz uważnie obejrzał monetę, a potem wziął ją i szybko schował.

– Dobrze – powiedział. – Jadźka! – zawołał w głąb domu. – Daj pół bochenka chleba, mleka do dzbanka i trochę sera. Niech się gość posili. – Wskazał mu ręką ławkę stojącą przed domem.

– Ja nie mogę tu zostać – powiedział Dominik. – Zostawiłem swojego... – chciał powiedzieć „parobka”, ale zdał sobie sprawę, jak głupio by to brzmiało – ...przyjaciela przy drodze. Muszę do niego wrócić.

To gospodarz dobrze znał. Życie miał niełatwe. Brał udział w bitwach i wiedział, jak to jest, kiedy się prowadzi rannego do domu. I choć miał świadomość, że teraz przyczyna wędrowki tych chłopaków jest na pewno inna, bo od dość dawna nie toczyła się tutaj żadna bitwa, to jednak skojarzenie okazało się bardzo silne, bliskie.

– Zostań – powiedział do Dominika. – Ja go przyprowadzę. – Siedzi przy drodze? – domyślił się.

Chłopak potwierdził, kiwając głową. Z ulgą przyjął tę propozycję, bo coraz mocniej uświadamiał sobie, że jednak w bijatyce ucierpiał silniej, niż się spodziewał. Kręciło mu się też w głowie z głodu, uczucia, które nie chciało się usunąć na bok wobec ważniejszych spraw, tylko akurat teraz skręcało mu żołądek. Musiał włożyć wiele wysiłku, by pod ostrzałem oczu gospodarza tego domu, a także jego córki, która wyszła właśnie na zewnątrz, utrzymać prostą sylwetkę. Zdołał jednak dotrzeć do ławki w miarę sprawnie i usiąść. Dziewczyna podała mu dzbanek z mlekiem.

Zaczął pić chciwie. Bardzo mu smakowało. Potem odłamał kawałek chleba i wbił w niego zęby. Przełknął kilka kęsów, po czym na chwilę przymknął powieki. Bolało jak cholera. Jeszcze mocniej niż kilka chwil temu. Jakby chwila odpoczynku wzmogła objawy. Zacerpnął powietrza i znów śmiało spojrzął przed siebie. Czekał na Józka. Musiał być silny. Dobrze, że poszedł po niego gospodarz, bo Dominik być może nie dałby rady dotrzeć tutaj jeszcze raz.

A przyjaciel rzeczywiście pilnie potrzebował pomocy. Ledwo szedł. Gospodarz mocno go podtrzymywał. Józek starał się stawiać kolejne kroki, ale chyba już wyczerpały mu się siły, bo kiedy

tylko dotarł na podwórko, zobaczył Dominika i poczuł się trochę bezpieczniej, zemdłał.

– Temu to nieźle przyłożyli – powiedział gospodarz. – Ale nic to. Znamy się na tym.

Jego córka przybiegła na pomoc, a Dominik też wstał z ławki i nie zważając na ból, również pomógł nieść przyjaciela do chałupy.

Weszli do niewielkiej kuchni. Nie było nikogo. Palił się ogień w piecu i coś bulgotało w dużym garnku. Łóżka były pościelone, panowało ogólne wrażenie porządku.

– Nie ma dzieci? – zdziwił się Dominik. Ilość pościeli świadczyła o tym, że rodzina była raczej duża.

– Poszli wszyscy na pole – odparł gospodarz. – Mała i duża dzieciarnia. Wszystkie pomagają. Tylko Jadźka została gotować – dodał, kładąc ostrożnie Józka na ławie. Przytomniał, bo jęknął, kiedy się rozprostował na twardym podłożu. – A ja musiałem doglądać zwierząt – wyjaśnił.

Jego córka w tym czasie podniosła głowę Józka i wlała mu do ust kilka kropel wódki. Pomogło. Chłopak zakaszał, podniósł powieki, a potem nawet samodzielnie usiadł, podpierając się jedną ręką. Jadźka nalala mu zupy. Jadł łapczywie, parząc sobie usta.

– Jakbyście mieli jeszcze trochę grosza – powiedział powoli gospodarz, uważnie spoglądając na Dominika. – To ja bym wiedział, do której chałupy pójść, co by wezwać kogoś, co was obu obejrzy i oporządzi. Sprawdź, co wam jest.

Józek rzucił Dominikowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten włożył już rękę do kieszeni, próbując palcem wybadać monetę o najniższym nominale, żeby nikt się nie zorientował, że mają więcej. Byli łatwym celem: pobici, sami w jakiejś wiosce, której nie znali.

– Proszę – powiedział Podhorski. – Ojciec przed śmiercią dał mi wszystko, co miał – wyjaśnił również zgodnie z prawdą. – Trzeba mi wypełnić jego wolę.

– Idziesz gdzieś? – zapytał gospodarz z ciekawością, a jego córka czujnie nadstawiła uszu.

– Nie – powiedział Dominik. – Tylko uciekam.

Chłop przysiadł po drugiej stronie i myślał. Dominik dobrze to znał. Tacy jak on nie byli wykształceni. Większość z nich nie umiała pisać, a liczyć tylko w podstawowym zakresie, żeby sobie dać radę na targu. O świecie wiedzieli jeszcze mniej niż chłopak z dworu, a jednak mieli swój rozum, w którym twardo oceniali rzeczywistość i podejmowali decyzje. Potrafili być praktyczni.

Teraz też starszy mężczyzna patrzył uważnie na Dominika. Coś kalkulował, jakby mu mierzył szerokość ramion. Spoglądał też na jego dłonie, twarz, potem tak samo otaksował Józka. Chyba wynik mu wyszedł niezły.

Dwóch młodych silnych mężczyzn.

Jeden z jakimiś drobnymi pieniędzmi w kieszeni, wyraźnie mówiący i zachowujący się jak ktoś, kto nie przyszedł na świat w chłopskiej chacie. Taki w rodzinie zawsze się przyda. Kto wie, co ten chłopak ma jeszcze gdzieś schowane. Wygląda na to, że u niego rozum z innego świata. Bardziej pasujący do pańskich stołów. Raczej nie głodował w dzieciństwie, choć teraz rzucił się na zupę Jadźki jak pies na kości, to jednak prawdziwej biedy nigdy nie zaznał. Nie niszczyły go choroby.

Był inny niż kawalerowie ze wsi. Siedzący gromadami w za ciasnych chałupach. Chudzi, głodni, patrzący, jak by się tu wżenić w dobrą rodzinę.

Spojrzał na swoją córkę, z której na chwilę nieopatrznie spuścił wzrok, skupiony na głębokim procesie myślowym. Przyłapał ją, że i ona zerka na gości, a ten Dominik choć z opuchniętą twarzą, to jednak był przystojny.

Gospodarz pokiwał głową. Proces myślenia się zakończył. Nigdy nie marnował na niego czasu więcej, niż było to konieczne. Przybłędów raczej tutaj nie przyjmowano z otwartymi rękami, ale ten przypadek był inny. Mogły z niego wyniknąć korzyści, a chłop niczego w życiu tak nie považał jak niespodzianych zysków.

– Dobrze – powiedział, wstając. – Pójdę po starą Zajacową. Niech was obejrzy. – Pieniądze wsadził do kieszeni. – Nie przyznam się, że coś więcej macie – obiecał. – Żeby się baba niepotrzebnie nie targowała.

Dominik wiedział, że jak na ten moment gwarancja bezpieczeństwa jest szczerą, choć z całą pewnością nie bezterminową i w każdej chwili może się zmienić.

Gospodarz wstał z ławki, zatrzymał się w progu, obejrzał raz jeszcze za siebie, jakby ostatni raz postanowił przemyśleć swoje decyzje, a potem zrobił coś, czego nikt się po nim nie spodziewał. Zostawił swoją córkę z dwoma obcymi mężczyznami w chałupie.

– Daj im jeszcze zupy – powiedział, zanim na dobre wyszedł.

Czuł się zadowolony ze swojego pomysłu. Był pewien, że intuicja go nie myli.

Czasem człowieka można rozpoznać po krótkiej rozmowie, jak dobry alkohol po jednym łyku. Jeśli się na tym znasz, od razu stwierdzisz, z czego trunek został zrobiony i czy przez dobrego fachowca.

Podobnie bywa z ludźmi. Stary gospodarz przejrzał Dominika na wylot. Wiedział, że to dziecko z lepszego domu. Pracowite i o dobrych intencjach. Żaden prostak czy brutal. Nie tchórz, do tego lojalny wobec swojego przyjaciela.

Krótko mówiąc, świetny mąż dla jego córki. Nie bez powodu ta chata wyglądała na jedną z najlepszych w wiosce. Jej właściciel miał łeb na karku i umiał z przypadków, które tak licznie pojawiają się w życiu każdego człowieka, skorzystać nawet wtedy, gdy niedokładnie rozumiał, co konkretnie się dzieje. Grunt to wyciągnąć własną korzyść. To właśnie zamierzał zrobić.

Zanim zamknął drzwi, spojrzał jeszcze na Jadżkę. Wyglądało na to, że wszystko rozumie. Zaczęła się kręcić wokół mężczyzn, jakby byli jej bliską rodziną. Przyniosła miskę z wodą, żeby Dominik mógł się obmyć, bo krew wciąż plamiła mu policzek, szyję i ramię, a potem pomogła Józkowi przenieść się na łóżko w kuchni. Zamieszała w garnku z zupą. Nic nie mówiła, rzucała tylko w stronę gości ukradkowe spojrzenia.

Dopiero kiedy wszystko zostało zabezpieczone, odezwała się cicho, że zaraz wraca i wybiegła z kuchni, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Dobrze trafiliśmy – powiedział cicho Dominik, kiedy tylko zostali z Józkiem sami. – Może by tu jakiś czas przeczekać, żebyś wydobrzeał?

– Daj mi pieniądze – odparł szybko parobek. – Zbyt często wkładasz rękę do tej samej kieszeni i za dużo ludzi to widziało. – Dominik go posłuchał. – Możemy tu przenocować – powiedział Józek. – Ale zaraz potem trzeba iść dalej.

– Dlaczego?! – oburzył się Podhorski. – To dobre miejsce. Nabierzemy sił i wrócimy do dworu. Przecież to nie może tak zostać, żeby oprawca i krzywdziciel spał teraz w ojcowym łóżku i cieszył się spokojem.

– Co zrobisz? – Józek skrzywił się z bólu. – Gołymi rękami na niego pójdziesz?!

– Może namówię tu ludzi z wioski, żeby nam pomogli. Wyglądają na uczciwych.

– Z carskimi będą walczyć?

Dominik westchnął.

– Tak daleko, jak prowadzi droga – powtórzył Józek uparcie. – Zostaniemy tu na noc, a potem ruszamy dalej.

– Ta dziewczyna miło na ciebie patrzyła – powiedział Podhorski. – Mógłbyś tu zostać. Znalazłbyś bezpieczny dom. Nie będą cię szukać.

Im dłużej Dominik nad tym myślał, tym bardziej widział, jaka to dla przyjaciela szansa.

– Nie – powiedział Józek stanowczo. – Nie ma mowy!

– Popatrz... To piękny dom. Dużo ładniejszy od twojej chaty. Jakiś zamożny gospodarz, a dziewczyna ładna, miła. Nie chcę, żebyś przeze mnie zmarnował sobie życie. Nie trzeba mnie niańczyć. Mówię różne rzeczy, ale przecież wiem, że na razie nie mogę wrócić.

Opuścił głowę, a do kuchni znów weszła córka gospodarza. Wślizgnęła się nieśmiało, jakby liczyła na to, że jej nie zauważą. Już zmieniła bluzkę na czystą, założyła czerwone korale i kwiecistą spódnicę jak do kościoła. Lekko się zaczerwieniła, kiedy Dominik na nią spojrzał, a potem pochyliła się koło pieca i zaczęła dorzucać drzewa. Aż żal było tego ładnego odzienia. Wyraźnie coś się tutaj szykowało.

Po chwili Józek zasnął. W izbie było ciepło i cicho. Zupa w garnku już się dogotowała. Stała teraz zdjeta z gorącej blachy, czekając na resztę rodziny, a Jadzia kręciła się wokół stołu i łóżka, udając pilnie zajęta domowymi sprawami, choć jako żywo do obiadu wszystko było już gotowe. Była pewna, że dobrze zrozumiała ojcowe intencje, ale i też do niczego nie trzeba jej było przymuszać. Ten milczący

mężczyzna w zakrwawionej koszuli bardzo jej się spodobał. Różnił się od wszystkich chłopaków, jakich znała do tej pory.

– Może wypiorę tę koszulę? – zapytała nieśmiało.

Dominik drgnął wyrwany gwałtownie ze swoich myśli. Spojrzał na nią zaskoczony, bo jeszcze sekundę temu był w swoim domu i stał czyściutko ubrany, patrząc przez okno, jak ojciec wita gości.

Co tu prac? – pomyślał odruchowo i spojrzał w dół. Wilgotny brudny materiał zszokował go, jakby zapomniał, co przeszedł w ciągu ostatnich godzin.

Szybko wrócił do rzeczywistości. Postanowił grzecznie odpowiedzieć. Ta dziewczyna była bardzo miła, niczemu niewinna.

– Dziękuję – odparł i ściągnął koszulę przez głowę, rozpiąwszy tylko dwa guziki.

Dziewczyna nie spodziewała się takiej błyskawicznej reakcji. Westchnęła i cofnęła się o krok. Mężczyzna był pięknie zbudowany. Z przodu na żebrach miał ogromne sińce, podobnie jak na plecach. W przeciwieństwie do swojego towarzysza sprawiał wrażenie, jakby nic go nie bolało, ale to z całą pewnością była tylko poza.

Jadzia z każdą chwilą czuła, że plan ojcowy, jeśli o nią chodzi, spełnia się błyskawicznie. Jednak pewnie na odzew drugiej strony trzeba będzie trochę poczekać. Ci młodzi mężczyźni mało na nią patrzyli. Nie zagadywali, nie próbowali żartować ani w żaden sposób wykorzystać faktu, że zostali z nią w domu sami.

Postawiła na piecu garnek z wodą, po czym wzięła puste wiadro i wyszła do studni. Dominik, nie namyślając się wiele, wstał i poszedł za nią, a potem bez słowa pomógł jej wyciągnąć wodę, kręcąc zardzewiałą korbą. To był odruch. Tak go wychowano. Kobietom w domu się pomagało, a mama uczyła chłopaków pracy, chcąc, by gdy staną się dorośli, umieli o siebie zadbać. Zatrzaszczyć się o każdą powierzoną im rzecz, kawałek ziemi, zwierzę, a przede wszystkim zależnego od nich człowieka.

Dominik więc nie zastanawiał się, co czuje stojąca obok niego dziewczyna, która takich gestów życzliwości nie doświadczała na co dzień zbyt wielu. Przyglądała się temu mężczyźnie intensywnie, a serce mocno jej biło.

Ale Dominik był skupiony na czymś innym. Wyciągając ciężkie wiadro, myślał tylko, żeby nie jęczeć z bólu, bo nadwyrężona pięść, ramię, a także żebra znosiły te prace równie źle jak stary łańcuch, który skrzypiał niemilosiernie. Kiedy się udało, odetchnął z ulgą. Przełał wodę do wiadra, które trzymała dziewczyna, a potem zaniósł je do domu. Usiadł przy stole. Spojrzał na Józka, który wciąż spał, westchnął i znów odpłynął do swoich myśli.

Jadzia pomyślała, że muszą być bardzo ciężkie. Nie myliła się.

Nie odważyła się jednak o nic zapytać. Wyprała mu koszulę i zawiesiła na sznurku. A chwilę później wrócił gospodarz, prowadząc jakąś starszą kobietę.

Ta błyskawicznie omiotła wzrokiem kuchnię, spojrzała na córkę gospodarzy i dwóch młodych mężczyzn. Pokiwała głową. Od razu się domyśliła, co tu się święci. Ścisnęła w ręce monetę, którą gospodarz jej przekazał, i postanowiła dobrze wywiązać się z zadania. Obcych do wioski nieczęsto wpuszczano. Nawet ożenki odbywały się raczej w ramach bliskiego sąsiedztwa. Dalej ludzie rzadko sięgali. Stara kobieta wiedziała, że nowe nie zawsze znaczy lepsze. Trzeba być ostrożnym, kogo się przyjmuje pod swój dach.

Usiadła więc naprzeciwko Dominika i najpierw spojrzała mu w oczy, a on wytrzymał to bez trudu. Głównie dlatego, że było mu wszystko jedno, co ona sobie pomyśli. W obliczu rzeczy, których doświadczył, mało co się liczyło.

– Pewnie mi nie powiesz, skądżeście przyjechali? – zagaiła, a on pokręcił tylko głową. – No nic, jak chcesz. – Podniosła się szybko z ławy. – Zobaczymy, co u ciebie słychać. Nieźle ci ktoś przyłożył.

Dominik nie skomentował. Nie trzeba było wróżbity, by to stwierdzić. Czuł, jak puchną mu policzki i warga. A siniaki na pozbawionym koszuli ciele też z daleka rzucały się w oczy.

Zającowa obejrzała jego wargę, policzki, oko, a potem długo i dokładnie dotykała jego brzucha. Momentami tylko przymykał oczy, ale wytrzymał badanie. Było bardzo nieprzyjemne, kobieta bowiem szczególnie długo dotykała go tam, gdzie najbardziej bolało. Wreszcie pozwoliła mu usiąść.

– Nic ci nie będzie – zawyrokowała. – Twardy jesteś. Obili cię dość konkretnie. Dwa tygodnie

poboli, ale później przestanie. – Wyciągnęła z worka jakieś małe zawiniątka, po czym podała je Jadźce. – To są zioła. Jedne na rano, drugie na wieczór. Będzie lepiej spał i przestanie go boleć. Udaje, że nic mu nie jest, ale to nieprawda.

Gospodarz przyglądał się temu wszystkiemu bardzo zadowolony, jakby właśnie zakupił nową klacz do swojego gospodarstwa i teraz fachowiec ocenił ją jako świetną inwestycję. Potem zielarka obudziła Józka i też go zbadała.

– Na szczęście nic nie jest złamane, ale ten obtłuczony dużo bardziej. Musi na siebie uważać.

Dominik utwierdził się w przekonaniu, że będą tu musieli trochę pobyć. Tak długo, aż Józek wydobrzeje.

Dla niego zielarka wyciągnęła aż cztery zawiniątka z ziołami i ułożyła je w kolejności na parapecie, tłumacząc Jadźce, kiedy i w jaki sposób ma je parzyć. Potem wzięła jakąś śmierdzącą maść i dokładnie nasmarowała kolano, brzuch oraz plecy Józka. Jęczał przy każdym przewróceniu. Musiało go strasznie boleć, bo był twardym facetem.

Tydzień – pomyślał Dominik. – Może to i lepiej, że zatrzymamy się nie tak bardzo daleko od domu? Może przyjdą jakieś wieści? – Spojrzał w stronę, gdzie jego zdaniem znajdował się rodzinny dwór w Podhorowie. Choć szczerze powiedziawszy, w czasie tej chaotycznej jazdy przed siebie stracił poczucie kierunku.

Gospodarz odprowadził zielarkę do drzwi, a Jadźka dała jej jeszcze na drogę kawałek sera i trochę jajek w koszyku. Kobieta pogłaskała ją. Widać była z tych bardziej dobrotliwych wieśniaczek, co to troszczą się o powierzonych im ludzi.

– Uważaj na siebie, dziewczyno – powiedziała, kiedy obie wyszły już z domu. – To dobry mężczyzna, ale trochę nie z twojego świata. Bardziej bym ci radziła popatrzeć na tego, co leży na łóżku. Ten by ci się nadał. Lepiej pasuje.

Jadźka tylko wzruszyła ramionami, udając, że to jej wcale nie dotyczy i w ogóle nie rozumie, o czym toczy się rozmowa, ale wracała do domu nieco niezadowolona. Była już panną na wydaniu. Miała dziewiętnaście lat i rodzice od dłuższego czasu przyglądali się różnym mężczyznom w okolicy. Ojciec na szczęście nie naciskał. Niektóre jej koleżanki brały ślub, ledwo szesnastkę przekroczyły. Dziś już miały po dwoje dzieci. Ale Jadźka uważała, że to nie było dobre. Patrzyła na ich zmęczone twarze, widziała, jak z trudem radzą sobie z kolejnymi ciążami, niedobrymi teściowymi, ale także mężami, którzy po ślubie lubili się zmieniać.

Tata obiecał jej, że wyda ją za kogoś dobrego. Ona więc też cały czas miała otwarte oczy. Z jednym potańczyła po sianokosach, z innym porozmawiała pod kościołem, pośmiała się na odpuście. Niektórzy nawet jej się podobali, ale żaden jeszcze nie zakręcił w głowie.

O tak, teraz miała co do tego całkowitą pewność, bo właśnie odczuła, jak to jest, gdy ktoś nagle zaczyna przyciągać twój wzrok tak silnie, że nie jesteś w stanie opanować. Gdy serce bije mocniej, dłonie drżą, a ty jesteś ciekawy wszystkiego. Co mówi, myśli, skąd przybył, kim jest, jakie kłopoty go dręczą. Może trochę też dlatego, że nic o tym tajemniczym Dominiku nie wiedziała. Co złego go spotkało? Dlaczego dotarł do ich chałupy w takim niedobrym stanie?

Pobiegła szybko do piwnicy. W głęboko wykopanej ziemiance w jednej z komór trzymali lód. Bryły wciąż zachowały się w dobrym stanie. Odłamała kawałek, a potem w domu zawinęła w szmatkę i zrobiła z niego zimny okład. Podała Dominikowi, żeby sobie przyłożył na twarz.

Ich dłonie się zetknęły, czego Dominik nawet nie zauważył, ale ona poczuła dreszcz, jakby stało się coś niezwykłego. Chłoneła ten moment. Wiedziała, że będzie krótki. Za chwilę miała wrócić rodzina, by zrobić sobie przerwę w pracach trwających od świtu, zjeść posiłek, trochę odpocząć. Czas na osobności się kończył.

– Co z nimi zrobimy? – zapytała ojca.

– Na razie do stodoły – zdecydował szybko mężczyzna. – Noce już ciepłe, nic im nie będzie. A matka mogłaby się dziwować, że tu są. Najpierw z nią pogadam.

Jadźka kiwnęła głową. Matula dobra była, a jak się zdenerwowała, to lepiej było zejść jej z drogi. Nie pojmowała rzeczy w lot, jak ojciec. Czasem długo jej trzeba było tłumaczyć, powtarzać w kółko. Szkoda byłoby tak się szarpać przy tych nieznanym mężczyznom. Kto wie, jakich głupot by matka

nagadała.

Zabrali się do działania. Pomogli wstać Józkowi z łóżka, a potem przejść przez podwórkę. Umościli mu legowisko w sianie, rzucili jakąś derkę i położyli. Obok niego usiadł Dominik.

– Na razie tu przeczekaście – powiedział gospodarz. – Pogadam z żoną i pomyślimy, co dalej. Lepiej, żeby ludzie nie plotkowali, że jakiś obcy śpią u nas w domu. Kłopotów nie potrzebujemy. Powiemy, żeście dwaj parobcy, co to się włóczą za robotą i dzień, może dwa porobicie w polu za kromkę chleba.

– Dobrze – zgodził się Podhorski.

Szok dopadł go, dopiero gdy gospodarz ze swoją córką wyszli ze stodoły, starannie zamykając jej drzwi.

Oto jak zmieniło się jego życie w takim krótkim czasie.

Kromka chleba jako zapłata za całodzienną pracę. Tak niewiele. Tylko chleb. Zawsze mógł sobie wziąć z dworskiej kuchni najlepszego, pieczonego na kapuścianych liściach, z pszenno-żytniego zakwasu, który mama osobiście hodowała od wielu lat, a zaczyn dostała jeszcze od swojej matki w prezencie ślubnym.

Jako mały chłopiec nieraz przyglądał się, kiedy dokarmiała mieszankę wody i mąki, tłumacząc mu, że trzeba się z tym zakwasem obchodzić delikatnie, jak z żywą istotą. Mieszać, dawać jeść, trzymać w odpowiedniej temperaturze. Kiedy dorósł, już jej nie towarzyszył w tych domowych obowiązkach, ale wciąż to pamiętał. Kromka chleba przychodziła do niego zawsze za darmo, tylko z tego powodu, że był dworskim synem. Teraz miał się przekonać, jaka jest jej rzeczywista wartość. Ile przyjdzie mu się napracować na te kilka kęsów.

Nie było jednak na co narzekać. Dobrze trafili. W tej trudnej sytuacji dano im jeść, udzielono pomocy. Mieli schronienie.

Może jednak zostać tu dłużej? – zaczął się szybko zastanawiać. – Zadbaj o to, by Józek znalazł bezpieczną przystań. Przynajmniej on. Jako mąż najstarszej córki miałby w tym domu dobrze. Już wcześniej chciał się żenić, był gotowy, szukał sobie dziewczyny. Gdyby nie kłopoty, które padły na Dominika, pewnie te plany by się zrealizowały. Na jego weselu nikt by nie strzelał.

Dominik czuł się winny, że się zgodził na jego towarzystwo. Był jednak w zbyt wielkim szoku, żeby wszystko wtedy ogarnąć. Przystał odruchowo, ale teraz dopiero dotarło do niego, jak bardzo zmienił życie przyjaciela.

Spojrzał na jego twarz. Wyczerpany i napojony ziołami Józek znowu zasnął. Tak dobrze się znali, a jednak Dominik miał wrażenie, że w tym momencie zrozumiał, kim naprawdę jest ten chłopak, który zawsze był obok.

Jak wiele dla niego poświęcił.

Przecież najgorsze, co może być, to człowiek bez rodziny, domu, nazwiska. Ród jest wszystkim. Pradziadkowie pracują na losy wnuków, sadzą drzewa, z których potem pokolenia zbierają owoce, czyszczą ziemię z kamieni, nawożą, regulują rzeki, rodzą synów i córki, których dobrze wychowują, ochraniają słabszych i chorych, dają schronienie, tożsamość, historię.

Najgorzej być przybłądą. Nikim. Józek sobie na to nie zasłużył. Dwa dni drogi koniem to nie tak daleko. Jak się ożeni, kiedyś będzie mógł wrócić do swoich, nawiązać z nimi kontakt. Minie rok, dwa. Bracki nie zainteresuje się jakąś chłopską rodziną.

To dobry plan – pomyślał Dominik i utwierdził się w przekonaniu, że zatrzymają się tu na dłużej. Na tyle, by tych dwoje młodych mogło coś do siebie poczuć. Wobec wyraźnej woli zarówno dziewczyny, jak i jej ojca, sprawa mogła potoczyć się szybko.

Podhorski pochylił się nad Józkiem, a potem wyciągnął z jego kieszeni pieniądze. Po raz pierwszy przyjrzał im się dokładnie. Z perspektywy właściciela dworu to nie było dużo, ale w chłopskiej chacie majątek. Większość z tych ludzi nigdy nie miała żadnej większej gotówki. Postanowił zostawić to Józkowi, żeby nie wchodził w nowe życie z pustymi rękami. Wiedział, że to właśnie te błyszczące monety zrobiły na gospodarzu takie wrażenie. Dominik wierzył, że dzięki nim przyjaciel znajdzie bezpieczne schronienie.

Józek wciąż spał. Na podwórku zrobił się gwar. Podhorski wstał i przez szpary w deskach

zobaczył wracającą rodzinę. Naliczył siedmioro dzieci. Jakieś podrostki – najmłodszy miał na oko około dziesięciu lat – i okrągła rumiana mama pokrzykująca na nich energicznie, żeby wchodzić do chałupy. Szczekał pies, zrobiło się zamieszanie. Zwykły rodzinny gwar, raczej pozytywny. Ludzie, którzy wrócili z pracy i cieszą się, że będą mogli zjeść posiłek.

Dobre miejsce – pomyślał znowu. – Zdecydowanie dobre miejsce.

Postanowił zostać tutaj tak długo, jak będzie trzeba.

ROZDZIAŁ 11



Wczesnym świtem Antonina wstała z podłogi. Tej nocy nie położyła się ani na chwilę. Modliła się do Boga większego niż kościół, niż proboszcz, który w tej okolicy rościł sobie prawo do wszechmocy i wszechwiedzy, do tego, który stworzył wszystko i też we wszystkim był. Prosiła go o wsparcie. O to, by ten ratunek, który przeczuwała, pospieszył się, nie zwlekał.

Nigdzie nie zatrzymywał.

Z trudem rozprostowała stare kości, a potem zapaliła w piecu i postawiła kilka dużych garnków wody. Julianka wczoraj jej naczepała, żeby prababcia miała zapas. Podziwiała tę dzielną dziewczynę, że żadnej pracy się nie boi. Przyjdzie jej pewnie w ciągu życia odrabiać błędy ojca. Tak to już jest w ludzkich rodach, że czasem ze starań jednej osoby korzystają nawet i trzy pokolenia. Ale niestety też tak, że co jeden zepsuje, to inni muszą naprawiać długo.

Wyciągnęła na środek pokoju dużą balię, a potem naląła do niej ciepłej wody. Dosypała ziół, olejów. Potem powoli się rozebrała i weszła do środka. Ciepła woda otoczyła ją przyjaźnie. Ulga była ogromna. Tego jej ciało bardzo potrzebowało. Odprężający zapach, łagodność wody otuliły ją ze wszystkich stron. Dochodziła do siebie. Gromadziła energię na kolejny dzień. Coraz więcej musiała dokładać starań, by to się udało. Wspomagać ciało ziołami, naparami, słońcem, odpoczynkiem, jedzeniem, żeby chociaż trochę przedłużyć jego działanie, by doczekać tego momentu, kiedy ukochana prawnuczka szczęśliwie wyjdzie za mąż.

Wtedy będzie mogła odejść spokojnie.

– Szczęśliwie wyjdzie za mąż! – dodała z naciskiem, jakby coś chciała zasugerować światu.

ROZDZIAŁ 12



Julianne obudził tupot nóg. Służba biegła po starym dworze intensywniej niż zwykle. Skrzypiały deski podłogi i schody. Poczwała niepokój.

Mama! – pomyślała od razu. Ostatnio coraz częściej źle się czuła.

Dziewczyna zerwała się z łóżka, zarzuciła ciepłą chustę na ramiona, po czym wybiegła ze swojego pokoju.

– Co się stało? – zapytała niespokojnie. Gospodyni schodziła właśnie na dół, niosąc miednicę. Zatrzymała się, widząc córkę państwa. Próbowwała się odwrócić, by zasłonić to co właśnie niosła.

– Mama wymiotowała? – zapytała Julianna z niepokojem. Rozpoznała zawartość natychmiast.

– Tak. – Starsza kobieta kiwnęła głową. – To już nie pierwszy raz – dodała, skoro sprawa i tak wyszła już na jaw. – Trzeba by zawołać lekarza.

Julianna ruszyła w stronę sypialni rodziców. Zapukała.

Mama leżała na łóżku bardzo blada. Ta tajemnicza choroba postępowała zadziwiająco szybko.

Co to może być? – zaczęła się zastanawiać dziewczyna. – Nie suchoty, bo nie było żadnego kaszlu, choć ta bladość cery i krople potu na czole mogłyby na to wskazywać. Raczej nie problemy z przekwitaniem, bo przy nich kobiety nie wymiotowały. Co jeszcze? – Przychodziły jej na myśl same złe diagnozy.

Ojciec siedzący przy łóżku matki wstał i zanim wyszedł, objął Julianne ramionami.

– Powiedz jej coś dobrego – poprosił. – Chyba tego potrzebuje.

Dziewczyna usiadła na miejscu, które opuścił tata.

– Co ci jest, mamó? – zapytała serdecznie.

– Naprawdę nie wiem – odpowiedziała kobieta słabym głosem. – Nie mogę nic jeść ani pić – przyznała się. – Najpierw myślałam, że może coś mi siadło na żołądku, kucharka podała stary rosół albo przypleśniały chleb, ale to mi nie mija. Każdego dnia jest nawet jakby gorzej.

Musiała być faktycznie mocno przestraszona, skoro zdecydowała się zwierzyć ze wszystkiego córce.

– Jak długo już to przede mną ukrywasz? – zapytała Julianna.

– Trzy tygodnie – odparła mama. – Na początku nie było tak źle. Czasem rano wymiotowałam, w głowie mi się kręciło, ale potem znowu ze dwa dni czułam się lepiej. Myślałam, że przeszło. Przypilnuj, proszę, służby, żeby nikomu nie mówili. Lepiej, żeby to się nie rozniosło po wsi. Teraz trzeba zorganizować zaręczyny i przyspieszyć ślub. Dwór nie może zostać bez gospodyni.

– Mamó, co ty mówisz? – Julianna położyła głowę na jej ręce. Przeraziła się. Pocałowała jej dłoń. – Wyleczę cię – obiecała szybko. – Znam się na tym.

Mama uśmiechnęła się blado i pogłaskała córkę po włosach.

– Też się zastanawiałam w nocy, że to chyba jest ten moment, kiedy trzeba wezwać prababcie – powiedziała poważnym tonem. – Tylko po cichu, żeby się ojciec nie dowiedział. On pojechał teraz po lekarza, ale nie wierzę, że Adamski mi pomoże. Nie uratował żadnego z moich synów. To dla niego za trudna sprawa.

Znów pojawiły się te gorzkie nuty, jak za każdym razem, gdy mówiła o utraconych dzieciach.

Julianna wstała, przyłożyła rękę do czoła mamy. Nie było temperatury. Potem sprawdziła pod szyją węzły chłonne, niepowiększone.

– Mogę cię delikatnie zbadać? – zapytała.

Mama była trochę zaskoczona, ale kiwnęła głową. Dziewczyna sprawdziła brzuch, tak jak ją prababcia uczyła, jednak nie wyczuła, żeby jakikolwiek organ wewnętrzny był w niepokojącym stanie.

– Nigdzie cię nie boli? – pytała, dotykając wrażliwych miejsc. Obejrzała jeszcze starannie dłońe mamy, ręce, nogi. Żadnej wysypki, plam, tylko ta okropna bladość i słabość oraz męczące wymioty. Niestety miała świadomość, że są pewne groźne choroby, które schowane są w człowieku bardzo

głęboko. Długo nie dają objawów, a potem atakują z wielką mocą. Jeśli to było coś takiego, rzeczywiście tylko prababcia mogła pomóc.

– Jak my to zorganizujemy? – zapytała.

– W nocy.

– Tata przecież śpi z tobą – zaprotestowała. Naprawdę nie chciała awantury.

– Nie. – Mama pokręciła głową. – Od kilku dni tylko przychodzi mnie rano odwiedzić. Boi się, że to coś zaraźliwego. Wymyka się wieczorem do pokoju gościnnego po cichu. Tak, żeby służba nie zauważyła.

– Niedobrze... – powiedziała Julianna. – Przecież wiesz, że przed służbą nic się nie ukryje. A plotka, że jakaś zakaźna choroba pojawiła się we dworze, nikomu z nas nie jest na rękę. Poza tym czemu mnie nie zapytaliście. Powiedziałabym wam. Zakaźne choroby dają inne objawy.

Pani Łacka nie odpowiedziała.

– Nie rozumiem też, dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś. Zajmujemy się jakimiś głupimi kolacjami, planujemy zaręczyny, a tymczasem ty potrzebujesz pomocy.

– Nie wiesz wszystkiego. – Anna naprawdę bała się, że to dla niej ostatnie dni. – Mamy długi – zrobiła przerwę, po czym zaczerpnęła powietrza dla dodania sobie odwagi. – Dużo – przyznała. – U Żyda, tego, co prowadzi karczmę.

Julianna przypomniała sobie miłego starszego człowieka, który każdemu chętnie się kłaniał, rozmawiał na różne tematy, ale w gruncie rzeczy nikomu nie dawał się poznać. Za to jako jeden z nielicznych zawsze z szacunkiem i jawnie pochlebnie wyrażał się o prababci Antoninie.

– Straszy, że zabierze dwór, pola. – Mama zaczęła płakać. – Wtedy wszystko się wyda! – zawołała. – Żalcyk wie – dodała uspokajająco, widząc przerażenie w oczach córki, ale Julianna nie bała się, że straci przyszłego narzeczonego, bo ten człowiek wylatywał z jej świadomości natychmiast, kiedy tylko przestawano o nim mówić. Jakby nie istniał naprawdę. Bała się o dom. To, co najcenniejsze. Własne miejsce na ziemi dla rodziców. Gdzieżby oni poszli, gdyby ich wygnano? – Bardzo mądrze wybrałaś – powtórzyła pani Łacka. – To dojrzały mężczyzna. Pomoże nam pospłacać pierwsze weksle, zyskamy czas, żeby szukać rozwiązania.

– Jakiego rozwiązania? – zapytała Julianna. – Co zamierzacie zrobić?

Mama była wyraźnie zaskoczona tym pytaniem.

No tak. – Dziewczyna sama sobie odpowiedziała. – Życ po prostu tak samo i liczyć na łut szczęścia. Przecież nic się nie zmieni! Czas upłynie i problemy wrócą. A kłopoty tata rozwiązywał tylko w jeden sposób. Zaciągając kolejny dług.

Zakryła dłońmi twarz. Czuła, jak ogarnia ją rozpacz.

– Jakoś to będzie. – Mama nie знаła innego pocieszenia.

– Żalcyk nie ma aż tak wielkiego majątku – powiedziała Julianna, głos jej drżał z emocji. Bała się. Plan rodziców był taki słaby. – Za to swoje dzieci do utrzymania! – dodała z mocą. – Nie będzie bez końca spłacał naszych długów.

– No dobrze. – Anna westchnęła. – Powiem ci, dlaczego pokładam w nim aż taką nadzieję. Robię to, bo jesteś już dorosła, a ja czuję się naprawdę ciężko chora i nie wiem, jak to się skończy. Dziś jest dużo gorzej niż wczoraj. – Przerwała na chwilę, otarła pot z czoła i dokończyła. – Kocham tatę, jest najlepszy.

Znów przerwała, a Julianna słuchała, nie mając pojęcia, w którą stronę to wszystko zmierza.

– Myślę jednak, że twój przyszły mąż będzie lepszym gospodarzem – powiedziała wreszcie mama. Te słowa przychodziły jej z trudem. – Może czegoś nauczy naszego ojca. To dobry człowiek, ale kompletnie nie potrafi liczyć. Zawsze się kochaliśmy – zaczęła się szybko tłumaczyć. – Jest dla mnie czuły, miał tyle serca dla ciebie, kiedy dorastałaś. Inni mężczyźni tyle nie potrafią.

Julianna nie mogła zaprzeczyć. Mimo wszelkich zastrzeżeń jedno było pewne. Tata to bardzo kochany, spokojny, miły człowiek.

– Ale nasze księgi rachunkowe od lat są byle jak wypełniane – westchnęła pani Łacka. – Ojciec tak dodaje kolumny, żeby zawsze mu wychodził taki wynik, jaki chce zobaczyć, a potem mi pokazuje i cieszy się, że jesteśmy na plusie.

Dziewczyna pokiwała głową. Cały tata.

– Tyle że to wszystko nieprawda! – zawołała pani Łącka. Z trudem mierzyła się z tymi faktami. – Musimy się jakoś ratować. Po twoim ślubie dopilnuję, żeby to pan Żalczyk prowadził księgi, a także całe nasze gospodarstwo. Jego majątek funkcjonuje dużo lepiej.

Julianna czuła, jak zaciska jej się na piersi jakaś metalowa obręcz. Mocne kleszcze. Teraz nie było już odwrotu.

– Biegnij do prababci – powiedziała mama, zmieniając temat. Ta rozmowa bardzo dużo ją kosztowała. – Będę cię kryć przed ojcem. Zresztą on nie zauważy twojej nieobecności, bo wizyta lekarza na pewno się przeciągnie. Adamski lubi dużo gadać i robić mądre miny.

Córka kiwnęła głową.

– Musisz jednak wrócić przed obiadem, bo może się pojawić twój przyszły narzeczony. Ja w południe zawsze czuję się trochę lepiej. Usiądę więc z wami przy stole. Gdyby sprawa wyszła na jaw, wszystkie dolegliwości zrzućmy na kobiece sprawy. Jestem w takim wieku, że nikt mnie nie będzie pytał o szczegóły. Mężczyźni się wstydzą tych tematów. A przed północą niech prababcia przyjdzie. Jeśli ktoś może mi pomóc, to tylko ona.

Julianna chodziła niespokojnie po pokoju.

– Widzisz, jaka ona jest ważna? – Mimo zdenerwowania postanowiła wykorzystać szansę. – Pamiętaj, że daliście mi słowo, że będę mogła się nią zaopiekować. Może kiedyś ja też urodzę dziecko, które trzeba będzie ratować.

Pani Łącka odwróciła głowę. Córka uderzyła bardzo celnie, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Nikt jej nie powiedział, że kiedy chorowali jej starsi bracia, nie pozwolono wezwać Antoniny. Teściowie, którzy jeszcze wtedy żyli, nie zgodzili się na to. Ojciec wprowadził w końcu potajemnie ją przywiózł, ale wtedy okazało się, że jest za późno.

Oczywiście pani Łącka nie miała pewności, czy Antonina by pomogła. We wsi umierały także dzieci, które były przez nią leczone. Śmierci nikt nie pokona. Ale żał, że wtedy nie zrobiła wszystkiego, co mogła, pozostał w jej sercu na zawsze.

– Masz rację – powiedziała. – Tyle lat byliśmy zdrowi. Człowiek szybko zapomina, jak to jest, gdy przychodzi prawdziwe nieszczęście. Mamy trochę czasu do wesela. Spróbuję jakoś ułożyć te sprawy. Porozmawiam z twoim przyszłym mężem. Udajemy, że prababcia Antonina to nie rodzina, ale jednak wszyscy wiedzą, że ona pochodzi z dworu. Myślisz, że inaczej dałaby radę tak długo pracować? Nikt jej nie tyka. Ani ksiądz, ani te złe baby gotowe rzucić się z pazurami na każdego, kto jest od nich chociaż trochę mądrzejszy. Rodzina jest wszystkim, co człowiek ma. Ją też chroni.

Julianna przypominała sobie o tym pomyśle, by jakaś daleka kuzynka stała się następczynią. Powoli zaczynała się z nim godzić. Nie widziała innego wyjścia, wobec faktu, że ona sama nie będzie mogła przecież na stałe zamieszkać w chacie w lesie.

Trzeba to będzie dobrze zorganizować, żeby wobec tej nowej dziewczyny ludzie też nie mieli wątpliwości, że ona również pochodzi z dworu. Żeby przetrwała.



Po rozmowie z mamą Julianna szybko wróciła do swojego pokoju. Ubrała się. Rozczesała swoje długie włosy, a potem błyskawicznie zaplotła je w warkocz. Sama.

Jak chłopka – pomyślała bona, która zajrzała do środka, by sprawdzić, czy panienka nie potrzebuje pomocy. Ale dziewczyna na nią nie spojrzała. Zapięła pasek przy sukience, włożyła buty, zbiegła na dół, porwała ze stołu bułkę i już jej nie było.

– Nawet śniadania przy stole nie zje, jak przystało na porządną panienkę – utyskiwała Stanisława cichym głosem.

Gospodyni, która sprzątała ze stołu, tylko się uśmiechnęła.

– Za to potrafi coś innego, o wiele cenniejszego.

– Nawet sobie tego wyobrazić nie potrafię. – Bona wyduła pulchne usta i sięgnęła po pieczoną kielbaskę. Tyle dobra marnowało się w tym domu. Pan Łącki już zjadł, żona dostała posiłek do pokoju,

a jedyna córka poleciała jak wiatr nie wiadomo dokąd. Zostało mnóstwo jajek, szynki, chleba i najlepszego na świecie żółtego jak kaczenie przy strumieniu miękkiego cytrynowego ciasta. Taki rarytas. Tyle pieniędzy na składniki, a wszystko zostało. Ponoć to pan Łącki zadysponował smakołyk dla żony, ale ona nie była w stanie spróbować.

– Mało wiesz, ale jeśli pomieszkasz tutaj dłużej, sama się przekonasz. Na panienkę Julianę zawsze można liczyć.

Opiekunka miała właściwie cały czas walizkę spakowaną pod łóżkiem. Nie była to wielka sztuka, bo za dużo osobistych rzeczy nie posiadała, ale czuła się lepiej, będąc gotowa do tego, by w każdej chwili móc opuścić ten dom. Zawsze może powiedzieć, że sama odeszła, a nie, że wyrzucono ją, bo nie potrafiła panienki, którą miała się opiekować, nauczyć najbardziej podstawowych zasad dobrego wychowania.

– Trudno w to uwierzyć. Od kilku dni nawet chwili nie spędziła przed instrumentem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wzięła haft do ręki.

Gospodyni rozejrzała się czujnie, po czym usiadła na krześle. Nikogo nie było. Pani Łącka wciąż leżała w łóżku, jej mąż dokądś pojechał. Nikt nie pilnował służby. Bona natychmiast zrobiła to samo. A potem obie jednocześnie sięgnęły po cytrynowe ciasto.

– Ależ to jest pyszne. – Stanisława uśmiechnęła się z błogością.

– Rodzina wciąż ma świetną kucharkę, ale nie wiem, jak długo. Ona została tylko dlatego, że liczy na ten ślub, który tak wiele ma odmienić.

– Oby tylko do niego doszło. – Bona nieśmiało sięgnęła jeszcze po drożdżową bułkę, po czym wstała. Bała się mocniej kusić losu. I tak na zbyt wiele sobie pozwalały. Służba jadała w kuchni.

Stanisława spojrzała na słońce. Wznosiło się niewiele ponad kurnikiem i kwitnącym obficie czarnym bzem. Do obiadu sporo czasu. Może ta niesforna dziewczyna zdąży wrócić, przygładzić włosy i sukienkę, by przyszły narzeczony niczego nie zauważył.

Bona ruszyła w głąb domu.

– Znowu jej nie ma – pożałowała się tym razem kucharce, wchodząc do pomieszczeń gospodarczych. Usiadła za stołem, licząc na to, że dostanie jakieś ponadprogramowe kakao. Tak też się stało. Służba tutaj dysponowała produktami, jak chciała. Kucharka skorzystała z pretekstu do przerwy i podobnie jak wcześniej gospodyni usiadła naprzeciw niej.

– Julianka to kochane dziecko – powiedziała. – Ja bym jej temu staremu Żalczykowi nie dała.

– Ano trochę żal – westchnęła bona i spróbowała słodkiego napoju. Ależ ciężko będzie stąd wyjeżdżać! Tyle pyszności. Sama marzyła o wielkiej miłości i cudzie, który kiedyś wyzwoli ją z losu służącej i przeniesie do innego życia. – Ale powiem szczerze – dodała po namyśle, wracając do poprzedniego tematu. – Wzięłabym go, jakbym miała szansę. Zawsze to chłop. Ma dom. Panienska Julianna stanie się gospodynią, połączą się dwa piękne majątki.

– A szczęście gdzie? – zapytała celnie kucharka, po czym też dołąła sobie kakao.

– Ja nie wiem. – Bona spojrzała na nią. – Pojęcia nie mam, gdzie go szukać. U mnie jest tylko tyle, co sobie przy stole siądę z wami, pogadam, coś zjem. Chętnie bym tu została – dodała szczerze.

– Może ci się ziści – odparła kucharka, wstając. – Panienska wyjdzie za mąż, pojawią się dzieci. Wtedy już praca na lata.

– Chyba że jej mąż będzie niezadowolony ze mnie. – Stasia wyjawiała swoje obawy.

– Ty tylko paniencie dobrze służ – poradziła jej kucharka. – Ona jest taka śliczna, a Żalczyk stary. Będzie w nią patrzył jak w obrazek. Choć ona wiele z tego nie będzie miała.

– Ale co też mówicie? – oburzyła się bona. – To dużo dobra, taki mąż.

– Młoda jesteś, życia nie znasz. – Kucharka zaczęła obierać ziemniaki. – Dobro jest całkiem gdzie indziej, ale to już nie dla naszej panienki, choć taka ładna i mądra.

– Nie mówcie tak. – Stanisława odłożyła kubek i wstała. Nie chciała, żeby ktoś zobaczył, że tak tu przesiaduje. Choć w sumie do tego się głównie sprowadzały jej obowiązki we dworze na Zaslaviu. Do udawania, że jest zajęta. – Ja to się boję – powiedziała, podchodząc do wyjścia – że ta jej okropna prababka jeszcze coś Juliance nagada i dziewczyna naprawdę sprzed ołtarza ucieknie. Albo i wcześniej zaręczyny zerwie.

– Nie robi tego. – Kucharka pogłaskała się po okrągłym brzuchu. – Matka chora, coś tam się

poważnego dzieje. Zobaczysz, będą naciskać na szybki ślub. A panienka to odpowiedzialna dziewczyna. Poświęci się jak wiele przed nią.

Stanisława miała nadzieję, że tak się stanie. Czekwała z utęsknieniem na ten ślub. Wreszcie Julianna przestanie być panienką i z barków opiekunów zostanie zdjęta ta okropna odpowiedzialność za jej zachowanie.

Niech się tak stanie – pomyślała.

ROZDZIAŁ 13



W tym samym czasie Jakub Żalczyk ubierał się w swojej sypialni. Robił to dzisiaj ze szczególną starannością. Kazał służbie wyprowadzić dzieci w inną część domu. Potrzebował spokoju.

Spojrzał w lustro i uśmiechnął się do siebie. Ależ był zadowolony. Dziś jeszcze bardziej niż wczoraj. Z każdą chwilą coraz mocniej docierało do niego, że wygrał wyścig o najważniejszą partię w okolicy!

Wprawdzie na początku trochę go to będzie kosztowało. Z czasem jednak pomnoży majątek. Inwestycja jak każda inna. Opłaci się. Po ślubie w domu Łąckich zaprowadzi nowy porządek. Będzie wszystko trzymał twardą ręką i nie pozwoli, by choć jeden marny grosz wyszedł z dworu bez jego wiedzy.

Wszystko się tam zmieni – pomyślał. – Wszystko!

Przyjemnie było planować urządzenie tego rozległego majątku według własnych zasad. On sam stanie się jeszcze ważniejszy w okolicy. A do tego jako bonus dostanie miłą, młodą żonę. Wyobrażał to sobie w każdym szczególe. Sam już nie wiedział, co przyjemniejsze. Majątek, pozycja czy panienska Julianna, która będzie należeć tylko do niego.

Zamierzał intensywnie przykładać się do małżeńskich obowiązków. Chciał mieć jeszcze kolejne dzieci. Swoich synów oraz córki również postrzegał w kategoriach majątku i dowodu na to, że mu się powodzi.

Napił się wina, które kazał sobie przynieść dzisiaj z rana, żeby sam ze sobą poświętować. Nikogo nie zamierzał dopuszczać do tego wewnętrznego świata, w którym był zwycięzcą, nikomu się zwierzać.

Spojrzał na zegarek. Zapewne spodziewano się go we dworze wcześniej. Może na obiad. Ale on nie był młodzikiem wystającym pod oknami ukochanej kobiety. Nie zamierzał się w ten sposób upokarzać. Niech za nim zatęsknią, może nawet poczują lekki niepokój. Wtedy dostanie godne powitanie. Takie jak lubił.

Obejrzał się w lustrze z zadowoleniem, a potem wybrał się do miasta. Miał czas.

ROZDZIAŁ 14



Julianna popędziła konia. Nie wiedziała, która jest godzina. Obiad podawano w domu o dwunastej i faktycznie istniało niebezpieczeństwo, że Żalczyk się na nim pojawi. Tak się rwał do tego ślubu. Wczoraj ledwo mógł przy stole usiedzieć.

Na razie nie wiedziała, co z tym wszystkim zrobić. Poruszyła maszynę zaręczynowych przygotowań i teraz była wobec niej bezradna, a sprawy z każdą chwilą coraz bardziej się komplikowały. Widziała przed sobą tylko jedną drogę. Pogodzić się z losem i swoją rolą w rodzinie.

Jechała przez las, z przyjemnością wdychając wonne powietrze. Tego nic nie mogło jej odebrać. Zachwytu nad światem. Nagle przestała się spieszyć. Zapomniała na chwilę o przyszłym narzeczonym. Tutaj wśród śpiewu ptaków i szumiących koron drzew było o to tak łatwo.

Dotarła do domu prababci. Stał wśród traw i kwiatów górskiej łąki wyjątkowo dzisiaj cichy. Świeciło słońce, pogoda idealna do pracy, ale staruszki nie było widać w ogrodzie, który zawsze pielęgnowała z ogromną starannością. Na dodatek Julianna zastała drzwi zamknięte, a często stały otworem, bo Antonina lubiła wpuszczać ciepło słoneczne do środka.

Może dokądś pojechała? – zastanawiała się dziewczyna.

Wystraszyła się. A co, jeśli prababcia w nocy gorzej się poczuła?

– Tylko nie to – wyszeptwała. Zeskoczyła z konia, przywiązała go do palika i podbiegła bliżej. Strach ścisnął ją za gardło. Nie mogła tracić wszystkiego w jednym momencie.

Szarpnęła za klamkę i weszła do środka. Prababcia leżała w łóżku.

– Boże! – Julianna poczuła, jak miękną jej nogi. Antonina zawsze wstawiała o świcie, a nawet często przed nim. Takie wylegiwanie się było do niej zupełnie niepodobne.

Dwoma krokami pokonała wewnątrz niewielkiej izby, złapała prababcie za ramię. Było ciepło. Ulga sprawiła, że zaczęła płakać.

– Żyjesz! – zawołała. – Mój Boże!

Antonina przetarła oczy, ale się nie wystraszyła.

– Czemu miałabym nie żyć? – zapytała. – Tyle jeszcze planów przed nami.

Uśmiechnęła się do prawnuczki ciepło.

– A czemu nie wstałaś jak zawsze?

– Miałam ciężką noc. – Prababcia jeszcze raz przetarła dłońmi twarz, po czym usiadła na łóżku.

– Co robiłaś? Znowu był jakiś poród? – denerwowała się Julianna. – Może ktoś zachorował?

– Nie. – Antonina pokręciła głową. – Modliłam się o ratunek.

– Dla mnie? – domyśliła się Julianna.

– A dla kogo? – Staruszka pokiwała głową, po czym westchnęła. – Tak łatwo się zgodziłaś na te zaręczyny. To do ciebie zupełnie niepodobne. Może to się jeszcze da jakoś odkręcić?

– Wątpię – powiedziała dziewczyna. Pochyliła głowę, wszystkie problemy znów poczuła na barkach. – Nie wiesz wszystkiego – dodała. – Mama jest chora. Już od pewnego czasu, ale teraz wyszło to na jaw. Jakieś dziwne ma te dolegliwości. Ja nie potrafię rozpoznać i bardzo się boję.

Antonina wyraźnie się zaniepokoiła. Julianna była dobra. Sporo umiała. Sprawnie stawiała diagnozy. To musiało być coś poważnego.

– Wczoraj ma przyjść lekarz – mówiła dalej prawnuczka. – Ale on na pewno nie pomoże. Mama pyta, czy byś nie przyjechała – dodała, spuszczając ze wstydem oczy. Rodzina zachowywała się okropnie. Nie chciała znać prababci, udawała, że nie należy do rodu Łackich, ale w potrzebie oczywiście to do niej się zwracała. Nie po raz pierwszy.

– Nie przejmuj się. – Antonina spuściła szczupłe nogi na ziemię i włożyła je w ciepłe wełniane bambosze. Wstała, otuliła się chustą, którą kiedyś sama sobie wyhaftowała, w jasne niebieskie kwiaty. – Dorzuc lepiej drewna do pieca – zarządziła, a Julianna sprawnie rozпалиła ogień. Tych praktycznych rzeczy nauczyła się właśnie tutaj. Prababcia mawiała, że w niepewnych czasach dobrze jest umieć

wszystko.

Na zewnątrz temperatura była przyjemna, ale prababcia drżała.

– Zrobię ci herbaty albo jakichś ziółek – zaproponowała Julianna. Martwiła się coraz bardziej. – Tylko powiedz których.

Postawiła wodę, a Antonina wręczyła jej woreczek. Potem wyszła do komory i ubrała się. Wróciła w lepszej formie. Uczesana, uśmiechnięta i wyprostowana. Wzięła od prawnuczki kubek pełen ciepłego napoju i napiła się ostrożnie, dmuchając w jego parującą powierzchnię.

– Przyjadę do twojej matki – powiedziała. – Nie mam żalu do twoich rodziców, że się mnie czasem wstydzą. Znam ludzi. Wiem, jacy są. Wcale mnie to nie zaskakuje. Myślisz, że dlaczego mieszkam tu bezpiecznie, chociaż drzwi mam zawsze otwarte, a chata w środku lasu? Każdy się złości, nagaduje, ale jak się stanie coś złego, to wie, że zawsze może tutaj przybiec, a ja pomogę. Nikt inny tego nie robi. Chronią mnie.

– Dziękuję ci – odparła Julianna z ulgą. – Jesteś bardzo kochana. A moimi zaręczynami się nie martw. Przecież jakoś to się ułoży. Żalczyk jest stary i myślę, że nie będzie się mną zbytnio interesował. Może pozwoli mi leczyć? A matka nawet przysięgła, że będę mogła się zawsze tobą opiekować. Więc jest dobrze.

Antonina się wzruszyła. Przytuliła to słodziutkie dziecko, które nie miało pojęcia, o czym mówi. Takie mądre, a jednak jeszcze bardzo niedoświadczone. Co się dziwić? Dopiero wchodziła w życie. Kobieta ponad wszystko marzyła, żeby ta dziewczynka nie musiała uczyć się każdej ważnej rzeczy na swoich błędach i można ją było ochronić.

– Czuję, że nadchodzi ratunek – powiedziała, patrząc przez okno. Rysowała się tam daleka perspektywa gór, lasu i szerokiego horyzontu. – Tylko musisz dać mu czas. Nie zgadzaj się na szybki ślub.

– Obawiam się, że nie będę miała zbyt wiele do powiedzenia – westchnęła Julianna i też sobie naląła babcynych ziółek. Ładnie pachniały miętą, melisą i lipą. – Matka się dzisiaj przyznała, że Żyd naciska na spłatę weksli – dodała, przełykając ciepły napar. – A mój przyszły mąż ma pieniądze.

– No tak! – Antonina westchnęła i wzruszyła ramionami. – Zawsze tylko to! Najważniejsze są pieniądze. – Odstawiła kubek na stół z głośnym stukiem. – Ludzie płacą za nie wszystkim! – powiedziała, patrząc intensywnie na prawnuczkę. – Miłością, życiem, zdrowiem, honorem.

Zamilkła, a w chacie zapadła ciężka cisza.

– Takie są dla nich ważne te brzęczące monety! – zawołała znowu po chwili. – A mimo to wydają je byle jak i byle gdzie, nie przywiązując do tego żadnej wagi. Nie gromadzą, nie oszczędzają, nie szanują! Taki paradoks, jeden z wielu. Myślałam, że z czasem się do tego przyzwyczaję – gderwała, chodząc po kuchni. – Ale chyba nigdy się to nie stanie. Ciągle mnie to jednakowo denerwuje.

Julianna milczała. Wiedziała, że znacząca część tych zarzutów odnosi się do jej rodziców. Zwłaszcza taty. Nie chciała prowokować kolejnych komentarzy.

Ale Antonina powiedziała już chyba wszystko. Teraz najwyraźniej przeszła do działania.

– Przygotuj mi śniadanie – powiedziała. – Muszę coś załatwić.

Dziewczyna podeszła do drewnianego kredensu i wyciągnęła chleb, zawinięty w lnianą ściereczkę nasączoną pszczelim woskiem. Wszystkie produkty w ten sposób przechowywane długo pozostawały świeże. I miło pachniały. Ukroiła kromkę, a jednocześnie zerkała na to, co robi prababcia.

Antonina zachowywała się dość dziwnie. Podeszła do ściany, pochyliła się, potem uklękła i podniosła jedną z desek podłogowych.

Julianna była przyzwyczajona do tego, że w tym domu wszędzie znajdują się skrytki. W ścianach, w komorze, w piwnicy, a także w ogrodzie. Pozakopywane skrzynie w lesie. Niektóre z nich znała, bo babcia jej zdradziła, co się w nich znajduje. Najczęściej były to księgi z przepisami, a także gotowe lekarstwa. Zapasy w razie ważnej potrzeby. Ale domyślała się, że z pewnością jest też wiele takich, o których wciąż nie wie. Na przykład o tej schowanej w podłodze pod oknem. Skrytka była spora.

Antonina wyciągnęła z niej skrzynkę. Nieco pordzewiała i dość ciężką. Wyraźnie starą.

Julianna postawiła śniadanie na stole i spojrzała z ciekawością do jej wnętrza. Znajdowały się tam woreczki i poźółkle koperty. Prababcia wyciągała je po kolei i kładła obok talerza z kanapką.

– Masz – powiedziała do prawnuczki. – Nie oddawaj życia za cudze błędy. To są te wasze osławione pieniądze. Najcenniejsza rzecz – dodała gorzko – za którą twój ojciec, choć mają go za dobrego człowieka, gotów był sprzedać swoją córkę.

– Nie mów tak, babciu! – zawołała Julianna.

– Wiesz, że zawsze gryzę się w język. – Staruszka spojrzała na nią. – Nie chcę buntować dziecka przeciw rodzicom. Ale tego już nie mogę wytrzymać.

Julianna opuściła głowę.

– Nie wiem, z kim pojedziesz spłacić te weksle. – Prababcia otwierała woreczki, pokazując ich całkiem pokaźną zawartość. Trudno było to oszacować na oko, ale z pewnością na tym zwykłym drewnianym stole w małej prostej chacie leżał majątek. Dziewczyna była w szoku.

– Nikomu nie ufam – mówiła dalej babcia. – Twój ojciec zabierze monety i wyda na byle co. Zacznie szaleć, łątać dziury, które sam wykopał. Spłaci tylko niewielką część długu. Swojemu narzeczonemu jeszcze nie możesz tak zawierzyć. Za wcześniej. Nie powinnaś mu pokazywać, że masz łeb na karku jak mężczyzna i potrafisz załatwić takie rzeczy. Stanie się za bardzo ostrożny. No i może ci to zabrać. Potraktować jak posag. Mama, jak mówisz, chora. Nie ma rady, pojedziemy tam razem.

Wyprostowała się.

– Ty też nie za dobrze się czujesz – zaprotestowała Julianna. – A w karczmie dużo osób.

Wolała nie mówić wprost, że ludzie różnie mogą reagować na jej obecność. Nie chciała, by ktoś jej sprawił przykrość. Co innego wioski należące do ojca, a co innego dalsza okolica.

– Nic to! – Antonina machnęła dłonią. – Pieniądze otwierają drzwi. Zobaczysz, że Żyd o mnie zadba. Czasem oszczędności się przydają. Bywa, że naprawdę pomagają. Dlatego ja je mam! – zakończyła stanowczo, a potem siadła do stołu i zjadła chleb z masłem oraz miodem. Julka nałala jej mleka do kubka.

– Dziś wieczór odwiedzę twoją matkę – powiedziała prababcia, kiedy skończyła posiłek. – A jutro o świcie ubierzesz się i zanim wstanie słońce, wymkniesz się z domu. Pojedziemy razem do karczmy, wykupimy te weksle.

Julianna słuchała tego wszystkiego, nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Prababcia naprawdę była potężną istotą. Potrafiła znaleźć wyjście z każdego kłopotu. Miała tyle niezwykłych umiejętności.

– Potem zrobisz, co uznasz za najlepsze. Sprzeciwiasz się rodzicom albo nie. Ale nie pójdziesz za mąż z przymusu – dodała z mocą – tylko dlatego, że ktoś narobił długów! To nie jest twój los.

Dziewczyna patrzyła na monety zgromadzone na stole. Było ich całkiem sporo. Wysoka cena jej wolności.

– Myślałam, że leczysz tylko za jakieś drobiazgi: mleko, ser, czasem kurę albo i za darmo – powiedziała mocno zaskoczona tym, co zobaczyła i usłyszała.

– Bo tak najczęściej jest – odpowiedziała prababcia. – Ale bywały w ciągu tych wszystkich lat także inne przypadki. Zgłaszają się zamożni ludzie, zdarza się, że wdzięczni za uratowanie dziecka na przykład. Albo za jakąś bardzo dobrą życiową radę. Nie lekceważę pieniędzy. Wiem, że potrafią pomóc w potrzebie. I to jest taki moment. Składałam, składałam, to i mam. Ale dla ciebie na posag już nic mi nie zostanie – powiedziała ostrzegawczo. – Wykupimy dwór. Jesteś jedyną dziedziczką. To będzie twój majątek.

– Babciu, ruszajmy od razu. – Julianna cieszyła się ogromnie. – Załatwimy to teraz. Pojedziemy od strony pól. Karczma leży na uboczu. Na początku drogi przemknijemy się tak, że nikt nas nie zauważy. Włóżysz chustkę, ja też. Szybko załatwimy sprawę. Te weksle mnie boją. To straszny strach, gdy wiesz, że ktoś może w każdej chwili przyjść i odebrać ci twój dom, wyrzucić rodziców. Wiesz dobrze, że to się już kiedyś zdarzyło.

– Tak.

Brat prababci stracił kiedyś majątek swojej żony, grając bez umiaru w karty i robiąc długi, których potem nie zdołał spłacić. To wspomnienie wciąż było w rodzie żywe.

– Zgoda. – Antonina kiwnęła głową. – To dobry pomysł.

Julianna usiadła pod oknem. Mijały minuty, prababcia poszła się przygotować. Dziewczyna

trochę się bała, że jednak działając pod wpływem impulsu, podjęła złą decyzję. Obiecała przecież mamie, że szybko wróci. Tymczasem teraz czekała, aż kobieta ubierze się staranniej niż zwykle. Potem uczesała ją i zaplotła wciąż gęste piękne włosy prababci w gruby warkocz, który następnie upięła z tyłu głowy w kształt ślimaka. Antonina wyglądała teraz zupełnie inaczej. W białej koszuli, ciemnobordowej spódnicy i gładkiej fryzurze prezentowała się jak pani z dworu.

To są rzeczy, których nie da się stracić ani ukryć. Pochodzenie zawsze w człowieku pozostaje. Choćby w takich drobnych gestach, z których on nie zdaje sobie sprawy, jak sposób trzymania głowy, wypowiedania się, nie wspominając już o tym, jak mówi czy myśli, jakie podejmuje decyzje.

Babcia wyprowadziła niewielki wóz i zaprzęgiła do niego swojego konia i drugiego, na którym przyjechała Julianna. Torbę z pieniędzmi ukryła w leżącym z tyłu sianie i położyła na niej worek kartofli.

– Pamiętaj – powiedziała do prawnuczki. – Jeśli kiedykolwiek będziesz przewozić dużo pieniędzy, rób to jak najprościej. Im więcej ostrożności, tym wzrasta szansa, że ktoś się zorientuje.

Ruszyły przez las, pod zielonymi gałęziami drzew, wśród których uwijało się mnóstwo ptactwa. Kilka razy zając umknął im spod stóp lub przyglądała się jakaś mniej płochliwa sarna.

– Nigdy nie chciałaś sobie oswoić zwierzaka? – zapytała Julianna.

– Nie – odparła Antonina. – Pozwalam naturze rozwijać się własnym rytmem. Dość mam żywych istot, którymi potrzebuję się opiekować. Te, co sobie radzą, zostawiam w spokoju.

Mocno podskoczyły, bo wóz trafił na jakiś kamień, ale zaraz potem wyjechały na skapaną w słońcu górską łąkę. Przemierzyły ją wzdłuż, kierując się w stronę kamienistej drogi, a po chwili skierowały się w stronę głównego traktu, przy którym znajdowała się karczma. O tej porze ruch był niewielki i bez problemu dotarły do niej.

Była dość duża, takich nie spotykało się na uboczu, z dala od wielkich handlowych traktów. Kim był Żyd, który ją prowadził, nikt w okolicy dokładnie nie wiedział. Przyjechał dawno. Sprawiał wrażenie karczmarza podobnego do wszystkich innych. Ale bywało, że zniknął na tydzień lub dwa, jeżdżąc w jakieś tajemnicze podróże. Zawsze dużo wiedział o świecie i bez względu na to, co się działo, miał pieniądze.

Był w podobnej sytuacji, co prababcia. Raczej nietykalny. Z miejscowymi przedstawicielami nie bratał się zbyt, ale żył w zgodzie. Właściciele dworów traktowali go z daleko idącą ostrożnością, bo większość była u niego zadłużona lub bała się, że taka okoliczność może niebawem nastąpić.

Liczna grupa mieszkających w najbliższym miasteczku Żydów raczej trzymała się razem i samodzielnie rozwiązywała swoje problemy, jednak w ciągu ostatnich lat kilka razy zdarzało się, że nocą przyjeżdżali po prababcię Antoninę, by pomogła w jakimś szczególnie trudnym przypadku. Ona nigdy o nic w zamian nie prosiła. Wiedziała, że kiedyś przyjdzie moment, gdy będą mogli się odwzajemnić.

Antonina śmiało weszła do środka. W nieco ciemnym pomieszczeniu było dość pusto. Jacyś dwaj młodzi mężczyźni siedzieli pod oknem pochyleni nad kuflami z piwem, stary Żyd wycierał ścierką swój kontuar.

Prababcia uśmiechnęła się lekko. Ostatni raz była tutaj piętnaście lat temu i zapamiętała go dokładnie w tej samej pozycji i przy tej samej czynności. Sprawiał wrażenie, jakby zajmował się tylko tym. Ścierał stoły, roznosił piwo i wódkę, czasem podawał golonkę zamożniejszym gościom. Pachniało od niego kapustą oraz cebulą. A jednak ona wiedziała, że to tylko pozory. Jego władza sięgała daleko, a możliwości były ogromne.

Od razu zauważył wchodzące kobiety. Podbiegł do nich.

– Witam, szanowne panie – powiedział, kłaniając się nisko. Jego głos był cichy, a decyzje szybkie.

Otworzył boczne drzwi i zaprosił prababcię oraz Juliannę do niewielkiego kantorka położonego na zapleczu. Z prawej strony korytarz prowadził do kuchni, w której krzątały się właśnie dwie kobiety, przygotowując jakieś potrawy, zapewne na popołudnie. Na biurku panował porządek. Równo poukładane książki stały obok jakichś skrzyń i półek z różnej wielkości pudłami.

Mężczyzna wskazał kobietom dwa wygodne krzesła, po czym na chwilę wyszedł i wrócił z dwiema szklankami lemoniady.

– Nasza najlepsza – powiedział. Była to woda z miodem i kwaśnym sokiem z pigwy. Smakowała

wspaniale.

– My w interesach – powiedziała prababcia. Wypiła napój z przyjemnością, odstawiła szklanę, po czym bezzwłocznie przeszła do rzeczy. Spojrzała na mężczyznę.



Julianna odniosła wrażenie, że oni bardzo dobrze się znają, coś sobie bez słów przekazują. Ale

uznała, że to raczej niemożliwe.

– Tak też się i domyśliłem. – Żyd pogładził długą brodę i zerknął na dziewczynę, a ona błyskawicznie odwróciła wzrok. Przyłapał ją na intensywnej obserwacji. – Cieszę się, że nowa właścicielka dworu zaczyna dobrze swoje rządy, od uporządkowania finansów, bo już się naprawdę martwiłem – dodał.

– Nie jest sama – powiedziała prababcia. – Należy do rodu.

– Tak, oczywiście. – Mężczyzna kiwnął głową. – Zawsze to wiedziałem.

– Chciałybyśmy wykupić weksle. Dużo tego jest? – zapytała z niepokojem.

– Sporo, szanowna pani. – Żyd wyciągnął jedno z pudełek znajdujące się na najwyższej półce, otworzył pokrywkę, a zaraz potem policzył siedem karteczek. Niektóre z nich wyglądały na nowe, inne zdążyły już nieco pożółknąć. Położył je przed babcią.

Słynne weksle, które wisały nad rodziną. Julianna widziała je po raz pierwszy. Wyciągała szyję, próbując odczytać cyfry. Antonina rozłożyła wszystko przed sobą. W przeciwieństwie do prawnuczki umiała błyskawicznie dodawać. Groza sytuacji nieco ją poraziła. Było o wiele gorzej, niż przypuszczała.

W jaki sposób Ignacy zdołał narobić tyle długów? Nie był specjalnie gospodarny, to wszyscy wiedzieli, ale też nie opływał w luksusy. Gdzie on to wszystko wydał? Tyle pieniędzy! Nie zrobił we dworze żadnych remontów, nie kupowali drogich mebli, nie jeździli na zimę do miasta. Głównie siedzieli w swoim majątku i przejadali plony. Czasem zapraszali sąsiadów lub bywali u nich z rewizytą, ale to przecież nie jest aż tak kosztowne. Jakoś jednak tego dokonał, bo Żydzi z całą pewnością nie kłamią. Cyfry również.

Musiała chwilę odetchnąć, żeby się podnieść po szoku. Pomyślała, że pod tym względem Łącki jest do niej podobny. Oboje działali w ten sam sposób każdego dnia, aż upłynęło wiele czasu. Ona zbierała nawet najmniejsze kwoty, a on wydawał. Jedno i drugie rosło wraz z mijającymi latami – długi oraz oszczędności.

Spotkali się prawie w tym samym miejscu. Łącki jednak miał przewagę.

Babcia szybko podzieliła weksle na dwie kupki: pięć karteczek po jednej stronie, a dwie po drugiej.

– Wszystkiego nie zdołamy spłacić – powiedziała szczerze, a Żyd kiwnął tylko głową.

– Czy to będzie gotówką? – zapytał.

– Tak – powiedziała Antonina, po czym zaczęła wyciągać ze starej torby podróżnej woreczki i pożółkłe koperty. Żyd patrzył z szacunkiem na zebrane oszczędności. Zrobiło to na nim wrażenie.

– W takim razie ten zabieram – powiedział, po czym potargał jeden z weksli, które babcia pozostawiła do późniejszej spłaty.

Julianna aż się wyprostowała. Kwota na wekslu była spora, tymczasem mężczyzna podarł go jak nic nieznaczącą notatkę.

– I tak nie miałem nadziei, że aż tyle odzyskam – powiedział, po czym się uśmiechnął, a nie robił tego często. – Panience należy się ślubny prezent – dodał.

– Dziękuję. – Julianna kiwnęła głową. Była oszołomiona. Nie dodawała w pamięci tak szybko jak babcia, ale i bez tego kwota długu pozbawiła ją tchu. Podobnie jak fakt, że prababcia miała tyle pieniędzy.

Ale nikt już na nią nie patrzył. Zarówno Antonina, jak i karczmarz zabrali się do liczenia pieniędzy, pochłonięci tą czynnością, jakby im sprawiała wielką przyjemność.

Pewnie to naturalne – pomyślała. – Jak się ciężko pracuje i długie lata gromadzi, miło potem spojrzeć na efekty.

– Niech się panience dobrze wiedzie – powiedział Żyd na koniec, kłaniając się jej znowu, jakby była kimś ważnym, a przecież to on jeszcze chwilę temu trzymał w rękach cały jej los.

Julianna nie znała się tak dobrze na interesach. Nie miała jednak wątpliwości, że dług był ogromny i w razie problemów ze spłatą mógł skutkować zajęciem domu oraz znacznej części dworskich gruntów.

Bardzo się tym wszystkim zdenerwowała. Nie była w stanie sklecić nawet jednego sensownego zdania. Nagle poczuła, jak słabo jest przygotowana do swojej roli. Co ona wiedziała o prowadzeniu

domu? Wciąż się tylko z niego wymykała. W kwestii przepisów na ziołowe napary miała naprawdę sporą wiedzę, ale osoba odpowiedzialna za dwór i trzy wioski powinna reprezentować sobą coś więcej. Teraz wyraźnie to widziała.

Ścisnęła w dłoniach weksle, które wręczył jej Żyd, a potem szybko razem z prababcią wyszły z ciasnego kantorka. Tutaj czas miał swoją wartość. Spieszył się właściciel karczmy i Antonina też.

Na koniec karczmarz i prababcia znów porozumieli się wzrokiem jak ludzie, którzy mają wiele wspólnych spraw, po czym Antonina objęła prawnuczkę za ramiona i wyprowadziła na zewnątrz. Konie stały na tym samym miejscu, gdzie je przywiązano, ale ktoś przyniósł im siana w workach.

Wsiadły na wóz, po czym bez zwłoki ruszyły z powrotem.

– Czemu tak milczysz? – zapytała Antonina, kiedy odjechały już kawałek i wioska zaczęła być widoczna z drogi.

– Jaka ze mnie będzie pani we dworze?! – zawołała nagle Julianna. – Przecież ja się na tym kompletnie nie znam. – Na kolanach ciągle trzymała weksle. – Nie miałam pojęcia, że mamy takie straszne długi.

– Nikt nie wiedział. – Prababcia próbowała ją uspokoić. – Nawet ja. Zdawałam sobie sprawę, że jest źle, ale nie spodziewałam się, że do tego stopnia.

– Czego mnie mama nauczyła? – Dziewczyna czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. – Uśmiechać się przy stole, splateć ręce, mówić mężczyznom: „Tak, ma pan rację”. I co z tego wszystkiego?

Antonina nie odpowiedziała.

– W sumie pewnie ma najlepsze chęci. – Julianna poczuła się w obowiązku jednak bronić mamy. – Jej to chyba wystarczyło. Przynajmniej ojcu na każdym kroku, wydają się nawet ze sobą szczęśliwi. A tymczasem nasz dom tonie i żadne z nich sobie z tym nie radzi – zakończyła gorzko, bo wnioski mimo wszystko nasuwały się same.

Prababcia pokiwała głową. A potem pogłaskała dziewczynę po ramieniu.

– Już jesteś mądrzejsza – powiedziała. – Tego ci nikt nie odbierze, co dzisiaj widziałaś, a dom jest bezpieczny.

– Tylko dzięki tobie – odparła szybko Julianna, łzy płynęły jej po policzkach. – Sama nic bym przecież nie zrobiła.

– Czy nie taka nasza rola starych kobiet, żeby się opiekować młodymi? – zapytała spokojnie Antonina. – Kiedyś ty pomożesz jakiejś dziewczynie, która będzie dopiero wchodziła w świat. Kto wie, czy to za sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt lat? Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co to będzie i przed czym ją uratujesz. Może też pieniędzmi, a może tylko wiedzą, dobrym sercem, siłą, jakimś fortem, który wymyślisz? Kto wie? Na wszelki wypadek trzeba gromadzić wszystko.

– Jak ty to zrobiłaś? – Julianna spojrzała na nią i otarła policzki. – Tyle pieniędzy! Przecież to majątek! Mogłabyś sobie kupić wioskę.

– I po co mi to? – Antonina wzruszyła ramionami. – Żyję bardzo długo, zbierałam grosz do grosza. Jak się nagromadziło, to zamieniałam u Żyda na większą monetę i tak przez wiele lat.

Julianna pomyślała, że jednak wielu rzeczy o prababci nie wie. Na przykład tego, że ona regularnie chodziła do karczmy.

– Ludzie nie doceniają małych monet – powiedziała Antonina. – Ani ilości dni, jakie czas konsekwentnie i wytrwale składa w ciągu lat. Wiedziałam, że przyjdzie taki moment, kiedy to będzie potrzebne, i tak się stało.

Pokiwała z satysfakcją głową.

– Jestem bardzo zadowolona – dodała. – To mój prezent dla ciebie. Myślę, że dobrze ci posłuży. Do tego jeszcze ta reszka, która została w skrzynce. Weźmiesz ją. Pamiętaj, nigdy nie dopuść do tego, żebyś zobaczyła dno.

Julianna obiecała szybko, że będzie tego pilnować.

– Cokolwiek się będzie działo, zawsze miej trochę gotowizny na wszelki wypadek – mówiła dalej Antonina. – Mężowi nie do wszystkiego się przyznawaj, chyba że znajdziesz tego jedyne.

Dziewczyna tylko opuściła głowę. Na to nie liczyła. Pogodziła się z losem.

Antonina najpierw zacisnęła usta, ale zaraz potem zaczęła tłumaczyć dalej:

– Znajdź w domu dobrą skrytkę i tam pomalutku odkładaj sobie pieniądze. To pomaga. Ja najbardziej się cieszę z tego, że kiedy dziś ten stary dziad Żalczyk przyjedzie do was na obiad, zobaczy już inną panienkę we dworze. Silniejszą.

Julianna nawet nie zdążyła zaprotestować przeciwko nazywaniu przysłego męża „starym dziadem”, bo prababcia błyskawicznie przeszła do kolejnego tematu:

– Weksle, które odzyskałyśmy, to tylko papierki. Ale sama się przekonasz, jak cię odmienią. Dadzą ci władzę do ręki. Dwór należy teraz do ciebie.

– Dziękuję ci, babciu. – Dziewczyna przytuliła się do ciepłego szczupłego ramienia Antoniny. Pomyślała, że nigdy nie chciałaby zostać na świecie bez niej. Że to się nie ma prawa stać. Dziesiątki ludzi umierają każdego dnia, ale są tacy, którzy odejść nie mogą. Są zbyt ważni.

– Gdybyś miała rodzeństwo, nigdy bym tego nie zrobiła – powiedziała jeszcze prababcia. – Twoi rodzice, z całym szacunkiem, nie zasługują na to, żeby płacić ich długi. Dostałaś prezent, tylko dlatego, że jesteś jedyną dziedziczką i cały majątek na pewno przejdzie w twoje lepsze ręce. Z dziewczynkami różnie to bywa i wcale nie tak prosto zabezpieczyć ich los.

– Proszę cię, prababciu, nie mów tak. Ojciec jest trochę lekkomyślny, ale przecież nie dałby mnie skrzywdzić.

Antonina ścisnęła jej dłoń i nic nie powiedziała. Pomyślała jednak o wielu córkach, które zostały odsunięte od spadku, bo jakiś tata, na przykład owdowiawszy, znalazł sobie młodszą żonę i postanowił zmienić testament. Bo pojawiły się jakieś nowe dzieci albo ktoś przepił czy też przegrał w karty dorobek pokoleń. Bo jedno źle powiedziane słowo spowodowało jakieś konfiskaty, ktoś zginął w czasie bitwy. A tych przecież nie brakowało.

Świat był bardzo niespokojny. Ciągłe coś wrzało pod powierzchnią i choć tu, w tym osłoniętym przez góry zakątku, zwłaszcza teraz piękną wiosną, trudno było uwierzyć, że gdzieś naprawdę dzieje się coś złego, to jednak ona cały czas czuła tę tętniącą tkankę życia, która mruczała w oddali, zapowiadając zagrożenie.

Chroniła Juliankę, najlepiej jak umiała.

Wiedziała jednak, że chaos jest wpisany w życie tak samo jak porządek i przed nieprzewidywanymi zdarzeniami nie sposób zabezpieczyć się całkowicie. Nikt na świecie nie ma takiej mocy, by zapanować nad wszystkim, przewidzieć każdą rzecz. Żaden znachor, czarodziej, ksiądz, król, mocarz czy nawet tyran.

Antonina też nie. Trochę się martwiła tą tajemniczą chorobą Anny. Czuła, że jest to zapowiedź zmiany, jakiej się od dawna spodziewała. Niestety nie była pewna, czy na lepsze. Wsłuchiwała się w swoją wewnętrzną intuicję, która nieraz podpowiadała jej przyszłe zdarzenia, ale teraz płynęły do niej sygnały zarówno mocno pokazujące, że wydarzy się coś dobrego, jak i takie, które jednoznacznie mówiły, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Nie wiedziała, jak ma to rozumieć.

Na rozstaju dróg rosły trzy szerokie stare rosochate wierzby, obsypane teraz mnóstwem świeżych zielonych listków.

– Zostawię cię tutaj – powiedziała prababcia, po czym ostrożnie zeskoczyła z wozu i sprawnie wyprzęgła konia. – Jedź już do dworu. Niedługo pora obiadu. Musisz się przebrać, uczesać. Bądź miła, ale proszę cię, przyjrzyj się dobrze człowiekowi, którego wybierasz na męża. Już przecież nie musisz się spieszyć.

Julianna zeskoczyła z wozu, odwróciła się i pomachała babci. Uśmiechnęła się do niej dokładnie w ten sam sposób, jak rano do mamy. Podziałało równie skutecznie. Nawet na Antoninę, która była tak biegła w czytaniu ludzkich twarzy. Wyraźnie poczuła ulgę. Potrząsnęła lejcami i koń ruszył, a dziewczyna wskoczyła na swojego, po czym skierowała się w stronę domu.

Szanowała babcię. Wiedziała, że to mądra kobieta, która zna się na wielu kwestiach, ale tutaj w tej jednej się myliła. Jedyńca, panienska z dworu nie może być sama. Źle by się to dla majątku skończyło. Nawet jeśli opiekowali się nią rodzice, to też nie mogło wiecznie trwać.

Czas nie służy paniom. Dobry moment na wychodzenie za mąż szybko się kończy. Każdej wiosny pojawiają się młode dziewczyny, które wkładają ładniejsze sukienki, inaczej wiążą włosy i zaczynają jeździć z matkami na proszone obiady. Tym samym towarzystwo robi się ciasne. Świat tutaj

był mały, ograniczony przez wysokie góry i ciemny las. Mieściło się tu kilka wiosek, parę zamożniejszych rodzin i sporo biednych chłopskich chat.

Rwące rzeki, które każdej wiosny straszyły powodziami, gwałtowne wiatry przynoszące różne pomysły smutnym ludziom, surowa przyroda i kamieniste pola z trudem rodzące pożywienie odciskały się na ludzkich duszach.

Juliana była córką tej ziemi. Pełna ideałów, ale znała swoją powinność.



Kłusem podjechała pod stajnie. Odprowadziła konia, a potem wbiegła do dworu bocznym wejściem, niezauważona przez nikogo. Szybko pomknęła na górę i tam zrobiła wszystko, co powiedziała prababcia. Przebrała się i uczesała włosy. Na koniec nawet zawołała swoją bonę, by ta zakręciła jej loczki. Dzisiaj nigdzie się nie wybierała, mogła sobie na to pozwolić. Weksle schowała do bielizniarki pod swoje najładniejsze sukienki.

– Jak ja się cieszę, że panienka poszła po rozum do głowy. – Stasia rozgrzewała żelazka. – Żeby mi to ktoś wcześniej powiedział, tobym się przecież przygotowała, a tak to tylko zmitrężymy dużo czasu, zanim będą ciepłe – narzekała, ale była zadowolona.

Pierwszy sukces wychowawczy. Ledwo tylko żelazka się nagrzały, nakręciła panience tyle loków, ile zmieściło się na tej niewielkiej główce pełnej dziwnych myśli. Przyjrzała się z zachwytem swojemu dziełu.

Juliana tylko westchnęła. Chciała dziś dobrze wywiązać się ze swojej roli. W jej duszy ciągle walczyły dwa sprzeczne pragnienia: podobać się rodzicom i robić coś sensownego. Dlaczego to wciąż wydawało się nawzajem wykluczać?

Pokręciła głową, ale loki nawet nie drgnęły. Trzymały się sztywno. Nie były zbyt sprawnie zrobione, raczej w guście bony, która lubiła przesadę, ale urodzie panienki Łackiej niewiele mogło zaszkodzić. Wstała, poprawiła sukienkę, a potem postanowiła pójść do ojca.

– Pan Żalczyk już jest – powiedziała Stasia, rumieniąc się. – Bardzo ładnie dziś wygląda. Ubrał się elegancko, ogolił jeszcze lepiej niż zwykle. To wciąż piękny mężczyzna. Może panienka podejrzec.

Juliana dała się skusić. Obydwie cichutko uchyliły drzwi, by przez balustradę z półpiętra spojrzeć na dół. Gość zmierzał w stronę niewielkiej biblioteki, która pełniła też funkcję gabinetu ojca, magazynu na wino oraz porcelanę matki, a także schowka na ważne dokumenty i dawno temu, jeszcze kiedy we dworze były pieniądze, również na gotówkę.

W drzwiach przywitał go ojciec. Zatrzymali się obaj. Juliana wpatrywała się uważnie, tak jak jej poradziła prababcia, w kandydata na męża.

Ale choć wyteżęła wzrok i wkładała w tę czynność cały trud i życzliwość, nie umiała dojrzeć tego, co tak podobało się jej opiekunce. Mężczyzna przede wszystkim wydał jej się bardzo stary. Miał takie suche, blade dłonie. Był dość wysoki, ale jakiś krzywy. Zapewne bolały go plecy.

Wyobraziła sobie, jak wieczorami smaruje go maścią z żywokostu.

Spojrzała na jego twarz i po raz pierwszy pomyślała, że być może trudno będzie dotknąć tych nieco zapadniętych policzków i pocałować wąskie usta. Poczula zimny dreszcz. Wydawało jej się, że wszystko świetnie rozumie. Wiedziała, skąd się biorą dzieci i pomagała prababci przy porodach, a jednak znów, tak jak dzisiaj rano, poczuła się kompletnie nieprzygotowana do życia. Uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie wie, co ją czeka tuż po ślubie.

Wróciła do pokoju, otworzyła szufladę i wyciągnęła weksle. Nagle się wystraszyła tych szybkich decyzji. Spojrzała na trzymane w dłoniach karteczki. Może rzeczywiście dzięki nim uda się nieco odwlec w czasie te poważne decyzje? Albo uczynić je mniej raptownymi. Ojciec najchętniej wydałby ją za mąż w przyszłą niedzielę!

Tymczasem na przykład długie narzeczeństwo dałoby jej przynajmniej jakąś szansę. Przerazenie ścisnęło ją za gardło. Jakże to tak wyjść za mąż za kompletnie obcego człowieka? Mieszkać z nim? Spać w jednym łóżku? Dzielić wspólnie decyzje? Wychowywać razem dzieci? Jakie dzieci?! Mój Boże! Nie czuła się gotowa na takie obowiązki.

A co, jeśli on będzie miał inne zdanie na temat prababci, leczenia, powiększania rodziny i innych spraw? Ta myśl stała się bardzo realna. Przecież wcale się nie znali.

Trzeba się jakoś ratować! – pomyślała, a potem zbiegła lekko po schodach, mijając w drzwiach nieco zaskoczoną bonę.

– A oto i nasza panienska! – zawołał tata na jej widok i rozpromienił się. Przyszły narzeczony też spojrzał na nią z zadowoleniem. Wyglądała ślicznie.

Ona zaś schowała w fałdach sukienki weksle, bo nagle dotarło do niej, że nie ma pojęcia, w jaki sposób mogłaby przekazać tacie wiadomość na taki delikatny temat i to jeszcze w obecności gościa. Po chwili jednak wyprostowała się.

– Dostałam dziś piękny prezent – powiedziała. – Chciałabym go pokazać wam obu.

Mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Od dalekiej krewnej – dodała i wyciągnęła rękę, która tylko trochę drżała, i podała ojcu weksle.

Zaczerwienił się, potem pobrał. Szybko zwinął papiery w dłoni, żeby przyszły zięć przypadkiem nie zauważył cyfr. Nie przyznał mu się do prawdziwego rozmiaru swoich długów. Sam też starał się ich zbyt często nie dodawać. Po co się niepotrzebnie denerwować?

Żalczyk też cofnął się o krok. Patrzył na Ignacego i wyraźnie próbował zrozumieć, co się stało. Jakby nagle przesunęły się wyspy na wielkim morzu, powodując, że układ całkowicie się zmienił. Julianna namacalnie czuła, jak te siły trą się między sobą. Tata rośnie, a przyszły narzeczony maleje. Już go nie potrzebowali, żeby przetrwać.

– Skąd to wzięłaś? – Ojciec w pierwszej kolejności się oburzył. Ratunek ze strony kobiety, choćby i córki, był jednak upokarzający. Zwłaszcza w obecności świadka. Ale jednocześnie równie wielka ulga.

Julianna już się teraz nie bała. Patrzyła na nich obojgu i czuła, jak rośnie także jej siła.

– Lepiej, żeby stare historie nie wchodziły w nowe życie – powiedziała ogólnie. – Zaczniemy od nowa – dodała. – Chciałam tylko to tacie oddać, a teraz pójdę do kuchni i sprawdzę, co z kolacją.

Miała wrażenie, że mężczyźni odzyskują przytomność umysłu, widząc, jak grzecznie odchodzi w stronę pomieszczeń dla służby, jakby świat znów powrócił na dawne tory, a wszystko na właściwe miejsce. Kobieta do swoich obowiązków, a oni do swojego świata. Nie wiedziała, o czym rozmawiali za jej plecami, ale podczas posiłku przyszły narzeczony patrzył na nią z większym respektem.

Po obiedzie wyszła na chwilę na ganek. Mężczyźni znów poszli do biblioteki. Szok im wciąż nie minął. Wyglądali, jakby chcieli się na chwilę ukryć i wszystko przemyśleć. Tata był zdenerwowany, bał się pytać o prababcię.

Zanim zamknęli za sobą drzwi, Julianna uważniej niż zwykle przyjrzała się temu wnętrzu. Uderzyło ją, jak wielki panuje tam nieporządek. Wszystkie papiery poukładano byle jak, jakieś części końskiej uprzęży leżały pomiędzy księgami rachunkowymi. Sporo kurzu, dziwnych szpargałów, zabłocone gumowce na podłodze, rozbita szybka w witrynie, w której znajdowały się książki. W porównaniu do kantorka Żyda to był po prostu chlew.

Zaczęła się zastanawiać, czy to nieuporządkowanie nie przekłada się na wszystkie inne sfery życia w tym domu. Czy ona swoimi drobnymi rękami będzie mogła dokonać tak wielkiej zmiany, żeby działało się lepiej?

Drgnęła, bo poczuła, że ktoś do niej bardzo blisko podchodzi. Myślała, że to mama. Nikt inny bowiem nie obejmował jej ani nie przytulał. Ojciec czasem delikatnie ją uściskał, ale nic więcej.

Odwróciła głowę i aż zamarła. Całe jej ciało zeszytniało. Tuż obok stał Żalczyk. Poczowała zapach tabaki i jeszcze jego ramię na swoich plecach. To było wyjątkowo trudne. Mężczyzna nic takiego nie zrobił, a jednak całe jej ciało wołało wielkim głosem, że chce natychmiast uciekać.

– Mądra panienska jest dwakroć cenna – powiedział Żalczyk i pocałował koniec jej palców, a ją znowu przeszył dreszcz obrzydzenia.

Dlaczego? Próbowwała to zrozumieć. To przecież był zupełnie zwyczajny mężczyzna. Nic okropnego jej nie uczynił. Był czysty i zadbany. Dlaczego czuła taki opór? Mogła z nim bez trudu rozmawiać, nawet wyobrazić sobie, że zostanie jej mężem, byle tylko trzymał się metr od niej. Jeśli przekraczał tę odległość, zaczynał się problem.

Odsunęła się delikatnie.

– Zobaczę, co u mamy – powiedziała pospiesznie.

– Wszystko dobrze – uśmiechnął się Żalczyk, oblizując usta, jakby się szykował do zjedzenia smacznego deseru. – Cieszy się naszym szczęściem. W niedzielę ogłosimy zaręczyny. Zaprosimy sąsiadów, przygotujemy we dworze potańcówkę. Z ojcem wszystko już omówione.

No tak – pomyślała Julianna. – Kolejne długi. Nie stać ich było na organizowanie przyjęć ani wystawnego wesela. Tymczasem tata z pewnością będzie chciał się pokazać.

A nie mieli już drugiej prababci, która mogłaby ich wydobyć z kłopotów. To były oszczędności życia. Trzeba by znów kolejnego, żeby je odbudować. Wiele pracy i trudu. Za to długi robi się szybko, a tata miał w tym sporą wprawę.

Julianna musiała odejść, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest oburzona. Matka ją uczyła, że nie wolno urażać honoru mężczyzn, bo wtedy stają się groźni. Tracą kontakt z rozumem i podejmują złe decyzje. A bez względu na to, jak ułoży się życie, Łąccy zawsze będą z Żalczykami sąsiadować.

Uśmiechnęła się na pożegnanie, a on odpowiedział tym samym.

Mama zeszła na obiad i wyglądało na to, że dobrze się czuła, ale jeszcze przed deserem poszła się znowu położyć. Julianna zapukała do jej sypialni.

– Śpi – powiedziała cicho gospodyni, która siedziała przy łóżku swojej pani. Wyglądała na bardzo zmartwioną.

– Wieczorem przyjedzie prababcia – szeptem odparła dziewczyna.

– To dobrze – westchnęła gospodyni i przyglądała czarną sukienkę. Od lat nosiła żałobę po mężu. – Lekarz już był przed południem – powiedziała. – Ojciec pewnie zapomniał panience powiedzieć z tego wszystkiego. Adamski mówił, że to nic poważnego, kobiece sprawy, ale mnie się nie wydaje, żeby miał rację.

– Mnie również.

Julianna pokiwała głową. Wpatrywała się w pobladłą twarz mamy. Kobieta spała mocno. To też był jeden z objawów, na który nie zwróciła uwagi, a przecież już od pewnego czasu mama przysypiała w południe, a wieczorami też wcześniej szła do łóżka.

Niepokój wzrastał do ogromnych rozmiarów.



Prababcia przyjechała po osiemnastej. Dobrze wybrała porę odwiedzin. Właśnie ściągano bydło z pola. Nastął gorączkowy czas dojenia krów, podawania im wody, zamykania kur w kurniku i całego skomplikowanego wieczornego obrządku. Odkąd zmniejszyła się ilość służby, tata uczestniczył w tych pracach w pełnym wymiarze. Niby to doglądał parobków, bo pańskie oko konia tuczy, ale tak naprawdę robił wszystko na równi z nimi.

Antonina zatrzymała się na chwilę na podwórku. Podeszła z boku, nikt w tym zamieszaniu nie zwrócił na nią uwagi. Psy nie czekały, lecz łąsiły jej się do nóg.

Rozejrzała się. Wystarczyło jej tylko jedno spojrzenie, nie potrzebowała wiele. Widać było, że Łąccy prowadzą gospodarstwo z trudem. Wszędzie dostrzegała wyraźne niedbalstwo. Stojące pod ścianą grabie pozbawione były dwóch zębów, jakieś wiadro rzucone koło ławki, trawa i wysokie chwasty na klombie różanym, brudne okna, byle jak zasłonięta firanka. Tysiące szczegółów, małych rzeczy, pokazujących jasno, że gdzieś dzieje się wielki kryzys.

Od strony stajni dobiegały nawoływania i gniewne ponaglenia. Nie nadążali z pracą. Ogromne gospodarstwo wymaga wielu rąk, które codziennie wykonują mnóstwo czynności. Niewidocznych, do momentu kiedy przestanie się je robić we właściwym czasie. Wtedy nagle okazuje się, że wszystko zaczyna się sypać. Skutki widać natychmiast.

– Chodź, prababciu kochana. – Julianka objęła ją za ramiona i wprowadziła do środka. Dwór sprawiał wrażenie opustoszałego. Dwie ostatnie pokojówki też były zajęte w stajniach. Kucharka coś jeszcze plewiła w warzywniku, wykorzystując ostatnie promienie słońca, pomywaczka pobiegła do domu. Nie mieszkała tutaj na stałe, pracowała tylko za posiłek i niezbyt gorliwie wypełniała swoje

obowiązki. Praca we dworze, kiedyś marzenie wielu osób, ostatecznie straciła na atrakcyjności.

Antonina weszła do środka, dobrze знаła dom. Ruszyła w prawo w kierunku sypialni właścicieli dworu. To tu przeniesie się Julianna ze swoim mężem zaraz po ślubie. A jej rodzice staną się dziadkami seniorami. Będzie im się należał szacunek, opieka, ale nie powinni mieć decydującego głosu. Tak przynajmniej wyglądała teoria, bo w praktyce różnie się działo. Nie raz i nie dwa seniorzy ani myśleli oddawać sterów w młodsze ręce.

Zapukała i weszła do środka. Zobaczyła swoją wnuczkę siedzącą na łóżku. Była blada, ale nie wyglądała źle. Antonina spojrzała na nią, a potem poczuła dreszcz. Były takie choroby, których objawy rozpoznała natychmiast. Trochę na podstawie dziesięcioleci doświadczenia oraz bardzo wyczułonej intuicji, ale też dzięki umiejętności trafnej obserwacji, bo dolegliwości zmieniają ludzi. Nie tylko ich ciało, lecz także psychikę. Są takie, przy których człowiek inaczej patrzy, mówi, chodzi czy się porusza.

Anna miała charakterystyczne objawy. Doskonale Antoninie znane.

To niemożliwe! – pomyślała. Poruszała ramionami, jakby chciała zrzucić z siebie to podejrzenie. Ciężar aż ją przygarbił.

Podeszła bliżej. Musiała się upewnić.

Mama Julianki była już przebrana do snu. Miała na sobie obszerną bawełnianą koszulę z długim rękawem, haftowaną przy szyi i na mankietach.

– Jak się czujesz? – przywitała się. Nie były ze sobą w dobrych stosunkach, ale każdy chory miał u Antoniny specjalne traktowanie. W obliczu boskich wyroków żadne inne sprawy się nie liczyły, tylko bezpieczeństwo i zdrowie.

– Teraz lepiej – powiedziała Anna. Czuła się trochę niezręcznie. Rodzice nauczyli ją nieufności wobec tej starej kobiety. Ale bała się choroby. – Najgorzej zawsze rano – zaczęła pospiesznie opisywać objawy – a potem w ciągu dnia też kręci mi się w głowie, plamki latają przed oczami. Słabo się czuję.

Antonina aż musiała przymknąć powieki, żeby odpędzić od siebie obrazy, które nasunęły się same. Wszystko się zgadzało.

To niemożliwe! – pomyślała znów. – Dlaczego akurat teraz. Czemu nie choćby jeden dzień wcześniej!

– Połóż się – powiedziała. – Zbadam cię. Lekarz ponoć powiedział, że to sprawy kobiece, zacznę sądzić, że wyjątkowo miał trochę racji.

Julianna tylko wydeła usta.

– Mam prośbę, kochana – zwróciła się do niej Antonina. – Zostaw nas na chwilę same. Nie godzi się, żebyś była obecna podczas badania twojej mamy.

Dziewczyna kiwnęła głową i wyszła. Może to nawet lepiej, żeby ktoś pilnował, by nikt nie przeszkodził w tej wizycie. Miała nadzieję, że prababcia szybko się uwinie. Nie chciała, by przyszedł tu ojciec i nie daj Boże, zaczął się kłócić o jakieś stare sprawy.

Chodziła pod drzwiami niespokojnie. Tam i z powrotem. Wiadomo, im dłuższe badanie, tym gorzej. Prababcia była świetna w swoim fachu. Czasem wystarczyło, że wzięła kogoś za rękę, spojrzała mu w oczy, poczuła jego puls, rozejrzała się wokół, sprawdziła, jak żyje i już wiedziała, co mu dolega. Lista chorób na świecie nie jest aż taka długa. Najgorzej, jeśli nie wiadomo, kiedy coś tli się wewnątrz organizmu ukryte tak głęboko, że nie sposób tego dostrzec. Wtedy uderza znienacka, a rosnąc po cichu, niepostrzeżenie staje się groźne.

Tylko nie to! – Julianna otarła pot z czoła. Ogarnęło ją przerażenie. Widziała śmierć wiele razy. Wiedziała, że jest czymś realnym, co przychodzi bez ostrzeżenia, nie kierując się żadną logiką. Zabiera czasem bardzo potrzebnych ludzi.

Skrzypnęły drzwi, dziewczyna podskoczyła. Ale nie pojawiła się w nich prababcia, lecz mama. Dziwnie blada i wyprostowana. Jakby była w szoku. Włożyła na siebie szlafrok, zawijając go aż pod samą szyję, a potem poszła do kuchni.

– Chce się napić wody. Jest zaskoczona diagnozą – powiedziała Antonina, która teraz siedziała na łóżku na jej miejscu.

– Czemu nie zawołała służby?

– Chyba potrzebowała się pilnie przejść i побыć sama – westchnęła Antonina.

– Co się stało? – Julianna szybko do niej podbiegła. – Czy to bardzo złe wieści?
– Zależy dla kogo – odpowiedziała prababcia powoli. – Tu naprawdę dużo zależy od tego, kto je usłyszysz.

– Co to za odpowiedź? – zdenerwowała się dziewczyna. – W chorobie nie ma nic dobrego. Dla każdego to katastrofa.

– To raczej przypadłość niż choroba – powiedziała prababcia, a potem na nią spojrzała. – Wszystko się zmieniło – dodała.

– Nie rozumiem.

– Twoja mama jest w ciąży, będzie miała jeszcze jedno dziecko – powiedziała wreszcie Antonina. Jej twarz była bardzo poważna.

– Słucham? – Julianna patrzyła na nią i mrugała powiekami.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za pięć miesięcy nie będziesz już jedynaczką.

Julianna starała się to zrozumieć. W jej sercu pojawiła się radość. Tak długo marzyła o tym, by mieć rodzeństwo. Właściwie dopiero kilka lat temu całkiem poddała się i pogodziła z myślą, że nigdy się to nie stanie. Rodzice dobitnie jej to wyjaśnili. Wy tłumaczyli, dlaczego to już niemożliwe.

– Czy mama nie jest na to za stara? – zapytała niepewnie, spoglądając na Antoninę.

– Tak zwany ostatni dzwonek – odparła prababcia z westchnieniem. – To się kobietom zdarza. Przekwitają, wszystko zaczyna działać inaczej i czasem na skutek zbiegu okoliczności albo cudu, to zależy, jak ktoś to nazwie, pojawia się życie, późne dziecko. Dla wielu osób prawdziwe błogosławieństwo, dla innych ciężar.

– Rodzice będą w szoku – powiedziała Julianna. Sama też nie mogła się jeszcze odnaleźć w tej nowej rzeczywistości.

– Anna już jest, ale myślę, że szybko zacznie się cieszyć i jednocześnie bać – westchnęła Antonina, badawczo przyglądała się prawnuczce. – Może być przez jakiś czas ciężko. Teraz wszystko w waszym domu się zmieni. Jeśli to chłopczyk, będziecie musieli na niego bardzo uważać.

Dziedzic! – pomyślała Julianna i poczuła dziwne ukłucie w okolicy serca. Wiedziała, że ojciec tego właśnie najbardziej pragnął.

Babcia kiwnęła głową, a potem wzięła prawnuczkę za rękę.

– Niestety to ma wiele różnych konsekwencji. Między innymi taką, że być może właśnie spłaciłaś dwór, który teraz będzie należał do twojego brata. Jesteś dziewczynką, to wiele znaczy. Jeżeli urodzi ci się siostra, większość spraw pozostanie taka sama jak wcześniej, ale syn sporo zmieni.

Julianna milczała, powoli przyswajała nowe informacje.

– Jak mogłyśmy się tak pomylić? – dodała prababcia cichym głosem. – Dlaczego nic mnie dzisiaj rano nie tknęło? Żadne przecucie! Przecież wiedziałam, że twoja mama niedomaga. Mówiłaś mi nawet, że ma kłopoty z żołądkiem, robi jej się słabo. Przecież to takie jasne sygnały, a ja ich nie odczytałam. Mogłyśmy poczekać z wykupem tych weksli. Nie mam już więcej pieniędzy. Co będzie, jeśli ojciec dostanie obsesji na punkcie małego synka i zostawi cię z niczym?!

– Proszę cię... – Julianna pogłaskała ją uspokajająco po ramieniu. – Coś takiego się nie stanie. Wiesz, że papa mnie kocha.

Antonina przymknęła oczy. Taką miała nadzieję. Ignacy był nieporadnym człowiekiem, słabym gospodarzem, ale miał dobre serce. Nigdy świadomie nikogo nie skrzywdził. A jednak głos rozsądku podpowiadał, że mężczyzna pod pięćdziesiątkę, który nagle zostaje ojcem, często zatracą się w tym uczuciu. Staje się niesprawiedliwy wobec starszych dzieci, a zwłaszcza w tym okrutnym świecie, który ponad wszystko ceni chłopców. Naprawdę trudno wyjaśnić dlaczego.

ROZDZIAŁ 15



Noc spędzili w stodole. A przynajmniej to tam właśnie znajdowały się ich ciała. Siano otulało ich, tworząc przytulne wgłębienia. Ale duchem obaj byli swoich chatach.

Dominik spał we dworze. Tuż nad ranem poczuł zapach chleba. Najlepszego na świecie. Jego pieczenie zawsze było wydarzeniem. A matka – mimo iż mieli wiele służby – osobiście doglądała tego procesu. Chleb musiał być dobrze wypieczony, mieć chrupiącą skórkę i miękki, sprężysty miąższ.

Dominik właśnie tam był. Przyglądał się, jak dziewczki kuchenne silnymi dłońmi wyrabiają ciasto, by było w nim dostatecznie dużo pęcherzyków powietrza, a matka sprawdza, czy robią to prawidłowo. Przy okazji uczy, dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniem z młodymi dziewczynami, które kiedyś będą gospodyniami we własnych domach i poniosą tę wiedzę dalej. Dziewczyny służące we dworze zwykle dobrze wychodziły za mąż. Cieszyły się powodzeniem, bo oprócz niewielkich posagów, o które zawsze dbał Podhorski, wносиły też sporo umiejętności.

Dominik przewrócił się na drugi bok. Ręka bezwiednie wyciągnęła się w prawą stronę. Chciał sobie odkroić piątkę chleba, posmarować świeżym masłem. Uwielbiał taki gorący, choć matka tego nie pochwałała. Za krojenie zbyt ciepłych bochenków też nieraz dostał ścierką.

Uśmiechnął się na tę myśl, a źdźbło siana spadło na jego czoło i opuchniętą twarz.

W tym czasie Józek również niespokojnie się kręcił. Co chwilę się przebudzał i wracał do rzeczywistości. Był bardzo obolały, ale kiedy tylko udało mu się choć na moment odpłynąć, też był w swojej chacie. Słyszał, jak ojciec chrapie, najmłodszy braciszek popłakuje przez sen, a trzech średnich chłopaków walczy o odrobinę miejsca w ciasnym łóżku. Czuł wyraźnie zapach kapusty, którą matka często gotowała na przedwiośniu, słyszał szczekanie psa. Jasne, że to był Burek. Nie mógłby się pomylić. Rozpoznałby go na końcu świata.

Gwałtownie otworzył oczy. Pies rzeczywiście szczekał, ale obcy. Momentalnie wróciło do niego zrozumienie sytuacji. Wiedział, gdzie jest. Chciał znowu zasnąć, żeby choć na chwilę być wśród swoich, jednak to się nie udało. Coś go koszmarnie bolało między żebrami. Próbował się podnieść, ale nie dał rady.

– Weź się w garść – wyszeptał do siebie. Pomiędzy źdźbłami siana dostrzegł śpiącego Dominika. Miał trochę czasu, żeby się ogarnąć, zanim syn dziedziców Podhorskich się obudzi. – Właściwie to dziedzic Podhorski – uświadomił sobie. Teraz do niego dotarło, że przecież Dominik jest już w rodzie jedyny, najważniejszy, tak jak zawsze marzył. Najstarszy. Pan na Podhorowie.

Podniósł się delikatnie na łokciu i spojrzął na jego twarz. Chłopak wyglądał dziś jeszcze gorzej niż wczoraj. Opuchlizna się wzmogła, siniaki nabrały brzydkiego żółtego koloru.

Co przyniesie ten dzień? Jak sobie poradzą? Należało natychmiast uciekać, iść dalej. Byli zbyt blisko. Ktoś mógł ich rozpoznać.

Nie należało do rzadkości, że młodzi mężczyźni płątali się po okolicy, szukali pracy. W wielu wiejskich chałupach brakowało chleba i co odważniejsi lub bardziej zdesperowani czasem ruszali w drogę.

Ale Dominik zwracał na siebie uwagę. Ten cwany gospodarz od razu zauważył, że chłopak jest inny. Nie da się tu siedzieć dłużej dyskretnie. Zaraz przyjdzie jakiś sąsiad na pogawędkę i zacznie się wypytywać o nowych. Jeśli Bracki się dowie, z całą pewnością się nie zawaha. Naśle tu kogoś.

Zaginiony dziedzic to wielka legenda. Tyle rozumiał nawet Józek. Jeśli bezprawnie przejmujesz czyjś majątek, najgorszy koszmar, jaki może ci się ziścić, stanowi syn wracający po latach, żeby pomścić rodziców. Dopóki Dominik żyje, Bracki nie będzie mógł spać spokojnie.

To jasne.

Udowodnił też, że nie cofnie się przed niczym. Nie ma skrupułów, uczuć ani sumienia. Istniały wątpliwości, czy w ogóle można go nazywać człowiekiem.

Józek złapał się za głowę.

Towarzystwo dziedzicowego syna mi szkodzi – pomyślał. – Sam się zaczynam zastanawiać nad różnymi rzeczami, zamiast myśleć tylko o strawie i spaniu. Czasem może o dziewczynach.

Próbował znowu się podnieść, ale jego mięśnie brzucha nie działały. Jakby ktoś je wyłączył. Jedna ręka była na tyle sprawna, że mógł się dźwignąć na łokciu, druga również bardzo bolała. Na szczęście jednak nie była załamana. Opadł z powrotem na siano. Dziś było o wiele gorzej niż wczoraj.

Jeden dzień – pomyślał, rezygnując z planu natychmiastowej ucieczki. – Tyle musimy tu wytrzymać.

Oczywiście zamierzał poprosić Dominika, by ten sam ruszył w dalszą drogę, ale z góry wiedział, jaki będzie wynik tej rozmowy. Chłopak miał w sobie całą upartość rodu Podhorskich. Poza tym było też niebezpiecznie, by dworski syn sam płatał się po świecie. Józek czuł się za niego odpowiedzialny.

– Jeden dzień – powiedział do swojego ciała zdecydowany zmusić je, by zaczęło jak zawsze służyć. – Nie możesz się tu wylegiwać jak pański syn – powiedział sobie półgłosem, licząc, że to pomoże, a organizm zrozumie, że wyższa konieczność nakazuje szybkie wyzdrowienie.

Przez szparę w drzwiach przedostał się promyk słońca. Świtało.

Dziewczyna, która pojawiła się chwilę później, wyglądała bardzo ładnie. Ciemne włosy zaczesła gładko, a jasna wyraźnie odświętna sukienka podkreślała jej kształtną figurę. Uśmiechała się, niosła chleb i mleko.

– Wstawajcie – powiedziała. – Jest robota.

Dominik zerwał się. Jemu chyba trudniej było wrócić do rzeczywistości i odnaleźć się w starej stodole, bo dłuższą chwilę rozglądał się wokół dość nieprzytomnie, mrugając intensywnie powiekami.

Jadzia uśmiechnęła się właśnie do niego.

– Przyniosłam śniadanie – powiedziała. – Tata mówi, że idziemy dzisiaj ścinać pierwsze siano na łące. Chce, żebyście pomogli.

– Jasne – powiedział Dominik. Józek próbował się podnieść, ale nie dał rady. – Ty leż! – zwrócił się do niego. – Znam się na robocie. Potrafię pracować za dwóch.

Dziewczyna spojrzała na niego z wyraźnym podziwem.

– Ojciec też tak powiedzieli – odezwała się. – Że pan wygląda na robotnego człowieka.

– Józek jest jeszcze silniejszy – odezwał się Dominik, próbując sprowadzić dziewczynę na właściwe tory. – I lepszy ode mnie pod każdym względem.

Jadźka się zdziwiła, ale nie skomentowała tych słów. Podała Józkowi kromkę chleba, a on uniósł się na jednej ręce.

– Niedobrze z wami – powiedziała dziewczyna. Wyciągnęła z kieszeni fartucha maść. – Niech pan je i rusza z ojcem – zwróciła się szybko do Dominika. – Ja tu oporządzę pańskiego towarzysza. Może jutro będzie z nim lepiej.

W jej głosie usłyszeli nacisk, że oczywiście gościnność ich rodziny jest szczerą, ale nie będzie trwała wiecznie. Zwłaszcza za darmo.

Józek bardzo dobrze to rozumiał. Dominik nieco słabiej. Dwory sływały z otwartych drzwi, a rannych przyjmowało się i pielęgnowało tak długo, jak zachodziła potrzeba. Tu obowiązywały inne zasady. Józek jednak doskonale znał świat, w którym każda kromka chleba była policzona.

– Jutro wstanę – powiedział.

Dominik otrząpął spodnie, poprawił swoją koszulę, która dziś jeszcze mniej niż wczoraj przypominała odświętny weselny strój, wzuł buty, napił się szybko mleka. Wziął do ręki chleb i zaraz go nie było.

Jadźce się to spodobało. Pociągnął się za nim jej tęskny wzrok. Ale rozumiała, że ten mężczyzna z jakiegoś powodu podjął decyzję, że to nie on stanie się tutaj prawą ręką gospodarza. Przyjrzała się więc życzliwym okiem Józkowi. Też był niczego sobie. Jego twarz nie nosiła znaczących śladów pobicia, a ciało, które sobie wczoraj dokładnie obejrzała podczas smarowania maścią, prezentowało się bardzo dobrze.

– Skąd jedziecie? – zapytała.

– Nie gniewaj się, ale nie mogę powiedzieć – odparł szybko Józek. – Może później?

– Tak, pewnie – domyśliła się, że wiąże się z ich pobylem jakaś tajemnica i to ją zaciękało.

Wyglądało jednak na to, że będzie musiała uzbroić się w cierpliwość.

Smarowała go powoli, dużo wolniej, niż była potrzeba, starannie każde miejsce. Czuła, że ta czynność sprawia jej przyjemność. Pierwszy raz mogła tak dotykać ciała obcego mężczyzny.

Józek przymknął oczy. Być może go bolało, ale nie dał po sobie poznać.

Potem delikatnie przewróciła go na bok i posmarowała także umięśnione plecy. Starła się nie zjeżdżać zbyt nisko za linię paska... Jeśli to miałby być jej mąż, nie byłaby zła. Ojciec w nocy jeszcze dokładniej wszystko jej wytłumaczył. Ci dwaj przybysze coś ukrywali. Ale wyglądali na cenny nabytek. W chałupie dwie silne męskie dłonie z całą pewnością się przydadzą.

Jadźka już sobie wyobrażała, jak będzie paradować z nim na majówki, chwalić się przed sąsiadami i koleżankami, jak piękny ojciec wyprawił jej ślub. Póki co jednak musiała zaprzestać swoich czynności, bo maść prawie się skończyła, a miała przecież starczyć na dłużej.

Szybko poprawiła koszulę Józka, zauważając, że jak na przybłędów są całkiem dobrze ubrani, zwłaszcza ten, który wyszedł. Miał bardzo ubłocone, ale nowe i solidne buty, w jakich nie chodzili nigdy parobkowie ani służba. Porządne spodnie.

Kim jesteście? – myślała intensywnie.

Józek spał lub udawał, że to robi, więc nie miała już więcej pretekstu, by tu zostać. Westchnęła więc cicho, pozbierała swoje rzeczy i wyszła, zostawiając mężczyźnie na wyciągnięcie dłoni kromkę chleba, położoną na kubku, żeby mu się tam coś nie nasypało.

Miała nadzieję, że przy kolejnej okazji dłużej porozmawiają.



Dominik wrócił do stodoły późnym wieczorem. Zgodnie ze starym zwyczajem pracowano do zachodu słońca z krótką przerwą na obiad, który przyniosła Jadźka. Była to polewka z kiszzonej kapusty z kilkoma ziemniakami w środku. Bez mięsa i żadnej omasty, w końcu dzień był zwyczajny, żadnych powodów do rozrzutności.

W polu pracowało kilku mężczyzn. Kosili dworskie łąki. Należały one do jakiegoś dziedzica, którego Dominik nie znał, wbrew obawom Józka. Musieli więc odjechać już dobry kawałek od domu. Nikt też podczas pracy nie wspominał o dramacie, który wydarzył się w Podhorowie, a przecież w okolicy na pewno był to temat plotek. Tu się go nie przeżywało, nikt o nim nie wiedział albo nikogo nie obchodził.

Jesteśmy daleko – pomyślał Dominik i trochę się ucieszył. To bowiem zwiększało szansę na pozostawienie Józka w dobrym bezpiecznym miejscu dostatecznie odległym, by stara historia się za nim nie ciągnęła i dość blisko, by w spokojniejszym czasie mógł pojechać do domu.

Zupa, którą zjadł, została w jego żołądku zaledwie na moment. Podobnie jak kromka chleba i kubek mleka. Co to było dla młodego mężczyzny, który na dodatek od świtu ciężko pracował?

Sądził, że wie, co to znaczy. W końcu ojciec miał twardą rękę do wychowywania synów. Nie pozwalał im wylegiwać się w łóżku i gonił do roboty. Uczył wszystkiego, co potrzebne, żeby prowadzić gospodarstwo. Tłumaczył, że jeżeli chce się być dobrym panem, to człowiek musi znać się na każdej robocie. Choćby po to, żeby ocenić, czy ktoś ją dobrze wykonuje.

Dominik więc bez problemu wziął kosę i przystawił się do soczystej gęstej trawy. Ale po godzinie intensywnej pracy, kiedy próbował dotrzymać kroku pozostałym, poczuł, jak zaczynają mdleć mu ręce. Nigdy bowiem nie wykonywał tak monotonnej czynności przez wiele godzin. Na dodatek żebra wciąż bardzo mocno go bolały, wargi pękały, a opuchnięte oko sprawiało, że z trudem domykał powiekę.

Cieknąca krew trochę go poratowała, bo gospodarz pozwolił, by poszedł się umyć do strumyka. Dzięki temu Dominik odpoczął chociaż chwilę, obmył twarz, napił się zimnej wody i odzyskał odrobinę sił. Wyprostował się.

Nie mógł się poddać ze względu na siebie, ale przede wszystkim na przyjaciela. Gospodarz, który ich przyjął, nie powinien powziąć żadnego podejrzenia, że pod jego dach przybyło dwóch słabych mężczyzn. Zresztą Józek z tym zadaniem dałby sobie radę świetnie.

Dominik po raz pierwszy poczuł, co to naprawdę znaczy być parobkiem, chłopem. Zawsze mu

się wydawało, że wie. Był blisko domu Brzeźników, siadał przy ich stole, jadał z nimi ciemny chleb, zupę z ziemniaków, kwaśne mleko.

Nie zdawał sobie jednak sprawy, że ilekroć przybywał do chałupy, matka Józka stawiała na stole to, co miała najlepsze. Nie chodził też z nimi na pola i nie harował tak jak dzisiaj. Na dłoniach porobiły mu się bąble, oczy zalewał pot.

Około drugiej po południu, kiedy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, prawie nic już nie widział. Szedł na oślep, grany zimną furią, wściekłością na świat, który postawił go w takiej sytuacji. Gdyby nie Józek, rzuciłby tym wszystkim i poszedł przed siebie, dokądkolwiek. Wszystko mu było jedno.

Dotrwał jednak do końca, a potem najtrudniejsze okazało się dowleczenie z powrotem do chałupy. Gdy zamknęły się za nim drzwi stodoły, padł na siano. Wszystkie jego siły się wyczerpały. Teraz nie był już w stanie nawet ruszyć ręką ani nogą.

Józek podniósł się na łokciu. Czuł się odrobinę lepiej. Wciąż bardzo go bolało, ale maść od znachorki trochę pomogła. Podobnie jak zioła, którymi jeszcze dwa razy napoiła go Jadźka. On też dostał nieco lepszą zupę, z małym kawałkiem słoniny, a potem jeszcze kromkę chleba z cebulą. Niby to dlatego, że chory, potrzebuje sił. Ale wiedział, że dziewczyna zaczęła darzyć go szczególnymi względami.

– Szacunek dla panicza – powiedział szczerze Józek. – Cały dzień koszenia to robota dla najsilniejszych.

– Nic to! – odpowiedział Dominik. Chciał machnąć ręką, ale nie dał rady. – Wcale nie było tak ciężko.

Nie czuł rąk ani nóg, za to był przekonany, że jutro będzie w gorszym stanie niż po pobiciu przez bandytów, którzy ukradli im konie. Jego kończyny stały się teraz niczym z ołowiu. Oddychał z trudem.

– Oddałbym wszystkie nasze monety za odrobinę wody, ale nie ma mowy, żebym się ruszył do studni – powiedział cicho Dominik. – Tobie zabraniam iść! – dodał stanowczo, widząc, jak Józek próbuje się gramolić. – Leż i zdrowiej, nieźle się dziś narobiłem, żebyś mógł wydobrzeć, nie zmarnuj tego.

– Może Jadźka coś przyniesie? – Józek przestał się wiercić, choć poczucie obowiązku nakazywało spełnić potrzebę pana. Ale bał się, że jeśli gospodarz zobaczy go na nogach, zapyta, czemu nie poszedł do pracy.

– Może przyniesie – powiedział Dominik, próbując coś przełknąć przez suche gardło, ale kurz krążący w stodole jeszcze mu to utrudniał. Zamknął powieki. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można w taki sposób pracować codziennie. A przecież był to los wielu ludzi.

Zasnął i nawet nie słyszał, kiedy Jadzia rzeczywiście pojawiła się w stodole. Znów z dwoma kubkami mleka z wieczornego udoju i dwiema kromkami chleba. Były posmarowane smalcem, a jedna z nich miała szczególnie dużo apetycznych skwarków. Ta dostała się Józkowi.

Dominik przebudził się i uśmiechnął się z uznaniem. Dziewczyna okazała się wyjątkowo pojętna.

– Dziękuję – powiedział do niej Józek. Był naprawdę wdzięczny tej dziewczynie oraz jej ojcu za to, że ich poratowali w trudnej sytuacji. Wiedział jednak, że nie spełni jej oczekiwań ani nadziei. Starał się więc, na ile to możliwe, zachowywać dystans. A to nie było łatwe.

Dziewczyna pochylała się nad nim, sprawdzała, jak tam siniaki, a potem posmarowała go jeszcze raz na noc. W normalnej sytuacji ojciec Jadźki bardzo szybko osiągnąłby swój cel. Już dziś skradłby jej kilka całusów. Bo choć ledwo się ruszał, tyle siły z całą pewnością by w sobie znalazł.

Ale to nie miało sensu. Rano musieli uciekać. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

– Dziękuję ci – powtórzył Józek, a potem z całej siły oparł się na zdrowej ręce i podniósł. Usiadł sam, włożył koszulę. – Dasz mi tę maść? – poprosił. W środku była jeszcze połowa zawartości. Jadźka zawahała się tylko przez chwilę. – Żeby w nocy sobie posmarować, gdyby mnie zaczęło boleć. Rano ci oddam – skłamał.

Jednak ona uwierzyła. Podała mu słoiczek. Schował go do kieszeni.

– Jesteś dobrą dziewczyną, los ci to wynagrodzi – powiedział.

Gdyby Jadźka miała więcej doświadczenia, domyśliłaby się, że to taki stały tekst, którym mężczyźni raczą kobiety, jeśli nie chcą się głębiej angażować.

Wstała i jeszcze chwilę czekała na jakiś gest z jego strony albo słowo, ale ponieważ milczał, pożegnała się i wyszła. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić. Ojciec też nie. Ci mężczyźni różnili się od innych wiejskich chłopaków i pewnie też oceniać ich trzeba było inaczej. Sądziła jednak, że najbliższe dni pokażą, na co może liczyć.

Józek przekręcił się na bok, a potem ostrożnie wstał. Nie było tak źle. Z bólu wprawdzie kręciło mu się w głowie, jednak wszystko działało. Ręce i nogi. Mógł stawiać kroki – to było najważniejsze. Przynął się bliżej do Dominika, który znów zdążył zasnąć, a potem szarpnął go za ramię.

– Napij się – powiedział, podając mu mleko.

Dominik z wielkim trudem podniósł powieki, które znowu mu opadły.

– Jutro – wymamrotał.

– Nie – zaprotestował Józek. – Zrób to teraz. – Podniósł go lekko, a potem przysunął mu kubek do ust.

Dominik jednak się skusił. Pił łąpczywie. Jak tylko zaczął, nie mógł przestać. Resztki mleka kapały na odświętną koszulę, dodając do wielu już plam kolejne. Jakby się zapisywała na tej białej tkaninie cała historia ich ucieczki. Nawet po starannym wypraniu wciąż smugi były widoczne. Krew, ziemia, woda, pożywienie. To wszystko, czego doświadczyli. Łzy...

Tych nie było, ale w jego sercu na pewno zamroziło się całe ich morze.

– Pośpij trochę – powiedział Józek. – Przyniosę ci jeszcze wody, później, jak wszyscy już zasną, ale w nocy będziemy musieli uciekać.

– Nie, nie! – Dominik pokręcił głową. Nie chciało mu się teraz o tym mówić. Był zmęczony, oczy same mu się zamykały. – Tylko ja – powiedział cicho.

– Mowy nie ma. – Józek uciął ten temat od razu. – Uciekamy obaj i to jeszcze zanim zapieje pierwszy kur. Ludzie wstają tu wcześniej, są czujni, a psy jak w każdej wiosce nie mają nic do roboty, tylko szczekają jak wściekłe. Sprawdzę wszystkie deski z tyłu stodoły. Zobaczę, czy którejs nie da się poruszyć, żebyśmy wyszli po cichu. Przez podwórko może być niebezpieczne.

– Posłuchaj mnie! – Dominik tak się zdenerwował, że aż usiadł. Chciał westchnąć, ale kurz podszedł mu do gardła, zaczął więc gwałtownie kaszleć. Zdenerwował się jeszcze mocniej. – Ja idę dalej – powiedział – bo muszę, ale ty znalazłeś swoją bezpieczną przystań. Możesz tu zostać. Przyglądałem się temu gospodarzowi cały dzień. To bardzo pracowity chłop i mądry, trochę podobny do twojego ojca. A Jadźka to miła dziewczyna. Po co ci lepsza? Zawsze mówiłeś, że dla ciebie każda jest taka sama. To ja ci pomogę wybrać. Ta jest dobra. To przestronny dom, do twojej wioski dwa dni koniem. W razie czego kiedyś będziesz mógł odwiedzić rodzinę. Zostaniesz!

Józek nawet nie odpowiedział, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że wszystko, co mówi Podhorski, jest prawdą i rzeczywiście życie dało mu szansę na całkiem dobry los. Nie wahał się jednak ani chwili.

– Ja odpocząłem przez dzień – powiedział. – Więc teraz ty się chwilę prześpij. Obudzę cię.

– Przecież ledwo chodzisz.

– I nawzajem – odparł Józek. – Nie wiem, który z nas jest w gorszym stanie, ale zanim słońce wstanie, zdążymy spory kawałek uciec. Pamiętam drogę do głównego traktu. Pójdziemy nim tak daleko, jak tylko się da. A kiedy zrobi się jasno, zdecydujemy, czy ukrywamy się w ciągu dnia, czy próbujemy dalej. Masz jeszcze trochę miedziaków. Jakoś sobie poradzimy. Jesteśmy za blisko.

– Mylisz się. Nikt tutaj nie zna Podhorskich. Ani słowa o nich nie wspominali przy robocie. Ten ich dziedzic Wierzbicki... Nie mam pojęcia, kto to jest, a przecież to tylko dwa dni drogi od domu – powtórzył. – Musieliśmy odjechać bardzo daleko. Tak prędko galopowaliśmy i na dodatek przez las. Może konie znalazły jakiś skrót?

– Nie wiem – odparł Józek. – Tylko tyle, że jeszcze nie skończyła się droga.

– Głupiś! – syknął Dominik. – Ona się nigdy nie kończy. Zawsze dokądś prowadzi. Czego oczekujesz? Że znajdziesz koniec świata? Nie istnieje. Ziemia jest okrągła, tłumaczyłem ci.

Józek nagle się wystraszył, że ją obleżą dookoła, ale to chyba było jednak niemożliwe.

– Nie mieszaj mi w głowie – powiedział szybko. – Trzeba tylko robić, co do nas należy – tłumaczył swoją życiową zasadę. – Teraz śpij, a ja cię we właściwym momencie obudzę.

Dominik opadł na siano. Podał się. Uważał, że przyjaciel robi błąd, ale nie miał siły ani pomysłu, w jaki sposób mógłby go przekonać, żeby zmienił zdanie. Do tej pory Józek raczej był posłuszny. Dominik przyzwyczał się, że wydaje mu rozkazy, a te są wypełniane. Niby byli przyjaciółmi, ale czuło się na każdym kroku, że jeden z nich jest panem, a drugi podwładnym. I mimo że dostawali od dziedzicowej takie same kromki chleba, to jednak różnica między nimi była dla wszystkich oczywista.

Teraz Dominik miał okazję poznać przyjaciela takiego, jakim był naprawdę. Mężczyzną o silnym charakterze i niezłomnych poglądach. Zaimponowało mu to. Cokolwiek by mówić, wcale nie tak łatwo jest spotkać dziewczynę z dobrego domu i znaleźć sobie w życiu miejsce, gdzie można bezpiecznie przeżyć lata. Zwłaszcza kiedy jest się parobkiem bez pieniędzy.

– Chciałem ci zostawić te miedziaki – spróbował jeszcze po raz ostatni, ale Józek tylko machnął ręką.

Dominik zrozumiał, że nie ma szans. Przyjaciel i tak by ich nie wziął. Postanowił więc spać, skoro nie było innego wyjścia. Ta ciężka praca miała tę zaletę, że sen pochłonął go momentalnie i chłopak całkowicie zapadł się jak w czarną gęstą toń bez żadnych wspomnień, tęsknot ani marzeń. Ale też bez cierpienia.

Na chwilę zapomniał o wszystkim, co się wydarzyło. Odpoczywał i zbierał siły.

Józek obudził go w najgorszym momencie. Kiedy spał tak głęboko, że wydawało mu się, iż podniesienie powiek jest ponad ludzkie siły. Ale przyjaciel szarpał go za ramię tak długo, aż Dominik wreszcie zaklął, po czym wygrzebał się z siana. Od razu tylko jęknął. Słusznie się spodziewał, że za swoje intensywne bronienie honoru za pomocą kosy przyjdzie mu dzisiaj słono zapłacić. Wszystkie mięśnie koszmarnie go bolały. Już nawet nie czuł, w którym miejscu został pobity.

Józek szybko go pociągnął za sobą.

Jedna deska z tyłu stodoły rzeczywiście była słabiej przybita i parobek bez problemu ją obluźował, a potem poradził sobie z drugą, co stworzyło wyłom, przez który obaj bez trudu się wydostali.

Wyszli na chłodną łąkę. Rosa już się gromadziła na trawie i było ślisko. Musieli uważać. Przebiegli pomiędzy rozłożystymi jabłoniami obsypanymi o tej porze morzem kwiatów. Jaśniały na tle ciemnego nieba. Księżyc w pełni świecił na tyle mocno, że bez trudu dotarli na drogę. Nie licząc ich własnych pojękiwań, było tu cicho. Pies przy chałupie z drugiej strony spał.

Objęli się ramionami, właściwie nie mając pewności, kto tu kogo podtrzymuje, bo obaj byli dość słabi. Szli krok po kroku, a każdy z nich stanowił potężne wyzwanie.

Po chwili jednak zatopili się w ciszy i w tym równomiernym marszu. Zsynchronizowały się ich oddechy i stopy. Czas płynął niepostrzeżenie.

Zanim nastał świt, zostawili daleko w tyle wioskę, tamten gościnny dom i dziewczynę, która spała w łóżku, marząc o zamążpójściu, a przed ołtarzem co rusz zmieniali jej się mężczyźni. Raz widziała Dominika, raz Józka, a czasem nawet ich obu.

Jadzia obudziła się o piątej nad ranem i spojrzała przez okno na stodołę, widoczną w świetle pierwszych słonecznych promieni. Przypomniało jej się, że wszystko jest w porządku. Wyjdzie za mąż tylko za jednego.

Ojciec wybierze – pomyślała z ulgą, po czym opadła jeszcze na chwilę na poduszkę, żeby złapać choć trochę snu. Wiedziała, że zaraz wszyscy zostaną obudzeni i zacznie się kolejny dzień pracy.

ROZDZIAŁ 16



Julianna uparła się i odwiozła babcię bryczką aż pod jej dom. Normalnie pewnie matka nigdy by się na to nie zgodziła. Dworski powóz przy drodze, o której wiedziano, dokąd prowadzi, mógł wywołać skandal.

Trochę to wszystko było dziwne. Niby wszyscy zdawali sobie sprawę, że Łąccy są blisko spokrewnieni z miejscową zielarką. Każdy znał jej pochodzenie i historię tego, jak ojciec wyrzucił ją z domu, kiedy odmówiła zachowania pozorów oraz godności, jaka należała się nazwisku. Kiedy owdowiała, upierała się ganiać po wioskach i leczyć ludzi. Kazał jej wybierać między dziećmi i rodową powinnością a tymi fanaberiami, pewien, że jest tylko jedno wyjście i Antonina będzie wiedziała, co robić.

Jednak ona stwierdziła, że jej dzieci są już dorosłe, zamężne, dadzą sobie bez niej radę. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Ojciec zamarł i stał niczym skamieniały na środku pokoju. Przez wiele tygodni obawiała się, że wciąż tam tkwi. Jednak doszedł do siebie. Ale nigdy nie zapomniał.

Antonina stała się źródłem ogromnego skandalu. Zamieszkała w lesie w starej chacie drwała i nigdy już nie wróciła do dworu. Nie pojawiła się na żadnym balu, proszonej herbacie ani w kościele. Nie bywała na jarmarkach, żyła w odosobnieniu.

Jednak bardziej wśród ludzi niż ktokolwiek inny, bo wołano ją wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego. Ojciec wyklął niesforną córkę i oficjalnie odciął się od wszelkich z nią kontaktów. Nie wspomniano jej imienia w kontekście rodziny, choć przecież nic nie mogło zmasać ich wzajemnych powiązań, a w tak małej społeczności niewiele da się ukryć.

Wszyscy jednak trwali w tym dziwnym układzie pozorów przez wiele lat i dopiero Julianna złamała milczącą umowę, że ten jeden jedyny dom nigdy nie korzysta z usług zielarki. Tu przyjeżdża doktor. Było jeszcze kilka zamożniejszych rodzin, które próbowały trzymać się tej samej zasady, ale zawsze do momentu gdy wydarzyło się coś poważniejszego. Wtedy wszystkie pozory szły na bok i ktoś nocą pędził koniem w stronę tej właśnie drogi na skraju lasu. Antonina pomagała każdemu.

– Moja dziewczynko – mówiła teraz do wnuczki. – Musisz być bardzo ostrożna. W twoim życiu nastąpi duża zmiana. Nie mam pojęcia, czy urodzi ci się braciszek, czy siostrzyczka. Intuicja nic mi nie mówi, może trochę doświadczenie, które mogłoby podpowiedzieć, że chyba będzie to chłopiec. Silne późne dziecko, które jakimś cudem przedostało się przez zabezpieczenia natury. Wychwyliło ten zapewne jeden króciutki moment, kiedy życie mogło powstać i ciasną bramą przedziera się właśnie na świat.

– A co, jeśli on też umrze? – Julianna czuła, jak żołądek ścisną jej się ze strachu. Mama by tego nie wytrzymała po raz kolejny.

– Tego się nigdy nie wie – powiedziała powoli prababcia – ale myślę, że tak się nie stanie. Twoja matka nie jest już młodą dzierlatką, która boi się teściów. Jest dojrzałą i silną kobietą. Będzie go bronić wszelkimi sposobami. Wie, co to znaczy stracić dziecko. W razie potrzeby pośle po mnie, po ciebie, po lekarza. Po każdego, kto będzie mógł pomóc.

Julianna kiwnęła głową. To brzmiało logicznie.

– Ale ja nie o nim, lecz o tobie – mówiła dalej Antonina. – Nie masz posagu. Kiedy wieść o ciąży twojej matki się rozniesie, a długo nie będą w stanie tego utrzymać w tajemnicy, wiele może się zmienić.

– Nie martw się, prababciu – powiedziała dziewczyna. – Rodzice mnie samej nie zostawią. Zobaczysz.

Przywiązała konia do żerdzi, a potem odprowadziła staruszkę do domu. Posadziła na ławie, napaliła jej w piecu i postawiła wodę.

– Idź już – powiedziała Antonina. – Trzymaj rękę na pulsie. Zobacz, jak zareagował twój ojciec. Im więcej będziemy wiedzieć, tym lepiej będziemy mogły się przygotować.

Julianna posłuchała. Niepokoiła się o matkę. Była ciekawa, jak ta niezwykła wiadomość zostanie

przyjęta w domu. Dobre serce okazane prababci trochę ją uratowało, bo dzięki temu, że pojechała ją osobiście odwiedzić, nie była świadkiem tych pierwszych scen, jakie rozgrywały się w sypialni rodziców.



Dwór był stary, ściany drewniane, a drzwi nieszczelne, powyginane przez czas, zmiany temperatury oraz wilgoć. Kiedy mówiło się cichutko, można było zachować odrobinę prywatności, ale choćby lekko uniesiony głos sprawiał, że wszyscy znali tutaj tajemnice innych. A zwłaszcza służba wiedziała, co się dzieje u państwa.

– W ciąży?! – zawołał dziedzic, a ostatnia pokojówka, kucharka, pomywaczka, a nawet Walenty, który właśnie wszedł do kuchni po kromkę chleba, jak jeden mąż zbiegli się w jadalni. Stąd najlepiej było słycać, co się dzieje we dworze.

Gospodyni powinna była ich przepędzić, ale bała się zwrócić uwagę państwa głośniejszym tonem. A poza tym sama była ogromnie ciekawa.

– Ciąży?... – wyszeptała kucharka z nie mniejszym zdumieniem niż pan tego domu.

– Będziemy mieli jeszcze dziecko?! – wołał na górze pan Łącki. – Syna? – zapytał.

– Ja nie wiem – odparł mu cichszy głos dziedzicowej. – Szansa jest taka sama, że będzie chłopczyk, jak i że dziewczynka.

– Ale! – krzyknął jej mąż. – Po co by się Bóg fatygował takim cudem, żeby dać nam drugą dziewczynkę? Przecież jedną już mamy.

Nawet proste kobiety stojące na dole i zwykli parobkowie odczuli, jak wartość Julianny nagle zaczyna spadać. Wręcz roztrzaskuje się o podłogę. Jak z głosu jej ojca znika cała atencja, którą zawsze jej okazywał. Było to bardzo przykre uczucie. Spojrzeli po sobie. Zanosilo się na wielkie zmiany.

– Mój Boże! Jakież to dzisiaj jest dzień cudów! – powiedział Ignacy. – Weksle splecone i na dodatek pojawi się dziedzic. Wszystko czyste przejdzie w jego ręce.

– No, jakiś jeden maleńki dług tam został – uściśliła Anna.

– Ale cóż to jest?! – powiedział buńczucznie jej mąż. Był tak uszczęśliwiony, jakby ten wymarzony syn już się urodził.

– Przecież obiecałeś dwór Żalczykowi jako posag dla Julianki. Nie możesz się teraz wycofać – zawołała pani Łącka.

– Wszystko mogę! – odpowiedział bez namysłu jej mąż, a służba poczuła, jak dreszcz zbiorowo przebiega im po plecach. – Juleczka to mądra dziewczyna, dobrze wybrała – tłumaczył dziedzic. – Ma dokąd pójść. W końcu Żalczyk też ma dom. Będzie się jej łatwiej opiekować jego dziećmi, jak zamieszkają pod jednym dachem. Naobiecuję mu może jakichś pieniędzy.

– Skąd weźmiesz pieniądze? – Anna wystraszyła się, że zanim urodzi dziecko, mąż zdąży znowu zadłużyć rodzinę.

– Od Żyda. – Łącki miał na wszystko prosty plan. – Nie mamy teraz u niego zaległych weksli, więc bez problemu się zgodzi.

– Znowu wpędzimy się w kłopoty? – oburzyła się jego żona. – Zanim dziecko dorośnie, sytuacja będzie taka sama. I co? On też będzie musiał na proszonych kolacjach wybierać spośród najbrzydszych panien, bo trzeba nam będzie liczyć na jakiś posag? Nie pozwolę na to.

– Dobrze, dobrze – wycofał się pan Łącki, nadal w sposób wyraźny uszczęśliwiony nowiną, a tym samym skłonny do ustępstw. – Jeśli nie chcesz, nie będę się zadłużał – powiedział polubownie. – Na posag złożymy Żalczykowi kilka pustych obietnic. A potem latami będziemy zwlekać i zwlekać. Małżeństwo święta rzecz. Żony nie da się oddać. Będzie się musiał pogodzić z faktem, że najpiękniejsza panna w okolicy to wszystko, co może dostać.

– Chociaż łakę pod lasem. – Pani Łącka nie mogła się zgodzić na taką krzywdę dla swojego dziecka.

– Dobrze – łaskawie odparł Ignacy, jakby właśnie na nowo stał się właścicielem ogromnego majątku i mógł rozporządzać na prawo i lewo. – Niech będzie. Reszta zostaje dla syna – powiedział stanowczo. – Musi mieć czym gospodarować. Mój Boże, jak ja się cieszę! – Podbiegł do niej. – Będę

o ciebie dbał, o niego też. Wszystkiego go nauczę: jeździć konno, polować, prowadzić gospodarstwo. Zatrudnimy znowu dużo służby. Jeden małyki weksel przecież mogę wziąć.

Pani Łacka próbowała się bronić, ale i ona poczuła, że bardzo się cieszy.

Sprawę Juleczki jakoś załatwimy – pomyślała, tłumiąc nagłe wyrzuty sumienia. – Coś jej damy, parę rzeczy, niewielkie pieniądze, ale za to częściej. Będziemy pomagać.

Zaskrzyphiały drzwi i służba tłocząca się w ciasnym przejściu pobiegła w stronę kuchni.

Julianna wróciła.

– Jestem! – zawołała głośno, a rodzice gwałtownie ucichli.



Julianna weszła do środka. Odczuła zmiany od pierwszego momentu, całą sobą. Prababcia Antonina często mówiła jej, że jest tym dzieckiem w rodzinie, które odziedziczyło dar pojawiający się w żeńskiej linii przez pokolenia. Coś cennego i rzadkiego.

Nie zawsze kobiety to dostawały. Czasem dar zniknął, by potem pojawić się znowu. Intuicja. Głęboka, przewidująca, niezwykła. Pomagająca widzieć niedostrzegalne.

Julianna się z tym nie zgadzała, choć oczywiście jako dziecko nie miała nic przeciwko temu, by mieć magiczne moce. Jak wróżka z bajek. Próbowała odgadywać przyszłość i robić inne sztuczki, ale nigdy się to nie udawało. Teraz jednak wyraźnie to poczuła.

Potrafiła czytać z atmosfery w domu. Coś dużego nadchodziło.

Zmiany.

Nigdy wcześniej nie widziała rodziców w takim nastroju: rozpromienionych i szczęśliwych.

Cofnęła się o krok. Ale oni już ją zauważyli.

– Wiesz już, córeczko, pewnie o nowinach? – Mama spojrzała na nią lekko zmieszana, jakby to ona była panienką. – Na razie nikomu nie powiemy, to tajemnica, niepotrzebne nam ludzkie gadanie. Za to przyda nam się teraz dużo spokoju.

– Tak – powiedział ojciec. – Nie popełnimy żadnego błędu. Wszystko zrobimy jak należy.

Patrzył na swoją żonę z miłością. Julianna wiedziała, że ci dwoje się kochają, ale jednak nie mieli zwyczaju okazywania sobie uczuć tak jawnie. Teraz po raz pierwszy była tego świadkiem. Zrozumiała, że to późne dziecko pojawiło się w ich domu nie bez powodu.

Więź, jaka łączyła tych małżonków, wciąż była żywa. Ale ich córka z przykrością uświadomiła sobie, że z tego kręgu pełnego uczuć jest w pewien sposób wykluczona. Przyzwyczajona do tego, że zawsze znajduje się w centrum, jako jedyne dziecko i nadzieja rodu, nie mogła się teraz odnaleźć.

Zamrugnęła powiekami. Ojciec patrzył na mamę, a ona na swój brzuch, skupieni na tym całkowicie, jakby zapomnieli, że mają też córkę.

– A co ze mną?! – zapytała niczym małe dziecko, które boi się, że mama za chwilę zniknie.

– Wszystko dobrze – odparł pospiesznie ojciec. – Trochę zmian oczywiście nastąpi, ale damy sobie radę. Najważniejsze, żebyście się jak najszybciej zaręczyli z panem Żalczykiem. Może zrobimy jakiś szybki ślub...

– Nie! – zaprotestowała mama. Widać los jedynaczki bardziej leżał jej na sercu. – Niepotrzebny Julci taki skandal – powiedziała. – Po co ludzie mają sobie wycierać nią gęby? Narzeczeństwo odbędzie się zgodnie z obyczajem przez cały rok.

– Oszalałaś? – syknął ojciec. – Jak Żalczyk się dowie, że panna ma konkurencję do spadku, kto wie, co zrobi. Może się nawet wycofa?

Na razie to Julianna zrobiła kilka kroków w tył, aż dotarła do ściany. Oparła się o nią.

– Nic takiego się nie dzieje, córeczko – zaczął ją uspokajać Łacki. – Po prostu jeśli pojawi się dziedzic, to wiesz, obyczaj mówi jednoznacznie: majątek przechodzi po linii męskiej. Ale ty się nic nie przejmuj. Tatuś wygospodaruje dla ciebie porządną posag.

Machnął dłonią, uciszając żonę. Jasne, że się zadłuży. To przecież takie proste.

– Zamieszkaż u swojego męża – tłumaczył, a Julianna czuła, jak coraz mocniej kręci jej się w głowie. – Na szczęście ma dom. Może to nawet lepiej – łagodził. – Będziecie u siebie. Jego rodzice

już nie żyją, więc nie będziesz się musiała męczyć z żadną teściową. Ja miałem okropną – skrzywił się – więc naprawdę wiem, co mówię.

Julianna czuła, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Miało być inaczej. Poświęciła się dla rodziny, gotowa była oddać całe swoje życie, a tu się okazuje, że wszystko na marne i wcale się to już nie liczy. Bo oto, w brzuchu mamy rozwijało się maleństwo i to ono stało się teraz najważniejsze.

Nie była pewna, czy jest o to wściekła, czy po prostu czuje ulgę, ale już wiedziała, że w takich życiowych momentach nie wolno pozwolić się ponieść fali. Trzeba być odważnym i podejmować własne decyzje.

Dotarło do niej, jak będą wyglądały dalsze jej dni. Wyjdzie za męża za człowieka, którego nie kocha, nie zna i który budzi w niej strach oraz niechęć. Wyprowadzi się ze swojego ukochanego domu. Rodzice nie będą za nią tęsknić, bo zajmą się nowym dzieckiem, a ona już na zawsze pozostanie w miejscu, w którym nigdy nie chciała być.

– Kiedy pan Żalczyk znowu tu przyjedzie? – zapytała drżącym głosem.

– Pojutrze – odparł tata nieco nieuważnie. Tak wyraźnie stało się widoczne, że te zaręczyny nie są już w domu najważniejsze. Kontrast z wcześniejszą rozmową z rodzicami był uderzający. – Ustalimy ostatnie szczegóły, żeby niebawem ogłosić zaręczyny – mówił energicznie pan Łącki. – Oczywiście nie powiem mu o ciąży matki i trzeba będzie pouczyć służbę, żeby nikt nie plotkował o jej chorobie. Prababcia Antonina ma na szczęście tę jedną zaletę, że nie gada za dużo. Wie, jak dochować tajemnicy. W ogóle to ty też się nie odzywaj. Zwłaszcza przy panu Żalczyku. – Spojrzał na nią z naciskiem. – Jeszcze nie masz wobec niego żadnych obowiązków. Lepiej, żeby się dowiedział, jak już będziecie po słowie. To człowiek honoru, nie wycofa się. Poza tym na pewno mu się spodobaś.

Julianna czuła, jak groza ogarnia ją od stóp aż po czubek głowy, ale nie chciała teraz awanturować się z rodzicami.

– Pójdę już – powiedziała tylko i zostawiła ich samych.

Nikt za nią nie zawołał. Wyraźnie chcieli się cieszyć nowiną we własnym towarzystwie, a ona szybko po schodach wbiegła na poddasze do swojego pokoiku. Zamknęła drzwi, po czym, jak często wcześniej, stanęła przy oknie. Sad wciąż bielił się obfitością kwiatów, chociaż część drzew już wypuszczała liście i zawiązki owoców. Przed momentem spadł drobny deszcz i pachniało wilgocią.

To było jej miejsce na ziemi. Wśród gór. Wychowano ją z myślą, że tutaj zostanie. Znała każdy metr ziemi, drzewo, roślinę, zwierzę, każdy kąt starego dworu. I teraz nagle dowiedziała się w kilku lekkim głosem wypowiedzianych zdaniach, że będzie musiała stąd odejść, bo pojawił się ktoś nowy.

Czuła, że to chłopiec. Rodzice dostaną na stare lata ten prezent i nazwisko przetrwa. Czyż nie to jest najważniejsze? Dziewczynka choćby i dobrze wyszła za męża, nigdy nie wykona w pełni tego zadania, jakim jest przedłużenie rodu.

Co za świat?! Czy to się kiedyś zmieni?!

Spojrzała wysoko ponad drzewa. Na góry przysłonięte ciężkimi nabrzmiałymi od wody chmurami. Miała wrażenie, że zobaczyła jakiś niezwykły obraz.

Dwie dziewczynki w krótkich sukienkach, dziwnie uszytych, stały na progu jakiegoś innego dworu. Dwie kolumny przed wejściem oplatały gęsto krzewy przepięknie kwitnących róż. Wszystko było czystutkie i zadbane, więc to nie mogło być u nich. Nie wiedziała też, kim są dzieci, które zobaczyła. Zresztą obraz bardzo szybko zniknął.

Jakaś bzdura! – pomyślała. – To z tych zmartwień.

Chciała pobiec do prababci, ale było już późno. Trzeba jej było dać się wyspać.

Jutro rano – pomyślała.

Miała jeden dzień, żeby się przygotować. Podjąć decyzję. Co zrobić? Odmówić Żalczykowi, ryzykując, że się zdenerwuje i zacznie rozpowiadać na jej temat jakieś nieprzychylne plotki?

A może faktycznie wybrać bezpieczną przystań, jaką był jego dom. Nie miała się przecież gdzie podziać. Oddała pieniądze prababci na spłatę weksli, a ojciec przyjął je bez mrugnięcia okiem i ani nie wspomniał o tym, że majątek teraz należy do niej.

Usiadła na łóżku. Nie chciało jej się o tym wszystkim myśleć.

Dwory i majątki...

Jakie to miało znaczenie, kiedy ona czuła właśnie, że nawet nie wie, kim jest. Jedynaczką i dziedziczką, czy tylko mało ważną córką? Uzdrowicielką czy zwykłą panią domu, która rano liczy jajka i sery, a popołudniami jeździ na herbatę do sąsiadów?

Do czego dąży i po co w ogóle żyje? Żeby tylko gdzieś schować głowę, mieć kromkę chleba na stole i łóżko, w którym można przespać noc? To dużo. Tak, wiedziała, że są tacy, którzy nie mają nawet tyle. Ale czy to wystarczy?

Tej nocy nie zmrużyła oka. Już od pewnego czasu wszystko jej mówiło, że nastąpi zmiana, ale nie spodziewała się, że aż taka. A do tego nie mogła się pozbyć wrażenia, że to dopiero początek.



Bladym świtem zerwała się z łóżka, pospiesznie ubrała i przez okno wydostała z pokoju. Wstawał nowy dzień i zapowiadał się piękny. Zielone soczyste trawy pokryte były rosą, niektóre kwiaty miały jeszcze zamknięte pąki, ale koniczyna czerwieniła się intensywnie. Głośno śpiewały ptaki.

Wiosna to ich pora – mawiała prababcia i faktycznie Julianna miała wrażenie, że są wszędzie. Żałowała trochę, że nie zabrała ze sobą dworskiego konia, bo bardzo jej się spieszyło. Ale nie chciała robić zamieszania w stajniach. Parobkowie byli bardziej czujni niż rodzice, a może po prostu cennych zwierząt pilnowano lepiej niż jedynej córki.

Już nie takiej bardzo wartościowej – pomyślała z goryczą.

Zaraz jednak przypomniały jej się słowa prababci Antoniny, która nakazywała jej stanowczo nie pozwalać, by żrące uczucia żalu przedostały się do jej serca. Do tej pory było to łatwe, bo jeśli zmagala się z poważnym problemem, to głównie należał on do kogoś innego. Komuś groziło niebezpieczeństwo, chorował, martwił się. Pomagała i sama przejmowała się każdą troską innych.

Jednak ogólnie wiodła dotąd dość spokojne życie, co uświadomiła sobie właśnie dziś, kiedy musiała się zmierzyć ze sporą ilością kłopotów, które należały tylko do niej.

Jak porozmawiać z ojcem o pieniądzech? Jaką decyzję podjąć w sprawie zaręczyn? Odzywać się w ogóle czy nie? Być nadal potulną panienką i zachować dzięki temu swoją pozycję? Czy też wreszcie powiedzieć światu prawdę, że w gruncie rzeczy w ogóle się na to wszystko nie zgadza?!

Wioska jeszcze spała, ale w oddali piał już pierwszy kogut. Julianna spojrzała na słońce. Stało jeszcze nisko nad horyzontem, dopiero się budziło.

Prababcia opowiadała o nim dziwne rzeczy. Że słońce jest jak marzenie. Ludzie chcieliby podejść do niego bliżej, dotknąć, bo z daleka wygląda pięknie. Ale gdyby komuś naprawdę się to udało, zobaczyłby tylko kulę palącego, niebezpiecznego gorąca. Antonina mówiła, że podobnie jest z marzeniami. Trzeba je dobierać ostrożnie. Czasem kuszą z daleka, a potem okazują się groźne. Nie mogą być za małe, ale też nie powinny stawać się za duże, żeby nie pokonały człowieka, który ich pragnie.

Ona wczoraj nieopatrznie wypowiedziała jedno z nich i cóż, zaskakująco szybko się spełniło. Już nie była jedyną nadzieją rodu.



Weszła do lasu. Liście już mocno zieleniły się na drzewach, ale wiosenne kwiaty w poszyciu wciąż cieszyły się przedostającym się przez gałęzie słońcem. Niedługo baldachim stanie się szczelny. I to drzewa zaczną grać główną rolę.

Julianna pochyliła się, bo zobaczyła wyjątkowo piękny okaz miodunki tuż na granicy pomiędzy łąką a lasem. Znała ją. Śliczna kolorowa roślina miała mnóstwo właściwości leczniczych. Nie mogła się zmarnować. Dziewczyna zaczęła szybko zrywać pachnące kwiaty, układając je na spódnicę, potem podwinęła ją do góry, tak, że halka była całkowicie widoczna. Nie sądziła, że kogoś tutaj spotka, ale ostrożnie rozejrzała się wokół. Różnie mogło być. Ciągle ryzykowała. Na razie wydawało jej się, że życie ją chroni, nigdy bowiem do żadnego dużego skandalu nie doszło, choć ciągle naginała zasady. Teraz jednak mogło się to zmienić. Wszystko się przecież zmieniało.

Szła pod górę kamienistą ścieżką, słuchając, jak strumyk szemrze niedaleko. Ptaki wciąż pięknie

śpiewały, gruchały gołębie, zanosilo się, że dzień będzie ciepły i słoneczny. Minęła łąkę, mocząc sobie buty i halkę od porannej rosy, a potem dotarła do domku babci.

Na specjalnym stole znajdującym się w cieniu dużego świerku rozsypała kwiaty do suszenia. Później tu wróci. Przejrza je i oberwą niepotrzebne części. Na kamieniu przy wejściu wylegiwał się kot. Inny niż ostatnio. Tego jeszcze nie знаła.

Prababcia w odróżnieniu od wielu zielarek, o których w okolicy krążyły różne opowieści, nie miała żadnych własnych zwierząt. A jednak ciągle jakieś żywe stworzenie u niej mieszkało. Albo zagłodzony pies, to znów zmizerowany kociak, smutna kawka, borsuk czy opuszczone przez matki sarenki. Był nawet lis. Pomieszkiwali tu przez chwilę, tak długo, jak potrzebowali. Karmili się, ogrzewali, a potem ruszali dalej.

Babcia wszystkich traktowała z szorstką serdecznością. Każdemu okazywała serce, ale nie próbowała oswajać dzikich stworzeń, choć one często sprawiały wrażenie, że nie mają nic przeciwko temu.

Julianna na początku starała się namówić prababcię, żeby jednak przygarnęła jakieś zwierzątko na stałe, ale potem zaakceptowała ten styl.

Pochyliła się i pogłaskała kociaka. Nie wiedziała, czy jej na to pozwoli, ale jak widać był oswojony, choć chyba nie za dobrze mu się powodziło, tam gdzie mieszkał. Palce dziewczyny przesuwaly się po chudym grzbiecie, futerko szorstką brudną powierzchnią dotykało jej skóry.

– Tu ci będzie dobrze – wyszeptala do niego, po czym weszła do sieni domu i z położonej w chłodnym miejscu półki wzięła dzbanek z mlekiem. Prababcia nie hodowała krów, ale on zawsze był pełny, jak w bajkach. Ciągle ktoś dbał o to, by zielarka nie zobaczyła dna. Julianna nalala trochę kotu do miseczki, a potem wróciła do prababci.

Jednak główna izba była pusta. Łóżko starannie zasłane, na stole żadnych śladów śniadania. A ogień w piecu wygasł. To wszystko wskazywało, że Antonina nie nocowała dziś w domu.

Coś się stało! – pomyślała Julianna. – Znowu wyciągnęli ją z łóżka. Pobiegła do kogoś potrzebującego. Jak długo to jeszcze będzie trwało? Ile ona wytrzyma? A może gdzieś zasłała. Nie powinna mieszkać sama!

Dziewczyna wybiegła na zewnątrz chaty, odwróciła głowę i zobaczyła ją. Prababcia Antonina siedziała pochylona koło dużego drzewa, powalonego kiedyś wiele lat temu przez wielką burzę. Julianna doskonale wiedziała, co to oznacza. Serce jej się ścisnęło.

Kto tym razem? – pomyślała z niepokojem, a potem podeszła bliżej. Po kilku krokach widać było dokładnie, że ogromny stary pień pokryty jest wieloma warstwami wosku ze świec. Gromadziły się tutaj latami. Jedna z nich, świeża, paliła się właśnie na środku, a bursztynowe krople spadały, pokrywając to miejsce kolejną warstwą.

Julianna usiadła obok prababci, pogłaskała ją po ramionach, a potem objęła. To chyba był ktoś bliski.

– Komu palimy dziś świeczkę? – zapytała cicho.

– Stara Janikowa odeszła tuż po północy. – Antonina otarła łzę. – Nie cierpiała.

– Chroniłaś ją, ile mogłaś – powiedziała szybko, a potem objęła ją serdecznie. To musiał być cios. Znały się od dziecka.

– Może trochę jej pomogłam – westchnęła. – Ale miała takie ciężkie życie...

Stara Janikowa zostawiła po sobie czternaścioro dzieci. Właściwie przez całe dorosłe życie była w ciąży. Karmiła, nosiła, pielęgnowała. Jej mąż miał kłopoty z alkoholem, nie pomagał. Gdyby nie prababcia, los tej rodziny byłby bardzo ciężki. Julianna miała żal do ojca, że on się kompletnie nie interesuje takimi sprawami. Mama też mawiała, że po prostu takie życie i nic się na to nie poradzi.

Ale prababcia nigdy się z takimi wyrokami nie godziła.

– Wszystko, co w jej życiu dobre, pochodziło od ciebie – powiedziała Julianna. – I dzięki temu jej dzieci wyrosną na ludzi.

– Miała z nich pod koniec sporo pociechy – przyznała Antonina. – To prawda. Ale co wycierpiała, to jej.

Nigdy wcześniej nie było takiej sytuacji, żeby to Julianna pocieszała prababcię. Zawsze na

odwrót. Teraz jednak ona musiała się postarać. Sięgnąć gdzieś głęboko, gdzie w trudnych chwilach można jeszcze znaleźć odrobinę nadziei.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że najważniejsze to powiększać ilość dobra w świecie? – zapytała. – Ty dałaś dobro jej, ona dzieciom. Teraz to pójdzie w świat i będzie przekazywane dalej następnym pokoleniom. Kiedyś te dzieciaki staną się armią.

Antonina dotknęła ciepłej świeczki, wosk zaczął kapać jej na palce. Nic nie mówiła.

– Czy przyjdzie kiedyś taki czas, że wygramy? – zapytała Julianna. – Czy kiedyś wreszcie ilość dobra przewyższy zło? Skończą się wojny i krzywdy, bieda, niesprawiedliwość?

Prababcia wyprostowała plecy. Wyraźnie doszła trochę do siebie.

– Wierzę w to! – powiedziała i uściśnęła wnuczce dłoń. – Ja tego pewnie nie doczekam, być może też nie ty, ale kiedyś tak się stanie. Trzeba tylko nie ustawać, ciągle posyłać dobro w świat, żeby rosło. Zło bowiem robi to przez cały czas. Niestety.

Łza spłynęła jej po twarzy. Myślała o losie tej zmarłej kobiety i wielu innych. Także tych, którym nie zdołała pomóc.

Patrzyła na migający ogień. Ostatnią pamiątkę po dzielnej matce, której życie było nieustającym pasmem trudu. Gdzieś może kiedyś jakaś prawnuczka starej Janikowej będzie szczęśliwsza. Dorośnie w innych czasach, dostanie lepsze szanse? Czy doceni, jak wielką wartością jest życie? Jaką cenę przodkowie musieli zapłacić, by ta iskra została przekazana dalej? Czy kiedykolwiek się o tym dowie?

Świeczka paliła się jeszcze długi czas, a one siedziały przy pniu objęte. Myślały o różnych sprawach, milczały. Łączyła je nić całkowitego porozumienia.

Słońce coraz wyżej unosiło się nad gałęziami drzew w lesie. Ptaki na chwilę ucichły zajęte innymi działaniami. Budowaniem gniazd, poszukiwaniem pożywienia. Dziewczyna wiedziała jednak, że za chwilę znów zaczną śpiewać. Niestrudzenie tworzyły pochwalną pieśń życia.

Tak, one dobrze wiedziały, o co w tym wszystkim chodzi. Co mają do zrobienia i jaka jest ich rola.

Juliannę niestety dręczył szereg wątpliwości.

Gdzie jest ratunek? – zastanawiała się Antonina, patrząc na jej smutną twarz. Czuła, że on nadchodzi, ale wciąż pozostaje daleko.

ROZDZIAŁ 17



Szli już trzeci dzień. Byli tak zakurzeni i brudni, że nikt teraz nie zwracał na nich uwagi. Świat stał się nieco bardziej bezpiecznym miejscem. Nawet włóczędzy, których czasem mijali, nie interesowali się dwoma podobnymi do nich obdartusami. Weselna koszula Dominika straciła całą swoją dawną świetność. Na dodatek rękaw rozdarł się, kiedy przedostawali się przez chaszczę przy rzece.

Chcieli przejść przez płyciznę na drugi brzeg, bo tam znajdowała się jakaś karczma, a w niej Józek kupił trochę kiełbasy i piwa. Zbyt długo bowiem żywili się byle czym. Pieniądze jednak szybko się kończyły. Mogły wystarczyć co najwyżej na dzień lub dwa poszukiwania jakiegoś prowiantu. Józek ciągle spoglądał na drogę, która rysowała się przed nimi i ani myślała kończyć.

Byli już daleko od domu. Krajobraz zdecydowanie się zmieniał. Płaskie tereny, które dobrze znali, skończyły się, a w oddali zaczęły rysować się góry. Józek wpatrywał się w nie zaniepokojony. Jako żywo nigdy czegoś takiego nie widział.

– Chyba powoli docieramy na koniec świata – powiedział do Dominika, kiedy już się podzielili pożywieniem, z szacunkiem powoli przeżuając każdy kęs. – I tak za chwilę będziemy musieli gdzieś zostać na stałe. Trochę popracować, żeby mieć co jeść. Tych drobniaków już nam nie starczy.

Dominik westchnął. Zawsze myślał, że to on przeciągnie Józka bardziej do swojej sfery. Nie w tym sensie, że parobek stanie się właścicielem dworu. Ale jednak założona przez niego nowa rodzina znajdzie się pod szczególną opieką dziedzica Podhorskiego. Zlokalizuje ją gdzieś pomiędzy zwykłymi chłopskimi chatami a ludźmi dobrze urodzonymi.

Tymczasem okazało się, że to on, Dominik Podhorski, wejdzie do sfery społecznej, którą reprezentował przyjaciel. Stanie się parobkiem. Czy będzie dobry w tej roli? Sił fizycznych mu nie brakowało, umiejętności również, ale nie miał tej pokory i odruchu posłuszeństwa niezbędnych u dobrego pracownika.

Lubił zadawać pytania, nie zgadzał się na świat i to często niestety było po nim widać. Wiedział, że takich dziedziców jak jego ojciec nie ma wielu. Większość nie troszczy się o prostych chłopów, wykorzystuje ich ponad siły, wydaje im głupie polecenia i nie znosi żadnego słowa sprzeciwu.

Spojrzał na góry. Pojawiły się nagle, a teraz zdawały się jedynym, co w tej okolicy ważne. Rzeczywiście wyznaczały pewną granicę i pomyślał, że mogą stanowić cel.

– Chodź. – Poklepał Józka po ramieniu. – Póki jeszcze jest jasno i ciepło. Masz rację. Dobrze byłoby przed nocą znaleźć jakieś miejsce, gdzie pozwolą nam się przespać pod dachem.

– O tak! – uśmiechnął się Józek. Wczoraj zdecydowali się spać pod gołym niebem. Złapał ich majowy deszcz. Niezwykle przyjemny w ciągu dnia, pachnący trawami i kwiatami z górskich łąk, ale nie wtedy, kiedy się leży w ciemności na gołej ziemi i zimne krople przenikają człowieka do głębi. Nie wtedy, gdy całe ciało boli.

– To chodźmy. – Dominik podniósł się z westchnieniem.

Szli dalej niczym dwaj starszuchowie. Podpierali się sękatymi gałęziami, żeby te ciężkie kroki stały się chociaż trochę łatwiejsze. Ich nogi bowiem ważyły coraz więcej. Jakby wędrowali z mozołem przez bagna, a przecież cały czas trzymali się ubitego traktu. Nie mieli już ziół, które zostały w czystej przytulnej kuchni Jadźki. Maść też się skończyła. Czuli więc dokładnie wszystkie te miejsca, w które uderzyły pięści zbirów.

Jednak maszerowali dalej, podtrzymując się nawzajem, krok po kroku.

Niestety życie miało dla nich jeszcze jedną niespodziankę. Prosta droga się skończyła i szlak, którym się kierowali, zaczął się wspinać pod górę. Najpierw łagodnie, potem coraz ostrzej.

– Krucafuks! – zaklął Dominik. – Że też ludzie mogą mieszkać w takich miejscach.

– Jest pięknie. – Józek spojrzał na strumyk płynący wzdłuż drogi. Ozdabiały go połacie kaczeńców, białych zawilców i kolorowych miodunek. Tworzyły zachwycający widok.

– A daj spokój! – Dominik tylko machnął dłonią. – Pamiętasz, jakie u nas były kwiaty? Jakie

matka miała piwonie? Łubiny, róże i te takie białe, nie pamiętam nazwy. To tutaj się nawet nie umywa.

Józek uśmiechnął się. Czuł, że tak będzie ze wszystkim. Chleb nie taki, mleko też, niebo mniej niebieskie, woda niedostatecznie mokra, drogi krzywe, na dodatek prowadzące stromo wzwyż. I nawet leśne kwiatki – dokładnie przecież takie same jak u nich – nie zasługiwały na uwagę dziedzica Podhorskiego. On miał w sercu swój dom i tylko ten jeden wydawał się mu godny zachwytu.

– Może tu gdzieś się zatrzymamy? – zaproponował Józek. Był zmęczony do ostatnich granic.



Dominik spojrział w lewo. Tuż przy drodze znajdowała się dość solidnych rozmiarów wiejska

chałupa, która niezgodnie z obowiązującym wszędzie zwyczajem nie była zwykłym prostokątem, lecz równiutkim kwadratem. Rósł przy niej przeogromny orzech pełen zawiązków owoców. Spory sad otoczony został szpalerem gęsto posadzonych czereśni, które również obiecywały obfite zbiory. Wyglądało to dość ciekawie.

– Tak daleko, jak prowadzi droga – uparcie powtórzył Józek, po czym postanowił jednak zrezygnować z odpoczynku. Istniało ryzyko, że jeśli usiądą, to już nie wstaną.

A Dominik miał mu ochotę przyłożyć. Tak solidnie. Nie chciało mu się już dalej iść. Co to za różnica, w którym domu zapytają o pracę za kawałek chleba. Wystarczy, żeby był dostatecznie zamożny, by kogoś było stać na podzielenie się odrobiną jedzenia za pracę. A ten tutaj wyglądał nieźle.

Ale Józek wziął go pod ramię i pociągnął stanowczo dalej. Nie mógłby spokojnie zasnąć do końca życia, gdyby nie wykonał polecenia umierającego pana we dworze. Ciągnął więc młodego Podhorskiego pod górę i nawet przez chwilę przestał czuć, jak bardzo bołą go żebra, nogi, dłonie, głowa i w ogóle wszystko.

Wstąpiły jednak w niego nowe siły. Zaczął mieć nadzieję, że stary dziedzic Podhorski nie zwariował w ostatniej minucie swojego życia. Miał rację. Wszystkie drogi, nawet te najdłuższe, gdzieś mają swój kres. A ten chyba znajdował się niedaleko.

Minęli jeszcze dwie skromniejsze chaty. W jednej z nich ktoś intensywnie patrzył przez okno, jakieś dwie kobiety. Józek pomachał im, a one wystraszyły się i natychmiast zniknęły w głębi domu.

Szli więc dalej, pokonali kolejny stromy odcinek i zobaczyli kapliczkę przydrożną, a wokół niej posadzone trzy potężne lipy. Stała przy niej ławeczka i kusza, żeby na niej usiąść i chwilę odpocząć.

Dominik miał na to ochotę. Ale oczywiście w Józka coś wstąpiło. Gnało go do przodu, jakby był wypoczęty, po jakichś świętach, a nie zmordowany kilkudniową wędrówką.

Pokonali więc jeszcze kawałek, nieco łagodniejszy i wtedy po prawej stronie drogi zobaczyli niewielki dwór szlachecki. Nie był tak okazały jak dom Podhorskich i znacznie bardziej zaniedbany, ale z całą pewnością nie była to chłopska chata. W obejściu ktoś się kręcił przy wieczornym obrządku.

Dominik na chwilę przymknął oczy. Te odgłosy były tak bardzo znajome. Skrzypiała stara studnia, gdakały kury zaganiane do kurnika, muczały krowy, które domagały się wody, gdzieś brzęczały wiadra, ktoś pewnie szedł na ostatni udój. Poszczekiwały psy. Jakiś wóz jechał kamienną drogą, podskakując na przeszkodach.

Dom! – pomyślał Dominik. Pachniało bzem. Postanowił, że nigdy, za żadne skarby świata nie otworzy już oczu, nareszcie bowiem wrócił. Widział nawet mamę w jasnej sukni z wysokim starannie haftowanym kołnierzem i równie eleganckimi rękawami. Szła z koszykiem przez łąki. Pani we dworze, właścicielka, zawsze zajęta, pracowita niczym szefowa wszystkich mrówek. Jak one pozornie kręciła się chaotycznie, ale tak naprawdę w każdym jej ruchu był cel. Nigdy nie wracała z pustymi rękami. Wszystko miało sens i czemuś służyło.

– Hej! – Józek nagle gwałtownie szarpnął go za ramię, powodując ból w barku. – Patrz! – powiedział parobek. – Patrz w tamtą stronę! – Wyciągnął przed siebie dłonie.

Dominik musiał otworzyć oczy, zły na siebie i przekonany, że nic nie było tego warte, by wrócić do rzeczywistości. I rzeczywiście się rozczarował. Zobaczył przed sobą kolejną ogromną lipę, rosnącą jakby na środku drogi. Nie rozumiał, dlaczego to drzewo tak emocjonuje Józka.

– Patrz – powtarzał ciągle przyjaciół.

Dalej za nią ciągnęła się ostatnia łąka i zaczynał las, szczelnie okalający góry.

– Ja nie mogę... – powiedział Dominik, który nagle zrozumiał. – Koniec drogi rzeczywiście istnieje...

Tak, w sposób ewidentny ktoś zaznaczył tutaj granicę. Od głównego traktu rozchodziły się dwie mniejsze dróżki. Jedna z nich prowadziła do dworu, a druga dalej do wioski, ale stare wielkie drzewo i zbocze góry tuż za nim wyznaczały kres szerokiego traktu.

– Dotarłem! – powiedział Józek, tak z siebie dumny, że aż poczerwieniał. Spojrzał w stronę dworu. – To na pewno tu. To się nie mogło tak przypadkiem poskładać. Idziemy. – Pociągnął go znowu, jakby się bał, że jeśli zrobi przerwę, wszystkie siły go opuszczą tuż przed samym końcem. Istniało co do tego pewne niebezpieczeństwo, bo obaj faktycznie ledwo się trzymali na nogach.

Dominik nagle stracił nieco pewności siebie. Wiedział, jak to jest w takich miejscach. Jeśli gospodyni jest miła, przybłąda może liczyć na kubek mleka, ale rzadko się zdarzało, by mógł zostać na dłużej. W wioskach nigdy nie brakowało chętnych do pracy w charakterze parobka. Zawsze to trochę lepszy los. A oni nie wyglądali dobrze. Buty zabłocone, włosy w nieładzie, wciąż widoczne ślady pobicia. Dominikowi opuchlizna z policzka trochę zesza, ale pewnie siniak prezentował się we wszystkich kolorach.

Dopytywał się Józka, jak wygląda, ale ten mówił mu tylko, że świetnie i ma się o nic nie martwić. Jakoś mu nie wierzył. Próbował się przeglądać w rwącym górskim strumyku, ale to nie przynosiło rezultatów. Niespokojne lustro wody pokazywało bardzo zamazany obraz.

Podhorski stał, niepewnie spoglądając w stronę zabudowań.

Przyzwyczajony był przyjeżdżać do dworów bryczką, ładną, zadbaną, ciągnioną przez piękne konie hodowane przez ojca. W towarzystwie rodziców, których każdy znał i szanował. Witany serdecznie, z atencją, dobry sąsiad.

Teraz szedł oparty o kulejącego parobka. Brudny przybłąda, który nawet nie mógł się przedstawić swoim prawdziwym nazwiskiem.

Poszczują nas psami – pomyślał.

Nie mieli już żadnych pieniędzy. Niczego, co mogłoby sprawić, że zaimponują gospodarzom i skłonią ich do jakiegokolwiek pomocy.

Kiedy weszli na podwórko, jego obawy stały się całkiem realne. Pierwsze wyskoczyły w ich stronę psy, a zaraz potem na ganku stanęła młoda dziewczyna.

– Patrz, jaki ma warkocz – szepnął Józek.

Dominik zerknął w tamtą stronę, ale zupełnie nie zrobiło to na nim wrażenia. Jasnowłosa panna w długiej sukience wydała mu się podobna do wszystkich, które widywał w takich dworach. Miała identyczne ubranie i fryzurę, zapewne także niebieskie oczy.

Bardzo typowa, jak tysiące innych.

Jedyną niezwykłą dziewczyną na tym świecie była Emilka – ciemnowłosa, z lokami fruującymi wokół głowy, ustami pełnymi uśmiechów. Drobniutka, ale z okrągłą kuszącą figurą.

Zamrugał powiekami. Nie mógł o niej dłużej myśleć. Musiał się koniecznie opanować. Był odpowiedzialny nie tylko za siebie, lecz przede wszystkim za przyjaciela. Wyprostował się.

Ze stajni właśnie ktoś wyszedł. Trzymał w rękach dwa puste wiadra.

– Czego tutaj?! – zawołał ostro. – Nie kręcić się po obejściu, bo psami poszczuję!

– Nie gniewajcie się, gospodarzu – zaczął szybko Dominik, tytułując go z rozmachem, choć wiedział, że to tylko pracownik. – Przyszliśmy z daleka. Szukamy pracy, noclegu, dobrze się znamy na robocie. – Wyprostował się znowu, to było jedyne, co miał. Swoją sylwetkę i słowa, które mógł wypowiedzieć.

W tym bowiem momencie Józek stracił całą rezolucję i stał jak kołek. Przestraszył się, znowu był parobkiem, który na dźwięk władczego głosu paraliżuje się i jest zdolny tylko do tego, by bez dyskusji wykonywać polecenia.

– Bardzo prosimy – powiedział Dominik. – Wystarczy nam odrobina słomy gdzieś w stodole. Odpracujemy jutro nocleg. Mój przyjaciel jest trochę słaby. Napadnięto nas i pobito. Zlitujcie się.

Z dworu wyszedł starszy mężczyzna. Tak, to musiał być właściciel. Miał jasną koszulę, dobrej jakości spodnie i wysokie buty. W rękach trzymał jeszcze szpicrutę. Widocznie dopiero co wrócił z jakiejś przejażdżki.

– Dajcie spokój, Walenty – powiedział do swojego parobka. – Dziś jest dobry dzień. Niech się prześpią. Dziś jesteście dobrzy dla całego świata! – uśmiechnął się.

Parobek uśmiechnął się pod nosem. Znał powód, ale nie mógł dać po sobie poznać, że wie.

Podrapał się po głowie, a zaraz potem odwrócił w stronę stajni. To nie była jego sprawa. Nieraz się już zdążył przekonać, że gospodarstwo tutaj prowadzi się według bardzo dziwnych zasad. Nie wtrącał się, nie potrzebował kłopotów. Jeśli dziedzic chce wpuszczać byle kogo do dworu, jego sprawa.

Tuż przed domem również rosła wielka stara lipa i pod nią też znajdowała się ławeczka. Widać w okolicy ceniono te drzewa. Gospodarz wskazał im to miejsce, by usiedli.

Dominik rozglądał się z ciekawością. Podwórko było dość zapuszczone i niepozamiatane. Mama by chyba dostała zawału, widząc takie niedbalstwo. Wielkie drzwi do stodoły miały deski jakby obgryzione przez psa. Pewnie jakiś nadgorliwy szczeniaczek ostrzył sobie na nich zęby.

Normalna sprawa. Ale że ktoś na to pozwolił? Nie naprawił tego?

Klomb na środku podjazdu był nieco zapuszczone. Rosło tam parę wysokich naparstnic, bluszcz i sporo chwastów. Dalej za dworem wielki łąn pokrzyw, łąka przechodząca w las, a z boku płot spleciony ze zwykłej wikliny. Jak w chłopskiej chacie. Też trochę przekrzywiony. Z niektórych patyków powyrastały pędy wierzby. Niewiele jej było trzeba, odrobina wilgoci i już rosło nowe drzewo. Ale tutaj nie wyglądało to jak nowo pozyskane sadzonki, lecz zarośnięty, zaniedbany busz.

– Nazywam się Łącki – przedstawił się właściciel. – Pewnie mnie znacie. Wszyscy tu w okolicy wiedzą, kim jestem – dodał z dumą.

Dominik nie przyznał się, że pierwszy raz słyszy to nazwisko. Józek całkiem stracił język w gębie. Z obcymi właścicielami dworów nigdy w życiu nie zamienił słowa. Opanowała go wielka trema.

– Zaraz powiem gospodyni, żeby wam przyniosła trochę chleba – powiedział Łącki życzliwie. – Może nawet piwa. Warzymy tutaj świetne piwo – pochwalił się. – Dużo go nie ma, ale dziś jest okazja, żeby świętować. – Wyglądał na bardzo uszczęśliwionego.

– Syn się panu urodził? – zapytał Dominik, który takie sceny widział głównie przy tego typu okazjach. Ciężkie czasy wszystkim dawały się we znaki. Trudno było o sukcesy w interesach, polityka przysparzała tylko niepokoju. Jedyne, co zostawało, to rodzinne radości. Gospodarz spojrział na niego przenikliwie.

– Mądry jesteś! – powiedział. – Więc ci odpowiem. Tylko się nie chwal, co wiesz.

Dominik kiwnął głową.

– Jeszcze nie mam syna – zdradził Łącki. – Ale jest wielka szansa, że za kilka miesięcy będę mógł stawiać wódkę z tego właśnie powodu. Taki nam się cud na stare lata przytrafił.

Podhorski uśmiechnął się.

– Gratuluję – powiedział szczerze. – To piękna rzecz. Czy to pierworodny?

– Tak. – Łącki kiwnął głową.

Tego też Dominik się domyślił, bo przecież gdyby to było siódme dziecko, ten entuzjazm z pewnością byłby mniejszy. I znów pomyślał o tym, jakie to niesprawiedliwe. Jak bardzo los człowieka decyduje się już w chwili jego narodzin i określają go aspekty, na które nie ma się żadnego wpływu.

Jeśli kiedykolwiek będę miał dzieci, wszystkie potraktuję równo – postanowił. A potem westchnął. Wiedział, że to się nigdy nie stanie.

– Przyniosę to piwo sam – powiedział pan Łącki i odwrócił się. Nie wiedział, gdzie jest gospodyni. Walenty też zniknął w stajniach.

Znowu zatrudnimy więcej służby, dłużej tak być nie może – pomyślał gospodarz i postanowił wcześniej z rana pojechać do Żyda zapożyczyć się trochę na bieżące wydatki. Może jeszcze też na posag dla Julianny? Dużo mieli potrzeb.

Zaterkotała bryczka i przed dwór zajechał powóz. Porządny. Rozszczeptały się psy. Walenty wyszedł pospiesznie, by się zająć końmi. Dominik spojrział w tamtą stronę. Dobrze wiedział, co się za chwilę stanie. Gość zeskoczył z powozu, a gospodarz natychmiast wyszedł na przywitanie. Zapomniał o piwie dla przybłądów.

Mężczyźni przywitali się serdecznie, pokleпали po ramionach i weszli do dworu.

Walenty dał koniowi siana, przywiązał go do palika. a potem podszedł do nich.

– Co wam obiecali pan dziedzic łaskawca, co to hojną ręką rozdaje jedzenie na prawo i na lewo, choć dwór ledwo zipie? – zapytał zgryźliwie.

No cóż, jak widać lojalność wśród służby nie jest rzeczą powszechną – pomyślał Dominik.

– Trochę chleba i piwo, ale chyba już nam nie przyniesie, ma gościa – odparł z godnością. Ktoś musiał ją zachować.

– Ano tak, przyszedł zięć – wyjął szybko Walenty. – Ale nie frasujcie się. Przyniosę wam coś. Słowo gospodarza ma swoją wartość – dodał i poszedł gdzieś z boku, żeby zapewne dostać się do środka

kuchennym wejściem.

Józek siedział oparty o pień drzewa, wyraźnie bez siły. Doprowadził swoją misję do końca i teraz nie miał pojęcia, co dalej. A Dominik jednak pomyślał o tej pannie, która na chwileczkę stanęła wtedy na ganku.

Szkoda jej dla takiego starca – zastanowił się, ale zaraz o tym zapomniał.

Walenty przyniósł chleb i nawet to obiecane piwo.

– Macie! – powiedział, a oni wzięli ten dar do rąk z wielką wdzięcznością. – Gospodyni też mówi, że dziedzicowi Łackiemu przewróciło się w głowie, ale jedzcie na zdrowie. Ja wam nie żałuję.

– Napijcie się z nami. – Dominik podał mu swój kubek, a potem przełamał na pół kromkę chleba. – Będzie nam przyjemnie.

Parobek znów podrapał się po głowie wyraźnie zaskoczony tym pańskim gestem. Jakoś dziwni byli ci dwaj. Nie spodobało mu się to, bo nie wiedział, co myśleć.

ROZDZIAŁ 18



Tymczasem we dworze też szybko dostrzeżono gościa. I przywitano z ulgą.

– Nie było go dwa dni – wyszeptła pani Łącka do Julianki. – To zły znak. Wiadomość o mojej ciąży musiała się już roznieść po okolicy – powiedziała z niepokojem. – To przez ojca, cieszy się jak głupi.

– Niełatwo się domyślić – przyznała jej córka. – Ale widać ludzie dodali sobie dwa do dwóch.

– Bądź dla niego szczególnie miła – prosiła pospiesznie pani Łącka. – Zadbaj o siebie. Musisz to rozumieć, że jednak sytuacja się zmieniła. Taki los kobiety – dodała z westchnieniem. Chciała dla córki jak najlepiej, ale uważała, że człowiek nie może się z losem w żaden sposób kłócić. Każdą trudną sprawę tłumaczyła w ten sposób.

Julianna się z tym nie zgadzała. Ale teraz nie miała żadnego pomysłu, jak to w praktyce rozwiązać. Myślała jednak intensywnie.

– To dobry człowiek – mówiła dalej mama. Coraz szybciej. Obie słyszały już głos ojca witającego gościa. – Ma dom – podkreśliła. – Może nie tak piękny, jak nasz, ale całkiem przyzwoity. Przepytałam służbę. Te jego dzieci podobno grzeczne i miłe. Brakuje im matki. Pani Żalczykowa zmarła dawno temu. Najmłodsze nawet jej nie pamiętają. Przyjmą cię z otwartymi rękami.

Tyle powiedziała, nim ojciec wprowadził do salonu pana Żalczyka. One stały przy oknie na tyle daleko, by nie było ich widać z zewnątrz. Zanim mężczyźni weszli do środka, mama pospiesznie usiadła na kanapie i pociągnęła za sobą Juliannę. Pani Łącka zdążyła jeszcze wziąć hafty do ręki, ale jej córka kompletnie nieprzyzwyczajona do takich zajęć nie zrobiła tego. W jej przypadku odruch dbania o pozory nie zadziałał.

Jednak pan Żalczyk, wchodząc do salonu, zobaczył miły rodzinny obrazek. Dwie ładne kobiety w zaciszu domowym. Ciche, pokorne, zajęte czynnościami, które pasowały do ich stanu społecznego. Na stole pysznił się wielki bukiet bzów. Pani Łącka zerwała go specjalnie na jego cześć, ale on pomyślał, że to pewnie Julianka. Zrobiło mu się miło na sercu. Oplącało się zwlekać z wizytą. Widać stęskniono się tutaj za nim.

– Prosimy, prosimy. – Ojciec wyciągnął dłoń i wskazał mu najwygodniejszy fotel, a potem zadzwonił po służbę. Podano herbatę. Julianna siedziała wyprostowana obok matki. Bardzo poważna, skupiona. Bez swojego zwykłego uśmiechu.

Żalczyk wystraszył się, że może trochę przesadził z tym kolejnym ociąganiem się z wizytą i panienka się obraziła. Rodzice na pewno podchodzą do sprawy rozumowo, ale takie młode dziewczę, płochliwe, może mieć inne emocje.

Zasadniczo nie miało to dla niego żadnego znaczenia, co dziewczyna czuje. Po prostu nie chciał, by dobra partia umknęła mu z rąk. Poprawił nerwowo kołnierzyk. Miał wrażenie, że w domu dzieje się coś dziwnego. Bo o ile panienka zdawała się kompletnie nie zwracać na niego uwagi i przywitała się tylko bardzo chłodnym skinieniem głowy, o tyle jej rodzice wpatrywali się w jego twarz tak intensywnie, jakby chcieli ją przewiercić wzrokiem. Czy coś sprawdzali?

Gospodyni wniosła do jadalni herbatę w najładniejszej rodowej porcelanie. Na pięknie zdobionej paterze znalazły się trzy kawałki ciasta, orzechy, a na talerzykach konfitura z wiśni z dodatkiem płatków różanych oraz lipowego miodu. Żalczyk wiedział, że są przepyszne, słynęły bowiem na całą okolicę.

Julianna podniosła głowę i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale ponieważ Żalczyk rzucił się na jedzenie i chętnie brał do ręki talerzyk, który mu podano, postanowiła chwilę poczekać. Niech się naje. Może będzie bardziej skłonny do ugody.

Wpadła bowiem na pewien pomysł i choć był bardzo ryzykowny, postanowiła go zrealizować.

– Ten wczorajszy deszcz to było zbawienie – powiedział tata, kiedy już uporał się ze swoją porcją ciasta. – Pola już takie wyschnięte. W dzień świeci słońce, wieje wiatr, wszystko chce rosnąć, tylko brakowało tej wody.

– Po ulewie zieleni się w oczach – odparł uprzejmie Żalczyk. – Od wczoraj zboże na łąkach przyrosło. Aż przyjemnie popatrzeć. Jeśli się nic nie zmieni, to będzie dobry rok.

– Suchy kwiecień, mokry maj, będzie zboże niczym gaj – powiedziała pani Łącka i uśmiechnęła się do niego, a on pokiwał głową, wyobrażając sobie te podwójne ilości ziaren, jakie już niebawem będzie zbierał z dwóch gospodarstw.

– Pod lasem też można byłoby siać pszenicę – powiedział. – Jechałem, to dokładnie obejrzałem waszą łąkę. Trochę zapuszczona, ale można by ją przygotować pod uprawę.

Ojciec z matką błyskawicznie wymienili spojrzenia.

Nie wiedział! Żadne wieści o ciąży do niego nie dotarły!

Anna westchnęła głęboko, upuszczając nagromadzone w niej napięcie. Wzięła do ręki ciasto i zjadła ze smakiem. Gdyby mogła, poprosiłaby jeszcze o trzy kawałki. Nagle zrobiła się głodna. Od rana apetyt jej nie dopisywał i teraz poczuła, że wreszcie żołądek się odsznurował. Nałożyła sobie konfitur i powoli delektowała się ich słodyczą. Nie była doskonałą gospodynią, ale mogła się poszczycić bardzo subtelnym wyczuciem balansu między słodyczą a kwaśnością i umiejętnością takiego doboru składników, by nalewki, przetwory, konfitury, dżemy miały najlepszy smak. Z tego dwór słynął.

Jej mąż też wyraźnie poweselał. Tylko panna wciąż siedziała zmartwiona i głęboko zamyślona.

Kawałek ciasta, którym poczęstowano gościa, nie był zbyt duży, więc Żalczyk szybko się z nim uporał. Wyskrobał łyżeczką talerzyk z konfitury, po czym wrzucił do ust garść orzechów i przegryzł.

– Mamo, tato. – Julianna zwróciła się do rodziców, a oni spojrzeli na nią zaskoczeni. – Czy ja mogłabym z panem Żalczykiem przejść się na chwilę na spacer? Chciałabym mu pokazać nasz sad. Pięknie w tym roku kwitną jabłonie, pewnie zbiory będą bardzo obfite.

To była niecodzienna prośba. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Zaręczyn oficjalnie jeszcze nie ogłoszono. Ale według wszelkich przypuszczeń miało się to stać jutro, więc może niech sobie młodzi faktycznie trochę porozmawiają. Sad rozpościerał się tuż za domem. Był widoczny z okien salonu. Ściemniało się już, ale wciąż jeszcze słońce dawało dostatecznie dużo światła, by uznać spacer za przyzwoity.

– Dobrze – powiedział pan Łącki. – Tylko wracajcie szybko, pora jest już późna.

– Weź ciepły szal – pouczyła mama Juliannę. – A ja zadysponuję kolację.

– Zostaniesz? – zapytał Ignacy Żalczyka.

– Bardzo chętnie – odparł mężczyzna.

Miał wrażenie, jakby połknął balonik, który teraz unosi go nad ziemią. Ta propozycja nieśmiałej panienki niebawem polechtała jego męską dumę. Spodziewał się w tym sadzie niesamowitych przeżyć. Wszystko mu się przypomniało. Kochał kiedyś swoją żonę, ale to było tak dawno temu. Tyle lat już żył samotnie. Nikt go nie dotykał. Znosił to nawet nieźle, wciąż zajęty innymi sprawami, ale teraz jakby jego emocje ożyły. Już niemal poczuł, jak to jest być w związku, mieć obok siebie kogoś bliskiego, zwłaszcza tak ślicznego i urokliwego jak Julianka Łącka.

Nie spodziewał się, że dziewczyna będzie tak chętna do pogłębiania znajomości. Zwykle młode panienki trzeba oswajać powoli. Mało wiedzą o obowiązkach małżeńskich i początkowe tygodnie po ślubie bywają trudne. Ale tutaj wyraźnie trafił na partnerkę, która wybiegła o krok do przodu. Podobało mu się to.

Julianna wzięła z komody swoją ciepłą chustę i zawinęła ją wokół ramion. Wieczór był ciepły, ale ona zawsze czuła zimno, kiedy się denerwowała. Bywało nawet, że zaczynała wtedy trząść się, co nie sprzyjało przeprowadzaniu ważnych rozmów. Otuliła się teraz ciepłym materiałem i oplotła ramionami. Odsunęła się kawałek od Żalczyka, mimo że on ciągle się do niej przybliżał.

Podjęła bardzo trudną decyzję sama i była gotowa ponieść jej konsekwencje.

– Muszę panu coś powiedzieć – zaczęła, kiedy tylko odeszli kawałek od domu. – Rodzice pewnie by tego nie pochwalili, ale chciałabym być wobec pana uczciwa.

Spojrzała na niego.

Żalczyk poczuł, jak zjeżdża gwałtownie z wysokiego szczytu swoich oczekiwań na twardą podłogę rzeczywistości. Miał nawet w brzuchu dokładnie to samo uczucie, gdy jako dziecko na huśtawce zlatywał w dół. To nie był przyjemny początek i nie zapowiadał nic dobrego. Nagle wystraszył się, że Julianna kogoś miała i to właśnie chce mu powiedzieć. Że w małżeńskim darze nie wniesie mu tego, czego oczekiwał, czyli czystości.

Odwrócił się w jej stronę. Tego się nie spodziewał.

– Moi rodzice mają pewien sekret – powiedziała szybko Julianna. – Nie dlatego, że chcą pana oszukać – zastrzegła się od razu, a on znowu się zdumiał tym gwałtownym zwrotem w rozmowie. Poczul ulgę, bo chodziło jednak o coś innego. Co mu tam jej rodzice?! Interesowała go tylko ta śliczna panienka, kusząco przechadzająca się wśród pokrytych kwieciami drzew. – Po prostu to wydarzyło się niedawno – powiedziała Julianna. – Właściwie wczoraj w nocy.

– Mów, dziewczyno – popędził ją. Miał bowiem nadzieję, że kiedy wreszcie podzieli się z nim tymi zapewne błahymi panińskimi sekretami, przejdą do bardziej przyjemnych czynności.

– Moja mama spodziewa się dziecka – powiedziała powoli Julianna, a on stanął jak wmurowany. Po raz kolejny w tak krótkim czasie został mocno zaskoczony.

– Słucham?! – zapytał, wpatrując się w nią. Nie mógł tego zupełnie pojąć. Wydawało mu się, że pani Łącka jest strasznie stara.

– To się kobietom zdarza – powiedziała Julianna, opuszczając wzrok. – Taka ostatnia szansa.

No tak. Przypomniał sobie, że jego matka też przecież tak późno zaszła w ciążę. Brat był od niego o siedemnaście lat młodszy. Ale i tak nie mieściło mu się to w głowie.

Szli dalej, brodząc w wysokiej soczystej trawie pokrytej białymi płatkami opadającymi z kwitnących drzew. Było przepięknie, pachniało słodyczą, słońce zachodziło i złociło okoliczne góry. Idealny nastrój na pierwszy pocałunek, szczerze gorące wyznania, uściski.

Tymczasem w głowie Żalczyka kotłowało się już zupełnie coś innego. Zrozumiał.

– Jeśli to będzie syn, stracisz dwór. – Spojrzał na nią.

– Tak. – Kiwnęła głową.

– Twoja babcia spłaciła długi dla ciebie, a tymczasem skorzysta na tym ktoś inny – mówił dalej.

– Owszem. – Julianna poczuła, że mimo wszystko jest jej ciężko. Te słowa wypowiedziane rzeczowym tonem przez kogoś obcego brzmiały zupełnie inaczej, niż gdy wspominała o tym prababcia.

– A to ci dopiero zaskoczenie! – zawołał Żalczyk, z trudem się z tym wszystkim oswajając. – Gdyby Antonina dowiedziała się o tym wcześniej, palcem by nie kiwnęła. Skąd ona w ogóle miała tyle pieniędzy? – zapytał, patrząc uważnie na przyszłą narzeczoną.

– Składała całe życie na ten jeden moment – odpowiedziała Julianna. – Ona nic już nie ma – dodała szybko, żeby przypadkiem po okolicy nie rozniosła się plotka, że prababcia chowa jakąś gotówkę w swojej starej chatce. To by spowodowało na nią wielkie niebezpieczeństwo. – Nic nie ma! – powtórzyła. – Oddała mi wszystko!

Wierzył jej. Myślał bardzo intensywnie. Panna Łącka wciąż była najlepszą partią w okolicy. Jej lekkomyślny ojciec z pewnością bez problemu zadłużyłby się znowu, by wygospodarować dla niej jakiś posag. Zawsze będzie można na nim też utargować choć trochę pola, może jedną wioskę? Wprawdzie dzielenie majątku stanowiło tutaj temat tabu i niezwykle trudno było zmusić ojców, by dali córkom coś więcej niż obietnicę, że może kiedyś wypłacą jakiś grosz.

Czy był na to gotowy? Czekać, wyklócać się o posag? Zrezygnować z dworu, w którym już zdążył poczuć się jak pan?

To nie był dobry moment ani miejsce na podejmowanie takich decyzji. Od zapachu kwiatów jabłoni i bliskości tej pięknej dziewczyny kręciło mu się w głowie. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuł, że traci kontakt ze swoim zdrowym rozsądkiem. Poświęci dla tej dziewczyny wszystkie swoje gospodarskie plany, byle tylko ją mieć na co dzień i móc sobie tak z nią spacerować każdego wieczoru. Żeby do niego mówiła tym łagodnym głosem.

– Jest coś jeszcze – powiedziała Julianna i znów odsunęła się troszkę od niego. – Zgodziłam się wyjść za mąż tylko dlatego, że trzeba było ratować dwór.

Żalczyk przystanął. To było straszne. Jakby nagle dostał łopatą w głowę.

– Mało się przecież znamy – powiedziała Julianna.

Nie rozumiała, dlaczego ten mężczyzna jest tak zaskoczony. Czego się spodziewał? Że się w nim zakochała? Przecież ani razu nie rozmawiali ze sobą na osobności, a on nic o niej nie wiedział.

Najwyraźniej jednak droga szczerości, jaką wybrała, nie była słuszna, bo Jakub Żalczyk wyglądał jak gotujący się indyk. Prawie słyszała, jak w nim wszystko bulgotuje.

– Co chcesz mi, panienko, powiedzieć? – zapytał gniewnie, a wszystkie jego emocje skotłowały się w niepohamowany gniew. – Że chciałaś mnie wykorzystać?

– Nie. – Julianna cofnęła się aż do pnia wysokiego drzewa. Oparła się o niego. – Przepraszam, nie chciałam pana urazić.

– A co chciałaś?! – krzyknął. Dla niego to było oczywiste, że mówiąc takie słowa, ta durna panienska staje się wrogiem numer jeden. Kimś, kogo będzie nienawidził po wsze czasy. Nikt go jeszcze nigdy w życiu tak nie upokorzył.

– Chciałam być szczerą, powiedzieć prawdę – tłumaczyła się pospiesznie dziewczyna. – Myślę, że zasługuje pan na kogoś innego, na lepszą żonę.

Jeśli sądziła, że to pomogło, myliła się. Był jeszcze bardziej wściekły. Miał ochotę złapać ją za te falbanki w bluzce, potrząsnąć, rzucić na ziemię i zabrać sobie siłą to, czego mu właśnie odmawiano.

Julianna chyba wyczuła, że zbliża się niebezpieczeństwo, bo oderwała się od drzewa i zaczęła gwałtownie iść z dużą szybkością w stronę domu.

– Pierwszy raz rozmawiam o takich sprawach – powiedziała do niego. – Przepraszam, jeśli źle się wyraziłam. Chciałam tylko powiedzieć, że zaręczyny muszą zostać odłożone. Sytuacja się zmieniała. Ma pan prawo sobie wszystko od nowa przemyśleć.

– Nie potrzebuję tego! – zawołał za nią. Dogonił ją kilkoma krokami, a potem szarpnął nieprzyjemnie za rękę. – Wezmę cię i bez posagu – powiedział stanowczo, a jego słowa były dość dwuznaczne.

Wystraszyła się. Spojrzała na jego zmienioną gniewem twarz i pomyślała, że słusznie sądziła zawsze, że nic o nim nie wie. Był przerażający.

Wyrwała się z jego ręki i zaczęła biec w stronę domu. Nie wiedziała, czy rodzice obserwują ich przez okno. Było jej wszystko jedno.

– Ja jednak potrzebuję czasu! – zawołała szybko. – Nie zgadzam się na zaręczyny!

Nie wiedziała, skąd bierze się w niej ta odwaga, ale nie chciała już z nim wałkować tego tematu. Nigdy nie musieć się tłumaczyć przed tym człowiekiem, który wywoływał w niej teraz wyłącznie strach.

Byli już bardzo blisko domu, kiedy znów do niej dopadł i złapał ją za rękę. Tym razem mocniej. Szarpnęła się, ale nie zdołała wyrwać.

– To się tak nie skończy, moja panienko – powiedział. – Zaraz idę do twojego ojca. Z mojej strony nic się nie zmieniło. Jutro ogłosimy zaręczyny. A ty będziesz się musiała nauczyć, gdzie jest twoje miejsce. Tak się z mężczyznami nie rozmawia. Tej rady udzielił ci za darmo.

Puścił ją gwałtownie. Aż przewróciła się na trawę. Nigdy nie stosował przemocy ani wobec kobiet, ani dzieci, nie miał takiej potrzeby. Ale też jeszcze nie zdarzyło mu się w życiu, żeby ktoś tak go zdenerwował.

Od strony stodoły zaczęło iść w ich kierunku dwóch mężczyzn. Jacyś parobcy. Szybko więc pociągnął Juliannę, objął żelaznym uściskiem i zaczął prowadzić do dworu. Usłyszał tylko strzęp dziwnej rozmowy, a potem wbiegł do środka, prawie unosząc dziewczynę w powietrzu, bo próbowała się wyrwać.

– ...nie będziesz się bił ze szlachcicem. To nie twoja rola. Nie będziesz się wtrącał ani reagował. Parobek tak nie postępuje...

Wyleciało mu to z głowy natychmiast, kiedy tylko znaleźli się w sieni, bo Julianna zaczęła się tak szarpać, że musiał ją wypuścić. Pobiegła bez słowa na górę, ale wszyscy słyszeli, że już na schodach zaczęła szlochać. Potem wpadła do swojego panińskiego pokoju, mocno zatraskując za sobą drzwi.

Pani Łęcka opadła na ławkę. Co się stało? Spojrzała z przerażeniem na męża. Źle zrobili, puszczając córkę do sadu z przyszłym narzeczoną. Czyżby okazał się człowiekiem niegodnym poważania?! Co chciał jej zrobić?!

– Wygląda na to, że będę musiał wychowywać żonę od podstaw! – powiedział do nich Żalczyk, oddychając ciężko. Wargi mu drżały, łapał nosem powietrze, jak zwierzę, które gotuje się do ataku. – Kiedy zamierzaliście mi powiedzieć o dziecku?! – zapytał agresywnie. – Po ślubie?!

Anna poczuła nagle, że robi jej się słabo i że w całym tym zamieszaniu dobro tego maleństwa, które nosi pod sercem, jest dla niej najważniejsze. Straciła już troje.

Niech sobie Żalczyk wsadzi swoje pretensje, gdzie tylko chce! Nie zamierzała tego słuchać. Podniosła się bez słowa i poszła w stronę małżeńskiejsypialni, żeby się położyć. Skinęła na pokojówkę, która zerkała z korytarza, a ta natychmiast pobiegła w jej stronę.

Mężczyźni zostali sami.

– To dla nas nowe wieści – powiedział pan Łacki, próbując za wszelką cenę zachować spokój. – Usiądź, proszę. My też jesteśmy zaskoczeni.

Szybko wyciągnął z kredensu nalewkę, a także duży kieliszek, który zwykle używany był do wina. Nalał potrójną porcję najmocniejszego trunku, z głogu. Recepta na jego przygotowanie pochodziła jeszcze od prababci Antoniny z czasów, kiedy była panią tego dworu. Nalewka była pyszna, a do tego ponoć obniżała napięcie i działa uspokajająco.

Żalczyk ewidentnie potrzebował solidnej porcji.

Chyba sam też to rozumiał, bo – nie zastanawiając się ani chwili – wypił wszystko do dna, choć procentów tam nie brakowało. Na chwilę zaparło mu dech w piersiach, zaczął kaszleć. Dzięki temu Ignacy zyskał chwilę do namysłu. Niedługo, a sprawa była poważna. Wiedział jednak, że w tej kwestii czas niewiele mu pomoże.

Miał do wyboru dwa wyjścia. Oba złe.

Coś bardzo nieprzyjemnego wydarzyło się w sadzie.

Julianka to miła dziewczyna, a ostatnimi czasy jej pokora i łagodność stały się wręcz wzorcowe. Na pewno nie obraziłaby swojego przyszłego narzeczonego. To on musiał dopuścić się jakiegoś haniebnego czynu.

Pan Łacki miał oczywiście jedno skojarzenie, typowo męskie. Pewnie się na nią rzucił zbyt natarczywie, chciał za dużo, nie był w stanie poczekać nawet tego krótkiego czasu, jakie dawało pospieszne narzeczeństwo.

Spojrzał na niego zły. Taki stary, a wciąż tak głupi! Wszystko zepsuł! A teraz stał przed nim, trzymał w rękach pusty kieliszek i patrzył wyczekująco.

Tak. Łacki miał pełną świadomość sytuacji. To do niego należała decyzja, po czyjej stronie się opowie: córki czy zięcia. Ustawi Juliannę na całe lata w służebnej pozycji wobec męża, karcąc za dzisiejsze zachowanie, czy też poprze i w skandaliczny sposób zerwie zaręczyny, a także wieloletnie dobre sąsiedzkie stosunki?

Żalczyk wyglądał na takiego, który akceptuje tylko jedną możliwość, ale pan Łacki sądził inaczej. Kochał swoją córkę i choć teraz cała jego uwaga skoncentrowana była na nowym dziecku, które rosło pod sercem jego żony, to nie zmieniało faktu, że zależało mu na Juliannie. Znał powinności kobiety, ale nie chciał, by córka była nieszczęśliwa.

Podniósł głowę do góry. Słowa, które właśnie miał wypowiedzieć, sporo go kosztowały.

– Nie wydam Julianki na siłę za mąż – rzekł to bardzo powoli. Tak, by rozwścieczony mężczyzna stojący blisko niego wszystko zrozumiał. – Do zaręczyn jeszcze nie doszło. Zgodziła się tylko przyjechać w niedzielę do was na obiad. To nic nie znaczy.

– Taki się zrobiłeś hardy?! – krzyknął Żalczyk. – Dziedzic w drodze, w głowie wam się przewracało! Dobrze wiesz, że twoja córka wybrała i zrobiła to w obecności gości. Splamisz swój honor. Cieszysz się z syna, a jego jeszcze nawet nie ma. A może to będzie druga córka?! – dodał ze złośliwym uśmiechem.

– Każdemu może się przytrafić coś dobrego. – Łacki spokojnie przyjął jego wybuch. Teraz już był pewien swoich decyzji. – Miło, jeśli sąsiad powie wtedy grzeczne słowo – dodał.

– Ja już nie jestem waszym sąsiadem! – Żalczyk nie zamierzał dalej ciągnąć tej dyskusji. Słusznie ocenił, że nie przyniesie mu ona nic dobrego. Cisnął o podłogę czapkę, którą mocno ścisnął w garści. – Udław się! Zaproszenie na jutrzejszy obiad odwołane! – Podniósł czapkę i ruszył przed siebie.

Gospodarz nawet go nie pożegnał. Chwilę później zobaczył, jak jego powóz oddala się, podskakując na nierównej drodze. A tych dwóch włóczęgów, których zgodził się spontanicznie przyjąć pod swój dach, dziwnie się szarpie, jakby jeden drugiego powstrzymywał.

Szybko jednak o tym zapomniał. Cóż go mogła obchodzić zwada pomiędzy służbą. Miał dość własnych problemów. Pobiegł do żony. Miał nadzieję, że z dzieckiem wszystko w porządku.

ROZDZIAŁ 19



Czemuś mi nie pozwolił mu przyłożyć?! Tak się nie godzi! – Dominik Podhorski szarpał się mocno i Józek z najwyższym trudem zdołał go powstrzymać. Co za wariat! Chciał biec za tym nieznanym szlachcicem i bić się z nim!

– Bo jesteś teraz parobkiem! – wysyczał mu do ucha. – Pewnie będę musiał to powtórzyć jeszcze wiele razy. Jesteś parobkiem! – zawołał i spojrział mu w oczy. – A oni nie biją się z gośćmi we dworze. Nie reagują na to, co się dzieje. Jeśli coś widzą, udają, że nie rozumieją, nie słyszą, opuszczają głowę, idą dalej.

– Chyba oszalałeś?! Ten człowiek popchnął panienkę z dworu! Kobietę! Należy mu się nauczka – gorączkował się Podhorski.

– Owszem, ale nie od ciebie.

Józek nic już więcej nie powiedział. Tamten na szczęście odjechał. Niebezpieczeństwo minęło. Nie chciał więc wdawać się w dalsze tłumaczenia, że Dominik należy teraz do innej klasy społecznej i nie jemu wymierzać sprawiedliwość wśród szlachciców.

– Należało mu się! – powtórzył cicho Dominik. – I mnie by to pomogło. Ależ bym mu przyłożył.

– Jeszcze ci siniaki pod okiem całkiem nie zeszyły, bark dopiero się zrasta, żebra cię bołą, a już szukasz nowej zwady?

Dominik gwałtownie odwrócił się w jego stronę i też spojrział mu w oczy.

– Słuchaj – powiedział. – Ja wiem, że ty masz rację i chronisz nas obu, ale przysięgam, przyjdzie kiedyś taki dzień. Tak mu przywalę, że się nie podniesie. I to będzie trochę przez ciebie, bo moja wściekłość rośnie.

– Oby się to nie stało w najbliższej przyszłości – powiedział Józek. – Potrzebujemy się tu na trochę zatrzymać. – Poklepał przyjaciela po plecach i pchnął w stronę stodoły. Rozumiał, że nie jest mu łatwo.

– Dzisiaj śpimy tutaj? – zapytał.

– Tak myślę – Józek kiwnął głową – bo nikt mi nic nie powiedział.

– Jak to? – zdumiał się Dominik.

– Gospodarz nie będzie z nami rozmawiał. Te dwa zdania zamienione na podwórku mu wystarczą.

– Pozwoli nam tu zostać?

– Chyba tak. Ten Walenty też gdzieś się zmył. – Józek rozejrzał się wokół, ale nikogo ze służby nie było widać.

– Nie mają osobnego miejsca, gdzie nocują parobkowie? – zapytał Dominik.

– Nie wiem – odparł przyjaciel, otwierając ostrożnie drzwi stodoły. – To jakieś dziwne miejsce. Ale na razie się o to nie martwmy. Dostaliśmy chleba, piwo było naprawdę dobre, a stodoła ma dach. Wprawdzie w paru miejscach nieszczelny, co mi się w głowie nie chce pomieścić, bo przecież woda może kapać na siano, ale my się tym nie przejmujemy. Położymy się tam, gdzie jest bezpiecznie, i po prostu prześpimy.

Nie sposób było odmówić tym słowom logiki. Ruszyli więc razem zgodnie w stronę komory wypełnionej zeszlórocznym, wciąż pachnącym sianem.

Dominik z ulgą wyciągnął zmęczone nogi. Zaczynał teraz doceniać każdy najmniejszy drobiazg, choćby i ten bezpieczny nocleg.

ROZDZIAŁ 20



Wczesnym porankiem Julianna pobiegła do prababci. Nie spała całą noc. Intensywnie myślała i teraz chciała się podzielić wnioskami. Znowu wiele się zmieniło.

Odzyskała swój status panienki na wydaniu. Słyszała wczoraj prowadzoną podniesionym głosem rozmowę. Ojciec stanął po jej stronie. Zdawała sobie sprawę, jakie to musiało być dla niego trudne.

Chciała o tym jak najszybciej opowiedzieć Antoninie. Prababcia miała o tacie takie złe zdanie. Niech zobaczy, że w trudnej sytuacji potrafił stanąć po stronie Julianny. Chociaż nie była jego wymarzonym synem.

Gnała przez pola w sposób absolutnie niegodny panienki z dobrego domu. W rekordowym czasie pokonała drogę i zdyszana wpadła do chatki prababci. Zastała ją przy kuchni. Antonina warzyła jakies napary. Pachniało pięknie, więc to były zapewne leki na lekkie choroby.

Wysłuchiwała ze spokojem wszystkich rewelacji, o jakich opowiedziała jej Julianna, potem podała jej drożdżową bułeczkę z serem. Pachniały tak pięknie, że dziewczyna zjadła aż trzy.

– Kiedy ty to wszystko upiekłaś? – zapytała.

– Nie mogłam spać – odparła prababcia. – Czekam. Wszystko mi mówi, że coś nadchodzi, a jednak tego nie widzę. Z tych nerwów musiałam zająć ręce. Jest z tego pożytek, bo miałam smaczne śniadanie, a zapas leków też się powiększył.

Julianna zjadła bułkę i popiła herbatą ziołową.

– Oprócz tego, co mówisz, nic się więcej we dworze nie wydarzyło? – zapytała prababcia.

– Jeszcze ci mało? – roześmiała się Julianna. – Mama w ciąży, zerwane zaręczyny, spłacone weksle. Czego chcesz więcej? Jestem znowu wolna. Ale sama – dodała po chwili.

Antonina zrobiła sobie przerwę w pracy. Usiadła przy stole obok prawnuczki. Wzięła do ręki bułkę, przełknęła solidny kęs.

– Na pewno nic się nie wydarzyło? – zapytała znowu, uparczywie wpatrując się w Juliannę, jakby coś jej się nie zgadzało.

– Oprócz tego same drobiazgi – westchnęła dziewczyna, trochę rozczarowana jej reakcją. – Przybyło wczoraj do dworu jakichś dwóch włóczęgów i ojciec zgodził się ich przyjąć jako parobków. Właściwie tyle.

– Dwóch włóczęgów?! – Prababcia była oburzona. – Prosiłam o coś innego!

Julianna roześmiała się. Pewnie gdyby Antonina mogła, pogroziłaby swoim kosturem ku górze. Niebo słabo się spisało.

– Nic nie poradzę – powiedziała. – Tylko tyle nowego się zdarzyło. A to akurat nic nie znaczy.

Prababcia spojrzała przez okno i zamyśliła się. A potem zerknęła na Juliannę. Nic nie powiedziała, ale dziewczyna i tak czuła, że myśli inaczej. Z jakiegoś powodu właśnie to ostatnie wydarzenie uważa za najważniejsze. I chyba po raz pierwszy sama nie rozumie własnych wniosków.

ROZDZIAŁ 21



Dominik obudził się rano bardzo zły. Właściwie to nawet nie wiedział, o co dokładnie się tak wścieka i na kogo.

Powodów w sumie nie brakowało, a gniew wobec zrządeń losu był w jego przypadku zupełnie usprawiedliwiony.

Zbudził się o wschodzie słońca, poszedł do studni i naczepał sobie wody, a potem przyniósł ją do stodoły, żeby obaj z Józkiem mogli się umyć. Ściągnął też z płotu dwa suszące się tam ręczniki.

Przyjaciel był trochę przestraszony faktem, że Dominik tak swobodnie porusza się po obcym dworze.

– Nawet nam nie powiedzieli, gdzie mamy się stawić – mruzczał Podhorski z niezadowoleniem. – Co to za porządki?! Słońce już nad horyzontem, a tu cisza. Wszyscy śpią?

– Chyba tak. – Józek ziewnął i przeciągnął się. – O rany – powiedział. – Mogę ruszać ramionami! – Spróbował jeszcze raz, ale wtedy zabołało. – No, dobra – dodał. – Mogę trochę ruszać – poprawił się.

Umyli się z przyjemnością w chłodnej wodzie.

– Twoja gęba też już lepiej wygląda – powiedział Józek, patrząc na Podhorskiego. Chciał nawet zażartować, że może się jakiejś pannie spodoba, ale wycofał się. To był trudny temat.

Dominik włożył swoją koszulę, wywijając rękawy.

– Jakaś magiczna chyba jest – powiedział do Józka. – Ta dziewczyna starannie ją wyprała i była prawie biała, a teraz patrz, znowu, krucafuks, brudna.

– Poniewiera się byle gdzie, to są skutki – westchnął Józek. – Ale jest i coś w tym dobrego. Przynajmniej nie będzie się rzucać w oczy, że pochodzisz z innego świata. Pamiętaj, musisz być dzisiaj ostrożny. Potrzebujemy tę chwilę odpocząć. Nie chcemy od razu iść dalej. Zresztą skończyła się droga – dodał z wyraźną ulgą. Był z siebie dumny. Dokonał tego, doprowadził dziedzica w bezpieczne miejsce. Teraz jeszcze musiał odgadnąć, po co. A to wydawało się niezwykle trudne.

Dominik otworzył drzwi stodoły, żeby wylać wodę, i wtedy obaj zobaczyli panienkę z dworu. Poznali ją po charakterystycznym pszenicznym warkoczu i jasnej sukience. Wyszła z domu bocznymi drzwiami i biegła właśnie przez sad, przeskakując zwinnie kępy trawy, a także pokazując światu bardzo zgrabne nogi.

– Wszystko tu rzeczywiście stoi na głowie – powiedział Józek, wpatrując się chciwie w dziewczynę. – Ładna sztuka. – Cmoknął z zadowoleniem.

– Zwykła panna. – Dominik wzruszył ramionami. – Ale wiesz co? Jak zostaniemy tu dłużej, to może się z nią ożenisz.

– Chyba żeś całkiem zwariował! – Józek palnął się w głowę. – Gdzie mnie do takiego świata?

– Skoro ja mogę być parobkiem, to ty możesz być panem we dworze. Wszystko jest możliwe. Zwłaszcza tutaj. Byłbyś lepszym gospodarzem.

Józek się roześmiał.

– W tę stronę to nie działa. Spaść bardzo łatwo, ale wdrapać się o wiele ciężiej.

– Co masz na myśli? Że ja też już zawsze będę służył głupich poleceń? Do końca życia przyjdzie mi spać kątem na sianie i ciężko harować tylko za jedzenie?! – zdenerwował się Podhorski.

– Ja nie wiem. – Józek cofnął się o krok, wystraszony tym nagłym zwrotem w rozmowie. – Ja tylko robię swoje – powiedział, po czym wyszedł na zewnątrz. – Chodźmy lepiej szukać tego Walentego. Niech nam powie, co mamy robić.

Wyszli obaj na zewnątrz.

– Robota jest tu wszędzie. – Dominik rozejrzył się wokół dokładnie w taki sam sposób, jak wcześniej prababcia Antonina. Niedbalstwo i jemu rzucało się w oczy. – Ty idź do stajni – rozporządził sprawnie. – Wiesz, co tam robić z rana. Ja trochę oporządczę podwórko i przyjdę ci pomóc. Darmo chleba

jeść nie będziemy.

– Dobrze. – Józek posłusznie rzucił się do wykonywania poleceń.

Ruszył w stronę zabudowań, skąd dochodziło już muczenie krów. Wszedł do środka, po czym również z niesmakiem pokręcił głową. Stajnie były byle jak posprzątane, krzywy dach miejscami przepuszczał światło, więc zapewne także i wodę, chude krowy zostały przywiązane do niedbale zbitych żłobów. Miały brudne boki, co świadczyło o tym, że nie pracowano tutaj zbyt starannie.

Józek kochał zwierzęta. Nie mógł patrzeć na to, jak się męczą czy cierpią. Dlatego tak dobrze mu było u Podhorskich, bo oni dbali o każde żywe stworzenie.

Rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu i z trudem dostrzegł stojące w kącie widły. Też były stare. Nie narzekał jednak. Szybko zabrał się do wynoszenia gnoju. Otworzył okienko znajdujące się na końcu stajni i zaczął wyrzucać wszystkie nieczystości.

Pracował półtorej godziny. Nikt inny wciąż się nie zjawiał. Starannie wszystko doczyścił, a potem znalazł miotłę i jeszcze pozamiatał. Poszedł na górę do stodoły i przez specjalny otwór nawrzucał słomy. Rozłożył ją zwierzętom hojnie grubą warstwą, tak jak uczył go dziadek. Potem wziął jedną wiązkę i odrobinę wody do wiadra. Przemył zwierzętom boki. Nie na wiele się to zdało, bo brud był przyklejony grubą warstwą, ale wiedział, że jeśli będzie to robił codziennie i jeszcze powtarzał na pastwisku, w końcu doczeka się tego momentu, gdy zwierzęta staną się czyste.

Kiedy skończył, poczuł, że jest zmęczony, No, ale to nie był oczywiście czas na odpoczynek. Wyszedł na zewnątrz i z przyjemnością popatrzył na starannie wysprzątane podwórko. Wszystkie rzeczy zostały odniesione na właściwe miejsca. Dominik naprawił nawet grabie, strugając z patyków brakujące zęby, zamiótł podwórko tak, że sprawiało ono bardzo estetyczne wrażenie. Zaczęli czerpać wodę ze studni, żeby napoić krowy.

Wtedy z domu wyszła zaspana dziewczka kuchenna. We dworze dopiero zaczynał się dzień.

– Jak tu ładnie! – powiedziała, rozglądając się wokół.

– Z Panem Bogiem – przywitał się Józek. – Idziesz doić?

– Tak – kiwnęła głową.

– A masz jakąś szmatę, żeby umyć wymiona?

Spojrzała na niego zaskoczona. Chyba się tutaj nie robiło takich rzeczy.

– Święci patroni! – westchnął Józek. – Gdzie myśmy trafili?

Dominik przewrócił oczami. Godzina fizycznej pracy wcale nie zmniejszyła poziomu jego gniewu na rzeczywistość, a niedbale gospodarstwo wkurzało go jeszcze mocniej.

– Idź, pomóż tej kobiecie, bo nie wie, co czyni! – odezwał się, a dziewczyna aż się skuliła, jakby ją okrzyknął właściciel dworu, a nie zwykły parobek, włóczęga w brudnej koszuli i z siniakiem na policzku.

Józek wykonał polecenie i poszedł z dziewczyną do stajni. Aż się zatrzymała w progu. Pierwszy raz zobaczyła taki porządek.

Kiedy umyli i wydoili trzecią krowę, w stajni pojawił się Walenty. Też był zaspany, jakby dopiero zerwał się z łóżka. Stał w progu i drapał się po głowie.

– A co to tak wszystko porobione? – zapytał. – Jakieś wojsko przyjechało w nocy po cichu?

– Jeden człowiek – odpowiedziała nieśmiało dziewczka. Starła się pracować szybciej i sprawniej, bo ten nowy parobek był zwinny i narzucał tempo.

– No to ja se dzisiaj odpocznę. – Walenty, którego głównym obowiązkiem było oporządkanie zwierząt, usiadł na krzywym stołku i zapalił papierosa. Pomysł dziadka, by zatrudnić dwóch dodatkowych pomocników, bardzo mu się spodobał. Faktycznie on sobie tutaj ręce po łokcie urabiał, a służby brakowało.

Rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, gdzie się podział ten drugi, ale chwilę później go usłyszał od strony warzywnika. Niósł się stamtąd dość mocny głos:

– Buraki koło fasoli, marchew i koper razem?! – rzucał się Podhorski. – Kto to widział?! Tak się nie sadi! To sobie nawzajem szkodzi! Nie ma nagietków ani aksamitek, żeby wam odstraszały szkodniki. Ślimaki łążą wte i wewte. Nikt im nawet skorupki od jajek nie podsypie. Chwasty jak dęby!

Józek się wystraszył. Rzucił ścierkę, którą mył ostatnią krowę, i pobiegł w tamtą stronę. No tak.

Podhorski znowu zapomniał, że nie jest tu dziedzicem, lecz sługą, i nie ma prawa komentować, jak prowadzone jest gospodarstwo. Poza tym co on robił w warzywniku?! Powinien był pójść do koni.

Ale Dominik właśnie przechadzał się po stosunkowo dużym prostokącie obrośniętym bukszpanem, który tworzył płot. Wirywał z pasją jakieś zielsko, jakby było mu coś winne, i cały czas mamrotał z niezadowoleniem.

We dworze w Podhorowie ukradkiem się śmiano z tego, że dziedzicowa młodszego syna trochę traktuje jak swoją pomocnicę, w zamian za to, że nigdy nie urodziła córki. Póki Dominik jeszcze był mały, wszędzie go ze sobą zabierała. Do kur, warzywnika, siedział nawet czasem przy niej, gdy haftowała albo przyglądał się, jak przygotowuje przetwory. Potem to minęło, bo zaczął z ojcem jeździć konno, a przede wszystkim wymykać się z Józkiem. Nikt nie mógł mu zarzucić, że jest mało męski. Ale faktem też było, że znał się na różnych rzeczach, o których większość mężczyzn miała mniejsze pojęcie.

– Spokojnie. – Józek podszedł do niego bliżej. – Nie denerwuj się. To nie nasza sprawa. Robią, jak chcą.

– Kompletnie do niczego to wszystko jest urządzone. Krucafuks! Na takim wielkim kawałku tak mało warzyw! To się wszystko inaczej robi. Z głodu umrą, jak będą tak gospodarzyć. – Zrobił krok do tyłu, żeby pokazać Józkowi, jak w nędznej kondycji są buraki. Zapewne niczym nienawożone. I jeszcze dodatkowo męczone przez chwasty. Krzyknął, bo w coś wdepnął. Z chrzęstem pękły dwa jajka. – Co one tu robią?! – zawołał.

Dziewka wybiegła ze stajni.

– A to nasze kury – powiedziała, machając lekceważąco dłonią. – Ciągłe gdzieś niosą te jajka. Chowają byle gdzie. Ciężko znaleźć.

– Chyba żeście poszaleli! – oburzył się Dominik, nie bacząc na to, że Józek szarpie go ostrzegawczo za ramię. – Kury wam niosą, gdzie chcą, a nie w kurniku?!

– Co też opowiadasz? – Walenty podszedł do nich i wtrącił się do rozmowy. – Kto może kurze nakazać cokolwiek? Robi, jak chce. Ma mały mózg.

Dominik miał na końcu języka, że pan tego domu ma jeszcze mniejszy, ale pohamował się w ostatniej chwili, lojalny wobec człowieka szlacheckiego rodu.

– Kura ma nieść tam, gdzie je każesz! – powiedział stanowczo. – Robi się jej w kurniku gniazda. W każdym kładzie jedno jajko na podkładek. I uczy się ją trzymać tego miejsca, a nie, żeby łąziła byle gdzie i marnowała jajka – zakończył, a dziewczka kuchenna wpatrywała się w niego z jawnym już nabożeństwem. – Pokażcie mi ten kurnik! – zadysponował jak pan, a oni posłusznie spełnili polecenie.

Nawet nie usłyszał, jak szcęknięto okno otwierane gdzieś we dworze.

Walenty zaprowadził go do kolejnego krzywego budynku mieszczącego się tuż przy stajni. Było tam ciasno i ciemno. Na ziemię rzucono trochę siana i tam w ciasnocie gnieździło się kilkadziesiąt kur.

– Szlag mnie zaraz trafi! – powiedział Dominik. – Nie wytrzymam. Jak możecie tak męczyć zwierzęta?! Jeszcze chcecie, żeby wam jajka niosły. Ja bym wam żadnego nie zniósł.

– W to nie wątpię – odezwał się nagle pan Łacki. Słyszał przez okno dyskusję w warzywniku i podszedł do nich niepostrzeżenie.

Józek omal nie zemdlął.

No to koniec! – pomyślał. – A mieli taką bezpieczną przystań. Wiadomo, że to nie mogło się udać. Nie zrobisz z pańskiego syna parobka w jeden dzień. Jednak zły był na siebie, że bardziej się nie postarał, nie pilnował Dominika mocniej. Lepiej by było, gdyby Podhorski został na sianie i spał, niż szarogęsił się po gospodarstwie, łążąc po wszystkich zakamarkach.

– A jak ty byś to zrobił? – Pan Łacki wyglądał nawet na spokojnego, może trochę rozbawionego.

Józek miał ochotę palnąć się w czoło. Gdyby ktoś tak skrytykował rządy pana Podhorskiego, nie uszłoby mu to na sucho. Ale tutaj, jak już zdążył się zorientować, wszystko stało na głowie.

Dominik nie zmieszał się ani trochę. Wskazał ręką na drzewa, które rosły wokół kurnika i cały teren.

– Macie tu mnóstwo miejsca – powiedział. – Trzeba zbudować większe pomieszczenie, zrobić grzędy, jak należy, wszystko wysprzątać. Jest cień i sporo trawy, dobre warunki.

Rozejrzał się wokół. Wszędzie, gdziekolwiek padł jego wzrok, widział robotę.

– Dobrze. – Pan Łącki poklepał go po plecach. – Zrób to. Walenty da ci wszystko, czego trzeba. Walenty tak się zdumiał, że aż papieros wyleciał mu z ust. Chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł na czas właściwych słów.

– Znajdźcie dla tych dwóch jakieś miejsce do spania, bo zostaną u nas na dłużej – dodał pan Łącki, po czym odwrócił się i poszedł w stronę dworu. Zapewne na śniadanie.

Józek oddychał. Starał się nie robić tego panicznie, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Miał wrażenie, że właśnie cudem uniknęli katastrofy.

– No, no. – Walenty pokręcił głową, po czym wrócił na swoje miejsce na stołku. – To ci dziwne czasy nastały. Bardzo dziwne – dodał, ale Dominik nie zwracał na niego uwagi. Przyjrzał się dokładnie staremu kurnikowi, po czym uznał, że należy go całkowicie rozłożyć i zbudować na nowo. Jest na to niewiele czasu, bo kury muszą na noc się schronić.

– Macie tu jakieś deski? – zapytał władczy tonem.

Walenty westchnął, poprawił czapkę i wstał. Cóż, właściwie uznał, że może się poświęcić i pokazać to i owo palcem temu głupcowi tak bardzo rwącemu się do roboty. Niech zasuwa, jeżeli tylko chce.

Dominikowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Obaj z Józkiem szybko zabrali się do działania. Deski na szczęście były, solidne pale drewniane też. Nawet gwoździe i inne narzędzia. Dlaczego nikt tego wcześniej nie zrobił, skoro wszystko leżało gotowe, tego Podhorski nie mógł pojąć.

– Potem trzeba jeszcze będzie posprzątać tę szopę na narzędzia, drewnutnię – powiedział. – Byłem tam, okropnie to wygląda. Stodołę, spichlerz też. Wykosić sad, wyczyścić klatki królikom, oporządzić gołębnik, dać wody kaczkom, indykom i obejść pola, żeby zobaczyć, co jest do zrobienia.

Huk roboty! – pomyślał. – I dobrze. Może to chociaż na moment odpędzi natrętne wspomnienia.

ROZDZIAŁ 22



Julianna wróciła do domu dopiero przed obiadem. U prababci dzisiaj była kolejka. Ludzie chorowali na jakąś dziwną gorączkę i Antonina poprosiła prawnuczkę o zrobienie syropu z cebuli, czosnku oraz miodu. W dużych ilościach. Kazała jej też dzielić suszoną lipę na mniejsze woreczki i wyjmować soki malinowe, które w tamtym roku obie zrobili. W zamian rosły zapasy mleka, sera, jajek, a trafiła się nawet mała kurka.

Julianna pomagała prababci osłuchiwać dzieci, wycierała im buzie, myła rączki. Na początku jeszcze częstowała bułeczkami, ale te szybko się skończyły. Antonina nakazała jej zrobić ciasto na kolejne. Kiedy wychodziła, pięknie wyrośnięte czekało na upieczenie. Nie zdążyła jednak już tego zrobić, bo musiała biec do dworu. Zbliżała się pora obiadu, a Julianna nie widziała się z rodzicami od wczorajszego wieczoru. Uciekła tylko na chwilę, a potem porwał ją wir obowiązków.

Prawda była jednak taka, że trochę się ociągała z tym powrotem. Bała się spojrzeć rodzicom w oczy.

Tata stanął po jej stronie – to było piękne, ale na pewno był na nią zły. Teraz już nie była taka pewna, czy dużo zyskała, wywołując tak wielką awanturę. Podczas przygotowywania syropów miała czas, by to sobie przemyśleć.

W końcu i tak będzie musiała wyjść za mąż. A nikogo bardziej sensownego niż Żalczyk nie znajdzie. Nie zmieniało to jednak faktu, że kiedy biegła w dół górską łąką, przeskakując znowu przez kępy maków, cieszyła się, że chociaż na chwilę odsunęła swój los.



Pędziła przez sad jak zawsze pewna, że nikt jej nie widzi. Zwykle o tej porze mało się działo. W południe służba szukała raczej chwili wytchnienia i obiadu. Ale dzisiaj było inaczej. Zobaczyła jakiś niecodzienny ruch w zabudowaniach. Stukały młotki, słychać było przesuwane deski i jakieś energiczne pokrzykiwania. Ktoś tu pracował, na dodatek z zapalem. Chciała to zobaczyć.

Podeszła bliżej. Józek omal nie połknął gwoździa, który trzymał w ustach. Wyglądała przepięknie. Zarumieniona, z potarganymi włosami i sukienką z podwiniętymi rękawami.

Piękna panna! – pomyślał znowu.

Dominik też na nią spojrzął i skłonił się uprzejmie. Znowu zachował się jak gospodarz.

– Co robicie? – zapytała Julianna.

– Nowy kurnik – mruknął Dominik. – Stary wołał o pomstę do nieba.

Nie odezwała się, zrobiło jej się przykro. Jak zawsze, gdy ktoś krytykował rodziców.

Józek od razu to zauważył. Ale Dominik tak był skupiony na desce, którą właśnie przybijał, że nawet nie spojrzął w tamtą stronę.

– Proszę się nie martwić, panienko – odparł Józek szybko. – Zaraz to naprawimy i będzie lepiej.

– To dobrze – powiedziała Julianna. – Lubię moje kurki i będę się cieszyć, jeśli dostaną lepsze mieszkanie.

Wtedy wreszcie Dominik podniósł głowę i na nią spojrzął, ale nie odezwał się więcej, a ona też odwróciła się i poszła w stronę dworu. Już bardziej godnym krokiem.

A jednak trochę to jest ratunek – pomyślała z uśmiechem, wchodząc do środka. – Prababcia sprowadziła bohatera, który przynajmniej pomoże kurom. Dobrze i to. Czasem los odpowiada w dziwny sposób.

Weszła do jadalni, poprawiając nieco włosy. Rodzice siedzieli już przy stole, czekając na podanie zupy. Julianna podeszła do miski z wodą, która stała pod ścianą, i umyła ręce, a także szyję i twarz. Wilgotną dłonią jeszcze raz poprawiła fryzurę i warkocz. Usiadła szybko obok rodziców. Myślała, że usłyszy jakąś reprimendę, że znowu biega po łąkach, ale tata kroił mięso i milczał. Mama tylko uśmiechnęła się do niej.

– Jak się dziś czujesz? – zapytała ją córka.

– Tak samo, ale mniej się denerwuję – odparła pani Łącka. – Przynajmniej wiem, co mi jest. Doktor ma przyjść dziś po południu.

– Pewnie będzie udawał, że od początku wiedział – westchnęła Julianna.

– Może – przyznała mama. – Ale ktoś musi o mnie zadbać.

Tata się nie odezwał. Pokojówka Basia naląła im zupy, a on jeszcze ukroił sobie kolejny kawałek wołowiny, po czym włożył ją do ust.

Chciał zapytać Juliannę, co się właściwie wczoraj wydarzyło, ale nie miał odwagi. To był temat, w którym poruszał się z trudem. Tak zwane kobiece sprawy. Dziwnie się czuł też z myślą, że zawdzięcza córce ocalenie dworu. Nie w taki sposób, jaki sobie wyobrażał, czyli przez zamożnego zięcia, co było dla niego do zaakceptowania, lecz dzięki pomocy ze strony innej kobiety, na dodatek takiej, której nie szanował, nie lubił i trochę się bał.

Żona długo mu w nocy tłumaczyła, żeby pod żadnym pozorem nie narażał się teraz prababci Antoninie, bo gdyby cokolwiek stało się dziecku, tylko ona może im udzielić pomocy. Doktor się nie sprawdził. Nie rozpoznał nawet tak powszechnej dolegliwości jak ciąża. Tylko dlatego, że z góry założył, iż pani Łącka jest już za stara. Mogliby przegapić jej szczególny stan, mogłaby pić zioła, które zapisał, zaszkodzić dziecku. Prababcia ich uratowała.

Nie wiedział, czy bardziej się cieszy, czy wścieka, że zawdzięcza to nielubianej babce żony.

Wszystkie te emocje i uczucia sprawiały, że pan Łącki nie wiedział, jak ma się zachowywać wobec swoich najbliższych kobiet. Na wszelki wypadek więc jadł za dwóch i milczał.

– Wybieram się jutro na targ – powiedział wreszcie, kiedy posiłek dobiegał już końca. – Trzeba zrobić zakupy. Coś sprzedać, wymienić...

– Dobrze – ucieszyła się pani Łącka. – Pojadę z wami. Zabierzemy też Juliannę – dodała. – Musimy się razem pokazywać – westchnęła. – To ważne, bo wciąż mamy córkę na wydaniu.

Pan Łącki kompletnie sobie nie wyobrażał, jak by to teraz miało się rozwiązać.

– Słyszałam, że Jackowski pojechał do Joanny Kowalewskiej – powiedziała Anna. – A być może i Żalczyk tam się zjawi. Skorzysta dziewczyna z tego zamieszania.

– Nie martw się, mamó – powiedziała Julianna. – Do mnie też w końcu szczęście się uśmiechnie.

Dokończyła obiad pospiesznie i wstała od stołu. Rodzice jeszcze zostali. Siedzieli blisko siebie. Kiedy tylko się oddaliła, pochylili ku sobie głowy, wymieniając się jakimiś zdaniem, ale na pewno nie mówili o niej. Raczej wyglądało, że dzielą się radością.

Niech się cieszą – pomyślała. Ona też była zadowolona z obrotu spraw, choć, rzecz jasna, wiedziała, że nie jest idealnie i czeka ją jeszcze wiele kłopotów. Jednak na samą myśl, że dziś wieczorem znów miałby ją odwiedzić pan Żalczyk i czynić swoje awanse, ogarniała ją zgroza.

Tak było lepiej.

ROZDZIAŁ 23



Wieczorem pan Łącki poszedł w stronę stajni. Miał już serdecznie dość tej ciężkiej roboty, jakby był zwykłym chłopem. Ale jeszcze nie udało się uzupełnić stanu służby i jego ręce były potrzebne w tym najbardziej intensywnym czasie. Robił to już od dawna. Narzekał, ale w sumie zdążył się przyzwyczaić. Dziś jednak bolało go to szczególnie i z wielkim zdumieniem złapał się na myśli, że wstyd mu przed tym nowym parobkiem.

Co za bzdura! – pomyślał. A jednak zanim zaczął cokolwiek robić, zawołał Walentego.

– Przyrowadźcie mi to na jutro dwóch młodych chłopaków ze wsi. Robotnych i silnych – nakazał władczy tonem.

– Jeszcze? Przecież dopiero co przybyło dwóch – zdziwił się mężczyzna. Godna postawa właściciela nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– Tak – potwierdził pan Łącki. – To porządny dwór. Trzeba nam dużo ludzi, żeby wszystko oporządzić.

– A pewnie. – Walenty ucieszył się. Miał bardzo dużo własnych dzieci, a także kuzynów, krewnych, znajomych. I choć praca we dworze ostatnio była dość słaba, to jednak coś mu mówiło, że teraz wiele się zmieni.

Ignacy podszedł do Dominika i Józka, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko słyszeli. Wciąż byli zajęci intensywną pracą. Przybijali deski, chociaż na dworze już szarzało. Słońce zachodziło. To, jak dużo udało im się dokonać w ciągu jednego zaledwie dnia, robiło wrażenie. Solidny, do tego ładny kurnik był prawie gotowy.

– Kończcie robotę – powiedział dziedzic Łącki. – Trzeba wam odpocząć. Jutro jedziemy na targ.

Dominik się wyprostował. Doskonale to znał. Pomagał zarówno mamie, jak i ojcu. Było to w domu zawsze duże wydarzenie, do którego starannie się przygotowywano. Marzył o tym, by kiedyś jeździć z rodzicami, którzy zawsze zabierali Franciszka.

– O której wyjeżdżamy? – zapytał.

Józek dyskretnie kopnął go w kostkę. Powinien był zwrócić się z tym do Walentego. Pan Łącki zresztą wzruszył ramionami, jakby nie wiedział.

– Jak się zbierzemy – odparł Walenty wymijająco.

Dominik spojrzał na niego zaskoczony. U nich w domu zawsze starali się być pierwsi, a przynajmniej na samym początku, żeby dawać okolicy przykład pracowitości i odpowiedzialności.

– Pewnie wszystko przygotowane – powiedział Dominik, przybiwszy ostatnią deskę. – Ale jakby co, to ja mogę jeszcze pomóc.

– Jutro będziemy o tym myśleć. – Walenty po raz drugi wzruszył ramionami.

– Jutro?! – zdumiał się Dominik, a Józek, który nieopatrznie przeszedł na drugą stronę kurnika, żeby pozbierać odpadki desek, pożałował tego. Młodego Podhorskiego należało bez przerwy pilnować. – Jak to? – zapytał. Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Przecież trzeba było popakować jajka do koszyków, sery, śmietanę, chleby, wybrać zwierzęta na sprzedaż, wszystko starannie przygotować, zabezpieczyć. Kto rano zdąży z taką robotą? Przecież targ zaczyna się o świcie!

Pani Łącka wyszła na chwilę poszukać męża. Chciała się z nim podzielić wiadomością, że czuje się lepiej, a przy okazji zaczerpnąć świeżego powietrza. Usłyszała tę rozmowę.

– Jeśli chcesz, przygotuj wszystko dzisiaj – powiedział Ignacy, po czym odwrócił się.

Józek zaklął cicho pod nosem. Dodatkowa robota! Coś, o czym marzy każdy człowiek po ciężkim dniu. Jeśli Dominik nie zmieni swojego zachowania, będą to we dwóch ciągnąć. Całe wielkie zaniedbane gospodarstwo. A mogło być tak dobrze. Nikt tu nikomu nie patrzył na ręce. Wystarczyło tylko się nie odzywać.

Państwo Łąccy odeszli już w stronę domu.

– Dziwny ten parobek – powiedziała Anna. – Okropnie pyskuje. Chyba najgorszy ze wszystkich,

jakich kiedykolwiek mieliśmy.

– Myślę, że się mylisz, moja duszko – odparł jej mąż i objął ją za ramiona. – Mnie się wydaje, że to najlepszy sługa, jaki nam się kiedykolwiek trafił. Coś umie, a to się tak często nie zdarza. Na dodatek chce mu się robić – dodał z pewnym zdumieniem, jak człowiek, który przypatruje się nieznanemu zjawisku.

Jednak nie poświęcił tej obserwacji zbyt wiele czasu. Ledwo przekroczyli próg domu, zapomnieli o nowym parobku. Skupili się na własnych sprawach. Służba to był inny świat, oczywisty jak podłoga pod stopami, krzesło, na którym się siada czy łóżko do spania. Póki działała, nikt o niej nie myślał.



Była druga w nocy, kiedy wściekły Józek skończyć układać ostatnie jajka w koszyku.

– Dziury takie, że wszystko wyleci – narzekał Dominik.

– Przecież to nie twoje, odczep się od nich. – Jego przyjaciel był zły i bardzo zmęczony.

– Poza tym dlaczego oni mają tak mało wszystkiego? – Podhorskiego to nie powstrzymało. – Gospodyni mi pokazała. Dwadzieścia serów na targ wiozą. Z takiego gospodarstwa dwa koszyki jajek?! Wiesz, ile u nas w Podhorowie tego było?

Tak. Józek wiedział, bo jeździł pomagać. Dźwigał ciężkie skrzynie i kosze. Też mieli dwie wioski, ale tam całość funkcjonowała bardzo dobrze. Zbiory były najczęściej obfite, bo dbano o pola. Wszystkie produkty starannie policzone, zapakowane, nic się nie marnowało. Pani Podhorska gospodarską ręką pilnowała każdego szczegółu.

Józek nie miał już siły o tym myśleć ani mówić. Chciało mu się tylko spać.

– Posłuchaj – powiedział. – Musimy tu jakiś czas przeczekać. Pozwól nam przetrwać. Nie odzywaj się, a przede wszystkim nie budź jutro wszystkich, żebyśmy godnie pojechali jako pierwsi na targ. To nie jest twoja sprawa. Niech oni sami bronią rodzinnego honoru. Co cię to obchodzi?

Dominik usiadł na drewnianej skrzynce. Opuścił ramiona.

– Masz rację. Przepraszam – powiedział zrezygnowanym tonem. – Chodźmy spać.

Zamknął drzwi stodoły. Wprawdzie pokazano im miejsce w szopie, gdzie mogli spać na byle jak skręconym drewnianym łóżku przeznaczonym dla parobków, ale Dominik uznał, że oczywiście całą szopę trzeba natychmiast wyremontować, poprawić koślawy dach, zbić lepiej łóżka, naprawić sienniki, w których prawie nie było słomy, i zrobić mnóstwo innych rzeczy, zanim ktokolwiek będzie mógł tam bezpiecznie przebywać.

Józek powzdychał tylko cicho, po czym obaj zdecydowali, że tę noc spędzą jeszcze tutaj, na sianie.

– Ten dwór też zburzysz i zbudujesz na nowo? – zapytał, moszcząc się wygodnie wśród pachnących źdźbeł.

– Nie – uspokoił go Dominik. – Śpij spokojnie. Zobaczysz, jutro będę parobkiem jak marzenie. Słowem się nawet nie odezwę.

– Pamiętaj, masz nas nie budzić.

Józek z ulgą rozprostował kości. Postawienie kurnika w jeden dzień było wyzwaniem. Wprawdzie w środku nic nie zrobili, ale Dominik uparł się, że drób musi przed nocą mieć przynajmniej dach nad głową. Zasuwali więc ostro, a Józka wciąż wszystko bolało. Dominik nie pozwolił zrobić przerwy. Sam zaangażował się w te czynności, jakby jego życie zależało od tego, czy jakaś kura spędzi bezpiecznie noc.

Miał nadzieję, że Podhorski też padnie i o świcie będzie chrapał w najlepsze, a nie pokazywał tym dziwnym gospodarzom, jak się prowadzi dwór.

Mylił się. Ledwo pierwszy głupi kogut zapał, Podhorski był już na równych nogach. Miał to we krwi. Targ to ważne wydarzenie jak żniwa czy też Niedziela Wielkanocna, kiedy trzeba się zrywać na pierwszą mszę bladym świtem.

Ale nie budził Józka. Cicho się zebrał, wyszedł do stodoły i poszedł tarmosić Walentego.

– A ty czego?! – Mężczyzna ani myślał wstawać.

– Targ jest przecież – powiedział cicho Podhorski. Jakby to wszystko wyjaśniało.

Rozszczękały się psy we dworze, rozbudzone ruchem w obejściu. Trzy koguty darły się jeszcze głośniej, jakby chciały podkreślić, że jeśli chodzi o pobudkę, to jest to ich rola.

Walenty wstał, klnąc siarczyście, po czym zaczął wzuwać buty. Potem wyprowadził konie i przygotował wóz.

– Zobaczysz, zanim państwo się zbiorą, będziemy tu stać jak te dwa głupki! – narzekał.

W tym momencie ze stodoły wyszedł Józek, blady i zmęczony. Pomagał ładować niewielką ilość towaru przeznaczonego do sprzedaży. Szybko się z tym uwinęli. A potem przyszło im czekać.

Oczywiście nie bezczynnie, bo Dominik zapędził ich do roboty w stajniach. Nie godziło się zostawiać nieoporządkowanego gospodarstwa i wyjeżdżać. W domu wciąż panowała cisza.

Rzeczywiście dopiero półtorej godziny później drzwi dworu się otworzyły i wyszli państwo. Wyszukowani jak na odpust. Siedli do bryczki, zabierając ze sobą córkę.

– Weźcie jeszcze dwie jałowice z tamtego roku. Sprzedamy je! – krzyknął pan Łacki do parobków, a Walenty skinął brodą na Dominika, żeby on to zrobił.

– Ale które? – zapytał zaskoczony Podhorski.

– Wybierz coś.

– Ja mam wybrać? Nie zaplanowaliście tego wcześniej?! Nie przemyśleliście?!

– Zamknij pysk, bo cię lutnę! – zdenerwował się w końcu Walenty. – Ile można wytrzymać?! Wynocha do stajni, bierz dwie jałowice i się wracaj, bo musimy wozem za państwem nadążyć!

Józek ruszył jako pierwszy. A Dominik, mruczając coś pod nosem, ruszył za nim. Był w szoku. Nikt jeszcze się do niego takim tonem nie zwrócił. Ale tym razem się opanował. Walenty nie był niczemu winny. Miał przed sobą parobka i swoje prawo tak go traktować. Podhorski przełknął więc upokorzenie.

Wszedł razem z przyjacielem do stajni.

– Czekaj – powiedział. – Zrobmy to przynajmniej dobrze.

Przeszedł się wzdłuż przywiązanych do żłobków młodych krów, wybrał dwie, które jego zdaniem najlepiej się nadawały. Poglaskał je po szyjach.

– Znajdę wam dobre miejsce – obiecał szeptem, bo Józek już i tak patrzył na niego zniecierpliwiony.

Potem przywiązali zwierzęta postronkiem do wozu.

– Szybko za państwem nie pojedziemy, bo zwierzęta nie nadażą – narzekał Walenty.

– Gdyby nas uprzedzili, moglibyśmy wyjechać wcześniej – odezwał się Dominik.

– Powiedział tyle, ile ja sam wiem – wymamrotał Walenty. Planowanie w tym dworze się nie odbywało. Ten głupi parobek musiał wreszcie to pojąć.

Walenty smagnął konia lejcami i ruszył tak, że Józek z Dominikiem ledwo zdążyli wskoczyć na wóz. Krówki biegły za nimi.

Jechali powoli w dół stromą drogą, którą jeszcze niedawno obaj mężczyźni pokonywali pieszo. Słońce stało już wysoko nad horyzontem, więc kiedy wreszcie dowlekli się na miejsce, cały plac targowy był już zajęty. Musieli szukać jakiegokolwiek miejsca, by postawić wóz i sprzedawać produkty.

Dominik już nawet tego nie skomentował.

– Musisz uważać na tym targu – powiedział do niego Józek. – To dużo ludzi. Nie rzucaj się w oczy. Najlepiej nie odzywaj. Stoimy tu i pilnujemy dobytku. Jak trzeba, odpowiadamy grzecznie na pytania. Grzecznie – powtórzył z naciskiem. – W razie czego mało rozumiesz, mało wiesz, nie jesteś od tego. Targował się będzie Walenty, chyba że pan Łacki sam przyjdzie.

Rzeczywiście po godzinie gospodarz ich odnalazł i sam pilnował sprzedaży żywego inwentarza. Dominik z przyjemnością zauważył, że Łacki jednak coś potrafi. Dobrze wybierał nowych właścicieli dla swoich zwierząt. Nie trzeba było interweniować.

Właściciel dworu wyraźnie cieszył się otrzymaną gotówką. Planował już, co kupi dla córki i żony.

– Możecie na chwilę iść pokręcić się po targu! – zawołał do parobków – Ale zaraz mi wracać. Nie mitrzyć czasu.

Taki był obyczaj, że służba mogła trochę pochodzić pomiędzy straganami, pooglądać te

wszystkie piękne rzeczy, na które najczęściej nie było jej stać.

Ignacy Łącki rzucił im po niewielkiej monecie, by mogli sobie kupić słodką bułkę albo jakiś inny drobiazg. Józek złapał w lot, a Dominik z pewnym trudem. Był zaskoczony. Nie spodziewał się, ale cóż, szybko się opanował. Jałmużna w jego stanie rzecz normalna.

– To kawałek zapłaty – tłumaczył Józek. Rozumiał go. Na pewno nie jest łatwo przyzwyczać się do takiej gwałtownej zmiany. Stać się z dnia na dzień kimś zupełnie innym. – Chodź – powiedział serdecznym tonem. – Pooglądamy sobie konie. Ponoć Cyganie przywieźli piękne araby.

Zaczęli się przeciskać w tłumie. Trzeba było bardzo patrzeć pod nogi, bo co rusz ktoś stał i pokazywał swoje dobra na sprzedaż. Mniejsze zwierzaki, warzywa, jajka, koszyki, grabie, sery, po prostu wszystko. Rejwach panował niesamowity. Świnie kwiczały, kury gdakały, krzyczały jakies dzieci, ludzie się nawoływali, targowali głośno. Słychać było rzenie koni. Dalej po drugiej stronie stały kramy ze sprawunkami dla kobiet. Chusty, wstążki, spódnice, korale. Tam też panował spory ruch.

Dominik zobaczył pannę Łacką i jej matkę.

– Chodźmy w tamtą stronę – zaproponował Józek, a on zgodził się, że to dobra myśl. Ciągle trzymał się swojego szalonego pomysłu. Miał ku temu logiczne podstawy. Dla takich marnych gospodarzy Józek to byłby wymarzony zięć.

Westchnął szybko. Choć była to czysta prawda, oni oczywiście nigdy tego nie zrozumieją. Myślą, że są lepsi od tego, kto urodził się w chłopskiej chacie, oni zaś od razu ze szlacheckim nazwiskiem. A tymczasem gdyby takiemu Józkowi dać dwór, pięć razy lepiej by sobie poradził.

Dominik czuł, że nie zazna spokoju, dopóki przyjaciel nie będzie bezpieczny. To była jedna z tych rzeczy, które w tej dramatycznej sytuacji trzymały go przy życiu. Znaleźć dla Józka, który stracił wszystko, jakieś dobre miejsce, bezpieczny dom.

Panienka Łacka i jej matka zniknęły im z oczu, zanim zdążyli dojść w tamtą stronę.

– A może tak mały kufel piwa? – zapytał Dominik. Dalej za kramami był niewielki stragan z piwem i kiełbasą. Kręcili się tam gospodarze.

– Nie wiem. – Józek miał wątpliwości. – To trochę niebezpieczne. Za dużo panów. Ale tam dalej też coś jedzą i piją. Więcej służby widzę i prostych ludzi. Sprawdźmy, co mają.

Ruszyli w tamtą stronę.

ROZDZIAŁ 24



Powinnaś sobie sprawić nową chustę – powiedziała pani Łacka do córki. – Taką cieńszą na cieplejsze dni. Wiosna w pełni, może też jakieś korale?

Julianna obojętnie omiatała wzrokiem wystawione na straganie błyskotki, które tak bardzo podobały się mamie. Chciała pójść na drugą stronę. Stał tam zielarz i miał różne specyfiki. Była ciekawa, czy jest coś, czego nie zna. Ale mama nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Patrz. – Pociągnęła ją nagle z wielkim przejęciem i Julianna odwróciła głowę. Stały przy straganie, na którym wystawione były niemowlęce ubranka.

– Mamo, proszę cię – wyszeptła przerażona. Nie zdążyła opanować emocji, bo tak bardzo została zaskoczona. – Ludzie się dowiedzą. Chcesz, żeby już teraz gadali?

– Nie, ale chociaż obejrzyjmy. – Pani Łacka nie mogła się powstrzymać i pogłaskała malutki kaftanik.

– Przecież same uszyjemy dla niego wyprawkę – powiedziała cicho Julianna, a potem odsunęła matkę. Było już jednak za późno. Niektórzy ludzie zauważyli, że pani z dworu ogląda dziecięce ubranka. Dziwne myśli zaczęły im chodzić po głowie. – Wybiorę tę chustę – zdecydowała panienka głośno, żeby odciągnąć myśli matki ku innemu tematowi.

Podeszły do dużego straganu położonego niedaleko miejsca, gdzie kłębiło się mnóstwo mężczyzn, pijąc piwo. Szerokie chusty, obficie wystawione, zasłaniały stojące po drugiej stronie kobiety, tak, że tworzyły się dwa odrębne światy.

Mama zaczęła wybierać wśród kolorowych materiałów.

– Popatrz, jaka śliczna niebieska haftowana w kwiaty! Albo ta kremowa! – Nie mogła się zdecydować.

Julianna podniosła głowę, bo wydawało jej się, że usłyszała głos Żalczyka. Pociągnęła mamę za ramię pod pozorem oglądania jeszcze jednej chusty. Zielonej.

– Skoro mówię, że panna Łacka ma jakiś feler, to mam rację! – Teraz głos dobiegł już całkiem wyraźnie. – Inaczej bym zaręczyn nie odwołał.

– Ty żeś odwołał? – zapytał ktoś drwiąco. – A może ona cię pogoniła?

Temu komentarzowi towarzyszył wybuch śmiechu wśród słuchających.

– Skoro mnie wybrała, to miała powód! – pieklił się Żalczyk coraz głośniejszym głosem. Musiał być mocno zdenerwowany. – A skoro ja zrezygnowałem, to też nie bez przyczyny! Panna Łacka ma poważną usterkę.

Obie kobiety wiedzione jednakową niebezpieczną ciekawością odsunęły rząd chust i spojrzały w tamtą stronę. Towarzystwo było w komplecie. Stary Żalczyk, Maślarz i Jackowski, chudy jak zawsze. Czekwały, czy ktoś na tę zniewagę odpowie, stanie w obronie panienki.

Jackowski nieco się pochylił w stronę Żalczyka i wyraźnie był oburzony jego słowami, ale bał się rozpocząć bójkę. Był zasadniczo dość słabowity i nawet jako dziecko zawsze uciekał, kiedy zaczynała się jakaś awantura.

– Panienka nie jest taka – odezwał się słabo Maślarz.

– Naprawdę?! – zawołał Żalczyk. – Wiesz coś o tym?! Pojechała cię odwiedzić?.

Podszedł do niego bliżej. Rozwścieczony jak kogut gotowy do walki.

– Nie. – Mężczyzna pospiesznie opuścił głowę.



Pani Łacka szybko zasłoniła szparę w wiszących chustach, przez którą podglądały mężczyźni. Dłużej nie mogła tu stać. Ktoś mógłby je rozpoznać. Skandal już się czaił, gotów do uderzenia.

– Widzisz, mamo, jakie by mnie czekało życie? – powiedziała cicho Julianna. – Jeden kłamca i dwóch tchórzy. Tylko taki miałam wybór.

Anna nie zdążyła jej odpowiedzieć.

– A może to panienka miała powód? – rozległ się nagle jakiś nieznamy męski głos. – I pan dobrze o tym wie!

– Nasz parobek? – zdumiała się pani Łacka, spoglądając znowu przez chusty. – Tak bezczelnie mówi do gospodarzy? Trzeba go będzie natychmiast zwolnić!

On sam już jednak zniknął, gwałtownie pociągnięty przez kogoś w tłum. Żaden z obecnych gospodarzy go nie rozpoznał. Ani trzech konkurenci Julianny, ani inni zgromadzeni tam mężczyźni.

– A któż to był? – zapytał Maślarz.

– Ja nie wiem – zawołał Żalczyk i wlał w siebie kolejny kufel piwa. – Jakiś bezczelny głupek gada, sam nie wie co.

Ale ziarno niepokoju zostało zasiane i zgromadzeni mężczyźni wcale już nie tak chętnie chcieli rozmawiać źle o Juliannie. Szanowali tę młodą dziewczynę. A prawda była też taka, że nikt jej nigdy nie widział w męskim towarzystwie. To, co sugerował Żalczyk, nie mieściło im się w głowach.

– Jednak ktoś stanął w mojej obronie – powiedziała Julianna, ale matka tylko objęła ją w pasie i pociągnęła w drugą stronę.

– Idziemy. Nie byłoby dobrze, żeby nas tu ktoś widział. I tak miałyśmy dużo szczęścia. Zapamiętaj sobie! Nic się nie wydarzyło. Słowa jakiegoś parobka nie mają żadnego znaczenia. Żadnego! – powtórzyła z naciskiem. – Zapomnij, że je w ogóle usłyszałaś. Nie uchodzi, żeby panienki bronił ktoś taki. Mówiłam, nie drażnij Żalczyka. – Zdenerwowana stawiała kolejne kroki, omijając kałuże. – Zraniony mężczyzna zawsze robi się zły i niebezpieczny. Będzie się mścił, rozpuszczał bezsensowne plotki. Tego ci teraz trzeba?! I tak przecież za któregoś z nich będziesz musiała wyjść za mąż. A co, jeśli pozostali dadzą mu wiarę?

Julianna nie odpowiedziała. Sądziła, że temat ślubu na razie jest zamknięty. Bezpiecznie się od niego uwolniła, a tymczasem tak szybko wrócił i to chyba w jeszcze gorszym wydaniu.

Znowu mam wybierać? – zastanawiała się przestraszona. – Przecież nie jestem już jedyną dziedziczką.

Matka zapomniała na chwilę o chustach i wszystkich innych sprawunkach, które miała zrobić. Podeszła do męża, który z zadowoleniem pakował pieniądze do kieszeni, sprzedawszy drugą jałówkę.

– Wracamy do domu – powiedziała. – Gorzej się czuję.

– Oczywiście, duszko – wystraszył się, po czym nakazał parobkom, by posprzedawali resztę rzeczy i również wozem wracali do dworu. Wcześniej jednak mieli sprzedać tyle, ile się da. Nie było to trudne, zostało tylko trochę jajek i pięć kawałków sera.

Państwo poszli w stronę bryczki, której pilnował jeden z chłopców stajennych, wsiedli i ruszyli.

Józek doprowadził Dominika w bezpieczne miejsce. Już nawet nie miał siły się złościć. Na szczęście nikt ich nie rozpoznał. Bogu dzięki ani Walentego, ani nikogo z Łackich nie było w pobliżu, kiedy Podhorski zachowywał się jak szlachcic i chciał bronić honoru dziewczyny. Dzięki temu mogli bezpiecznie wrócić do domu.

Wciąż tu mieszkali. Dostali obiad i zajęli się popołudniowymi czynnościami w gospodarstwie.

Dobry i jeden dzień – pomyślał Józek, który zmienił taktykę i przyzwyczyił się do myśli, że to długo nie potrwa. Zadanie, by zamienić Dominika Podhorskiego w uległego parobka, okazało się niezwykle trudne do wykonania. Być może nawet niemożliwe.

ROZDZIAŁ 25



Po kolacji Julianna wyszła do ogrodu. Usiadła na huśtawce, którą kiedyś zrobił dla niej tata, gdy była jeszcze dziewczynką. Pamiętała, jak piszcziała, fruując wtedy wysoko. Kołysana przez niego pędziła pod niebo, po czym wracała w jego bezpieczne ramiona.

Teraz siedziała w tym samym miejscu, przygnieciona poważnym zmartwieniem, co zrobić dalej ze swoim życiem. Ścieżka była prosta, a na jej życzenie się skomplikowała.

Mama grała właśnie jakiś trudny utwór Bacha, co robiła zawsze, gdy się denerwowała. Julianna podziwiała jej umiejętności. Sama potrafiła tylko wystukać kilka prostych melodyjek, nigdy bowiem nie chciało jej się ćwiczyć. Nie odziedziczyła po mamie muzycznych talentów.

Nagle drgnęła. Zobaczyła bowiem, jak od strony lasu idzie ten dziwny parobek.

Wiedziała, że to nie jest zwyczajny chłopski syn, coś go wyróżnia. Postanowiła wykorzystać okazję i to sprawdzić.

Mężczyzna szedł przez sad przygnębiony, zmarnowany, z pięściami mocno zaciśniętymi w kieszeniach. Jakby był zły na cały świat. Głęboko zamyślony nawet jej nie zauważył, ale chyba słyszał muzykę, bo spojrzał w okno, skąd docierały dźwięki.

– Piękny mazurek Chopina – powiedziała Julianna, a on drgnął zaskoczony, po czym oczywiście, tak jak się spodziewała, odpowiedział odruchowo:

– Na litość boską, to jest Bach!

A potem zreflektował się szybko. Miała wrażenie, że chciał przyłożyć sobie dłonie do ust. Ale było już za późno.

– Tak sądziłam – odezwała się Julianna. – Wpadłeś w prostą pułapkę. Jak na parobka otrzymałeś niezłe wykształcenie.

– Nic to! – powiedział ze złością. – Po prostu mój ojciec był nauczycielem muzyki. Bardzo biednym, najbiedniejszym – dodał prędko, a ona czuła, że kłamie.

– Nie musisz mi opowiadać takich historii – powiedziała spokojnie. – Nie będę od ciebie żądać prawdy ani odkrywać na siłę tajemnic. Ale musisz wiedzieć, że nie jestem słodką panienką jak inne. Mam mózg. Więc nie kłam.

– Przepraszam. – Dominik zatrzymał się przy drzewie i oparł się o nie, jakby nie mógł zrobić kolejnego kroku dalej. – Rzeczywiście to nieprawda. Jeszcze raz przepraszam panienkę.

Tym razem w jego głosie zabrzmiała szczerłość. Julianna wpatrywała się w niego intensywnie. Wyglądał jak człowiek dogłębnie złamany wielkim cierpieniem. Zrobiło jej się go żal, a on przysiadł pod drzewem, złożył ręce na kolanach, oparł głowę o pień i po prostu siedział, jakby mu było wszystko jedno, co ona sobie pomyśli, co się z nim stanie.

– Co oni ci zrobili? – zapytała odruchowo w spontanicznym odruchu serdeczności i współczucia.

Odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Cierpienie było ogromne. Nie mieściło się w jego złamanym sercu. Wyraźnie nie chciał o sobie mówić, ale jedno zdanie mimochodem wydostało się na zewnątrz. Widocznie nie mógł już wytrzymać milczenia.

– Strzelili do niej, rozumiesz? – powiedział cicho. – W dniu wesela! Do panny młodej! Ubranej na biało! Strzelili! – wypowiadał te słowa niezwykle powoli, pojedynczo, jakby chciał oddać rozmiar tych niemożliwych do pojęcia faktów.

– Rozumiem. – Julianna poczuła, jak ściska jej się serce. Musiał stracić narzeczoną i to w najgorszych do wyobrażenia okolicznościach. Bardzo mu współczuła.

On pochylił głowę i oparł ją w dłoniach. Nie wiedziała, czy płacze, czy po prostu zastygł w niemej rozpacz.

Zerwała się wiedzona odruchem lekarza, kogoś, kto pomaga w potrzebie. Objęła go i przycisnęła jego głowę do piersi.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Ogromnie.

Widziała już w swoim życiu ludzi o pękniętych sercach, którzy przeżyli tragedie tak niewyobrażalne, że ludzka psychika nie jest w stanie tego pomieścić. Nie chciała dawać mu taniej pociechy, tylko po prostu być obok. Wesprzeć.

Chwilę później jednak poczuła, że dotyk tego mężczyzny jest dla niej bardzo przyjemny. Widać nie zawsze tak było, jak przy Żalczyku. Tu obok tego człowieka mogłaby trwać całą noc. Pozwalać mu się obejmować, dotykać, rozmawiać z nim. Odkryć tajemnicę, którą w sobie nosił.

To było zupełnie nowe doświadczenie. Niestety niedobre. Może gdyby tego nie wiedziała, łatwiej byłoby znieść jakieś beznadziejne małżeństwo. Nie miałaby świadomości, co traci. Jak przyjemne ciepło rozplywa się po całym ciele, kiedy jest się blisko kogoś, kto staje się fascynujący. Ten mężczyzna bardzo ją pociągał i ciekawił.



Odkryła nagle, co miała na myśli prababcia, upierając się przy małżeństwie z miłości. Jakby

w ciągu tych kilku minut rozpostarł się przed nią zupełnie nowy, nieznaną świat, o którego istnieniu wcześniej nie wiedziała. Chciała to jak najlepiej poznać, zrozumieć, co się dzieje. Mocniej przytuliła się do tego mężczyzny i to okazało się jeszcze piękniejszym doznaniem.

Ale szybko się skończyło.

– Idź, panienko, do domu – powiedział do niej Dominik. Wyswobodził się i odsunął. – Byłoby niedobrze, żeby cię tutaj ktoś ze mną zobaczył.

– Nic mi nie będzie! – zaprotestowała. – Nie znasz mnie, panie. Leczę ludzi, nie boję się ludzkiej opinii.

– Nawet nie wiesz, co mówisz. – Spojrzał na nią jak na dziecko.

A ona czuła, że znów chce się do niego przytulić. Nie po to, żeby go pocieszyć, ale by sama znaleźć odrobinę otuchy. Odkryła nagle, że jest na świecie takie źródło dobrych doznań – obecność drugiego człowieka. Nie babci czy mamy, lecz mężczyzny. Szumiało jej w głowie.

– Idź, panienko – powtórzył Dominik, a potem ruszył w stronę stodoły. Ani razu się nie obejrzał.

Miała ochotę za nim pobiec, ale to oczywiście byłaby przesada. Stała więc w miejscu, lekko się tylko zachwiała, jakby ciało samo chciało natychmiast ruszyć za oddalającym się mężczyzną.

Potem jednak poszła do domu, okrążając dwór od drugiej strony. Serce mocno jej łomotało.

Co takiego właściwie się wydarzyło? Nie mogła zrozumieć. Przyjęli pod swój dach kogoś dziwnego. Jeśli to było właśnie zapowiadane przez prababcię wybawienie, to chyba jednak Antoninie nie poszło zbyt dobrze.

Jeszcze tylko tego brakowało – pomyślała Julianna, wchodząc do środka i przykładając na chwilę rozpalone nagle czoło do chłodnych baniek na mleko wystawionych na komodzie w sieni. – Tego brakowało – powtórzyła – żebym się zakochała w parobku!

Tego ród Łackich już by nie zniósł. Mniejsze czy większe skandale trafiają się każdemu, ale są takie, których nikt nie udźwignie. To byłoby okropne. Gorszy wstyd niż prababcia znachorka.

Tu już nie ma żadnych okoliczności łagodzących.

Wielu ludzi było wdzięcznych Antoninie za uratowanie zdrowia i choć publicznie się do tego nie przyznawali, to jednak trochę to chroniło rodzinę Łackich. Ale romans jedynej córki ze służą, na dodatek przybłądą, o którym nikt nic nie wie, stałby się plamą niemożliwą do zmycia. Julianna doskonale o tym wiedziała.

Odsunęła się, wyprostowała i poprawiła spódnicę.

Co za bzdura?! – pomyślała, a potem spokojnie poszła do swojego pokoju. Postanowiła zapomnieć o wydarzeniach sprzed kilku chwil.

ROZDZIAŁ 26



Rano spała dłużej i obudził ją dopiero tupot stóp. Ktoś biegł przez jadalnię, a później dość gwałtownie zapukał do czyichś drzwi. Zaraz potem usłyszała kolejne szybkie kroki. Kierowały się w tę samą stronę. Podejrzewała, że to sypialnia jej matki.

Zerwała się i pospiesznie włożyła szlafrok. Strach ścisnął ją za gardło. Miała nadzieję, że nic się nie stało mamie ani temu małemu dzieciaczkowi. Szybko zbiegła po schodach. Wpadła do środka bez pukania, ten jeden jedyny raz w życiu, bo tak wielkie niosły ją emocje.

– ...i gadają, że nasza panienka jest w ciąży – usłyszała głos niezwykle przejętej bony. Ojciec stał pod oknem blady i zdenerwowany, mama wciąż leżała w łóżku.

– Słucham?! – Julianna zatrzymała się w miejscu.

Rodzice spojrzeli na nią przestraszeni.

– Ludzie widzieli, jak oglądacie ubranka dziecięce na targu – powiedziała Stanisława. – Usłyszałam to dzisiaj wcześniej rano w kuchni, pomywaczka przyniosła plotki, i od razu przybiegłam, żeby powiedzieć. Trzeba się ratować, bo taka wieść poniesie się jak błyskawica, a jeszcze do tego te zerwane zaręczyny z Żalczykiem...

Julianna miała wrażenie, że bona lubuje się tymi mocnymi plotkami.

– To jakaś bzdura! – powiedziała szybko. – Mamo? – Spojrzała w stronę pani Łąckiej, a ona tylko ciężko westchnęła.

– Widzisz, miałas rację. Źle zrobiliśmy. To moja wina. Powinam być bardziej rozważna. Ale nie przejmuj się. Dziś niedziela. Pojedziemy do kościoła i tam po prostu przyznam się paru najważniejszym osobom, że noszę pod sercem dziecko. Nie ma innego wyjścia, inaczej cię nie uratujemy.

Julianna usiadła na krześle stojącym pod oknem. Nagle zabrakło jej sił. Wszystko toczyło się w coraz gorszym kierunku. Straciła dwór, a teraz dobre imię. Było jej strasznie wstyd, że w ogóle ludziom przychodzi do głowy takie rzeczy. Przecież dobrze ją znali, a wystarczyła jedna mała rzecz, a już zaczęli gadać, wierzyć w takie bzdury. Jakże płocze są ludzkie opinie i zdania! Jak łatwo nimi manipulować!

– Nie martw się, córeczko. – Pani Łącka wstała z łóżka. – Poradzimy sobie z tym. – Skinęła głową na bonę, by wyszła. Trochę była na nią zła, że się wtrąca do rodzinnych spraw, ale jednocześnie też wdzięczna.

– Dziękujemy – powiedziała, co Stanisława przyjęła z wielkim zadowoleniem.

Rzeczywiście zostali ostrzeżeni. To ważne, bo gdyby paradnie pojechali do kościoła i tam stanęli twarzą w twarz z tymi oszczerstwami, być może ojciec nie zdołałby zachować spokoju, a tak mógł się przynajmniej przygotować.

– Pojedziemy na sumę – zarządziła matka, kiedy bona zamknęła już za sobą drzwi. – Będzie najwięcej ludzi, w tym pewnie wszyscy twoi zalecający się. Może się jeszcze zastanowisz, czy sprawę można odkręcić?

Spojrzeła na córkę z nadzieją. Bardzo lubiła łatwe rozwiązania.

– Co masz na myśli? – zapytała Julianna. – Znowu chcesz, żebym wybierała męża? Przecież ich wszystkich wczoraj widziałas! Jakie życie by mnie przy nich czekało?

– Los kobiety – westchnęła tylko mama. – Innego nie masz. Co ci pozostanie w przyszłym roku? Następne młode panienki staną do wyścigu, a mężczyzn naprawdę niewielu. Przemyśl to dobrze.

Julianna kiwnęła głową, po czym wyszła z sypialni matki i ruszyła na górę, żeby się ubrać. Włożyła ładną liliową sukienkę i pozwoliła uszczęśliwionej bonie ułożyć sobie włosy. Milczała przy tym przez cały czas, a kobieta trajkotała, opowiadając wciąż o tych samych plotkach. W końcu zniecierpliwiona Julianna poprosiła ją, by przestała, po czym wyszła z pokoju.

Sniadanie było już gotowe, ale ona machinalnie wzięła tylko jedną bułkę do ręki.

– Idę zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedziała do gospodyni.

Rodzice jeszcze nie usiedli do stołu. Długo o czymś rozmawiali w sypialni, pewnie o niej. Wyszła na podwórko i czujnie się rozejrzała. Nie chciała się sama przed sobą przyznać, że szuka tego parobka. Chce mu się przyjrzeć.

Podwórko było pozamiatane i co ciekawe, zniknęły nawet chwasty z okrągłego klombu przed dworem. Nie miała wątpliwości, kto za tym stoi.

Kiedy on je wypielił? Wczoraj w nocy? Dzisiaj bladym świtem? Była niedziela, nie godziło się robić takich rzeczy. Poszła w stronę stodoły i zajrzała do środka. Było pusto. Nie chciała się kręcić zbyt blisko stajni. Zerknęła więc tylko w stronę warzywnika.

Był tam. Pochylał się i ze złością wyrывał jakieś rośliny, po czym ciskał je w kąt.

– Nie wypada tak pracować w niedzielę – odezwała się, a on gwałtownie się wyprostował mocno zaskoczony.

– Niedbalstwo też jest grzechem – odparł szybko. – Dzień dobry, panienko – zreflektował się i dodał łagodniej. – Już kończę. Chciałem tylko trochę podziać, zanim rodzina wstanie, ale obiecuję, że od tej pory będę grzeczny. Poświętuję z wami ładnie.

Zdumiała się tym nagłym zwrotem, a potem roześmiała. Miły był, ciekawił ją, chciała z nim rozmawiać i słuchać tego, co jeszcze będzie miał do powiedzenia. Ale on tylko uklonił się i ruszył w stronę stajni. Tam kończyli poranne prace. Zniknął za drzwiami, a ona nie mogła pójść za nim. Wróciła więc do domu i usiadła przy stole.

Rodzice właśnie wyszli ze swojej sypialni. Nie zdążyli jednak dołączyć do córki, bo nagle wszyscy usłyszeli turkot kół, a zaraz potem szczekanie psów.

– Mamy gości o tak wczesnej porze? – zdumiała się pani Łącka. – To na pewno nie bez powodu – dodała zmartwionym głosem, podchodząc do okna. – Wieści rozeszły się szybciej, niż się spodziewaliśmy. – Jackowski – zameldowała, zerkając przez szparę w firance. – Z matką i kuzynką.

– Pewnie zajrzeli w drodze do kościoła. – Pan Łącki próbował to bagatelizować, ale też był zdenerwowany. Wiedział, że o tej porze nie wizytuje się sąsiadów bez powodu. Wyszedł, by ich przywitać.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, dobrego dnia. – Tym razem to młody kawaler wysunął się naprzód i stanął naprzeciwko pana domu. – Przepraszamy, że tak wcześnie. My tylko na chwilę. Chciałbym zamienić z panną Julianną dwa słowa, jeśli mogę.

Łącki tym razem się zaniepokoił. Już raz zgodził się na taką wymianę zdań i źle się to skończyło. Nie chciał kolejnej awantury.

– Proszę się nie denerwować. – Chudy Jackowski chwiał się niczym trzcina. – Możemy usiąść tu na huśtawce? – Wskazał długą deskę przywiązaną łańcuchami do rozłożystej jabłoni. Była ona widoczna doskonale z progu domu i dawała tylko niewielką ilość prywatności.

– Dobrze – westchnęła Julianna. Też ponad wszystko pragnęła tylko spokoju i zgody w sąsiedztwie. Nie mogli przecież z powodu wiecznych kłopotów z jej zaręczynami zerwać stosunków z każdym sąsiadem. Wszystkim się narażać.

Usiadła na samym końcu huśtawki, a młody Jackowski zrobił dokładnie to samo. Rodzice zaprosili jego matkę i kuzynkę do środka, młodzi mogli więc porozmawiać.

Jacek Arkadiusz bardzo się denerwował. Zaplatał spocone dłonie, a plecy miał przygarbione. Huśtawka się ruszała, co jeszcze bardziej go stresowało. Próbował zatrzymać ją swoimi długimi chudymi nogami.

– Proszę powiedzieć, o co chodzi – pomogła mu Julianna. – Wprost – dodała. – Przecież znamy się nie od dziś.

– Dobrze. – Przyjął jej słowa z ulgą. – Różne takie plotki chodzą po okolicy – powiedział szybko. – Więc ja tylko chciałem powiedzieć i to już od razu z rana, zanim ktoś coś przykrego panience powie, że stoję po stronie panienci. Moja matka także. Nie wiemy, co się stało, ale wierzymy w panienci niewinność. Możemy ogłosić zaręczyny choćby dzisiaj, pod kościołem. Ja się też zajmę dzieckiem – dodał, po czym zaczerwienił się aż po czubki uszu i wbił wzrok w ziemię.

Julianna spojrzała na niego, potem przysunęła się i uścisnęła mu rękę. Była wzruszona.

– Naprawdę to doceniam – powiedziała. – To duża odwaga.

Jackowski ucieszył się wyraźnie i wyprostował. Wytarł spocone dłonie w spodnie, po czym spojrzał na dwór, jakby się spodziewał, że nadejdą stamtąd nowe instrukcje, co do dalszego postępowania. Nic takiego się nie stało.

– Nie ma jednak takiej potrzeby – zaskoczyła go zaraz potem Julianna. – Pewnie moja matka wyjaśnia teraz wszystko twojej rodzinie. Plotkarze się myślą. To nie ja jestem w ciąży – rzekła. Potem jednak odsunęła się nieco i wypuściła jego dłoń z ręki.

– Nie? – zapytał zaskoczony.

– To moja mama – powiedziała spokojnym tonem.

– Pani Łacka? – Jackowski podobnie jak Żalczyk chyba uważał, że jest ona na to stanowczo za stara.

– Tak. – Julianna kolejny raz tłumaczyła to mężczyźnie, ten jednak reagował nieco lepiej. – Taki dar od losu, późne dziecko – dodała.

Czuła się nieco mniej skrępowana, rozmawiając na takie tematy, bo babcia nauczyła ją, że ludzkie rzeczy są naturalne, ale mężczyzna wyraźnie był zmieszany.

Julianna wstała.

– Bardzo jednak jestem panu wdzięczna – powiedziała. – To dobry gest.

Trochę kręciło jej się w głowie. Zdawała sobie sprawę, że rodzice patrzą przez okno i obserwują tę scenę. Życie daje jej szansę. Żalczyk będzie wciąż rozpowiadał plotki, żeby ukryć swoje upokorzenie. Ta sprawa z ciążą też z pewnością jej się nie przysłuży. Straciła dwór. Ratunek był jej potrzebny i sam przybył do dworu. Czy to była boska opatrzność, prawdziwe zrządzenie losu, które powinna przyjąć z wdzięcznością?

– Ja jeszcze chciałem jedno powiedzieć. – Jackowski chyba dopiero teraz otrząsnął się z zaskoczenia. Podobnie jak dziewczyna podniósł się z huśtawki. – Moja ciotka przyjechała wczoraj i dziś z rana powiedziała nam, że panią Łacka to według niej wymarzona żona dla mnie. Przekáže nam spadek, już teraz spisze testament – dodał wyraźnie uradowany. – To także dlatego moja matka przyjechała tutaj już o świcie.

Ach! – pomyślała Julianna, tracąc wiele ze swoich złudzeń. Pewnie to z tego powodu jej domniemana ciąża okazała się nie takim strasznym problemem. Rodzina Jackowskich uznała, że i tak warto.

– Ja panią kocham – przyznał się nieśmiało Jackowski, chwając się na długich nogach. – Ja bym dla pani dużo zrobił i mnie nie chodzi tylko o te pieniądze. – Patrzyła na niego i miała wrażenie, że jest szczerzy. – Po prostu chciałem, żeby pani wiedziała – dodał żarliwie – Mam do zaoferowania naprawdę dobry los.

Słońce świeciło jej w oczy, utrudniając skupienie się.

Od strony łąki szedł przez trawy ten nowy parobek. Jego koszula bieliła się na tle zieleni. Gryzł źdźbło trawy, jedną dłoń miał schowaną w kieszeni. Był piękny. Niezwykle pociągający. Zupełnie inny niż ten trzęsący się z emocji chłopak, stojący tuż obok niej.

A jednak tamten należał do kompletnie nierealnego świata, a ten tutaj stanowił konkret. Fakt, z którym musiała się zmierzyć.

Tak bardzo chciałaby teraz pobiec do Antoniny, poradzić się. Nagle życie postawiło ją przed wielkim wyborem, a ona nie miała obok siebie nikogo, kto mógłby ją wesprzeć. Po raz pierwszy nie miała też pojęcia, co prababcia by jej podpowiedziała.

Czy wybrać bezpieczeństwo, stabilny los, obok człowieka, do którego nic nie czuła, ale który był szczerzy i kochał ją, czy też gonić za dziwną mrzonką, pozornym wybawieniem, jakie nadeszło z zupełnie niespodziewanej strony?

Mężczyzna podszedł do nich bliżej, ale celowo zmienił kierunek, żeby nie przeszkadzać. Zerknął na nią tylko przez moment. Miała wrażenie, że bez żadnych większych emocji. A ona tutaj chciała dla niego ryzykować życiem.

Dla obcego człowieka o złamanym sercu i tajemniczej przeszłości.

Ewidentna głupota.

Jackowski zaczął gmerać w kieszeni i wystraszyła się, że szuka tam pierścionka.

Wtedy poczuła tę doskonale znaną grozę, która towarzyszyła jej w każdym kontakcie z Żalczykiem. To poczucie, że na szyi zaciska się żelazna pętla, krępuje każdy ruch. Świadomość, że do końca życia nic już się nie zmieni, nie wydarzy. Próba wyobrażenia sobie, że te dłonie dotykają jej ciała, spowodowała, że Julianna cofnęła się i wyciągnęła przed siebie ręce. Wątpliwości minęły.

– Niech pan tego nie robi! – zawołała. – Nie mogę wyjść za pana za męża! Może Joanna Kowalewska – dodała szybko. – Ciotka też ją zaakceptuje, to miła dziewczyna.

Jackowski zachwiał się mocniej, jakby dmuchnął w niego nagły wiatr.

– Dlaczego, panienko?! – zapytał żałośnie. Jemu też trudno to było zrozumieć i Julianna pojęła, że pewnie takich jak on będzie wielu. Większość, może nawet wszyscy.

Ale wiedziała już, że nie może inaczej. Dorosła. Tym razem na dobre. To był ostateczny krok, kiedy zerwała ze swoim dzieciństwem, bezpieczeństwem, tradycją rodową i wszystkim, co ją otaczało.

Zaczynała życie na własny rachunek.

Skinęła Jackowskiemu głową. Uśmiechnęła się blado.

– Proszę pamiętać, że jestem wdzięczna za wszystko, co pan dziś powiedział. Zawsze będę panu dobrze życzyć – pożegnała się, a potem odwróciła.

Szła w stronę dworu, ale na podwórku gwałtownie skręciła i przez sady ruszyła w stronę łąk. Młody Jackowski z pewnością przekaże rodzicom jej decyzję. Nie miała teraz odwagi ani siły, by jechać do kościoła i stawić czoła wszystkim zgromadzonym tam ludziom.

Wszystko miało się zmienić. Od tej pory była sama.

Przerażające, ale też niezwykle wspaniałe uczucie. Podjęła własną decyzję i była z niej dumna. Wiele trudów czeka kobietę, jej los nigdy nie jest łatwy. Ale ona już wiedziała, że jedna z najgorszych rzeczy, jaka może ją spotkać, to życie bez miłości.

Puste, choćby i nawet bezpieczne.

Pomyślała o parobku, który doskonale znał muzykę Bacha i świetnie pracował we dworze. Ten mężczyzna nigdy się nie dowie, że dla niego odrzuciła zamożnego kandydata. Wystarczył mu moment, żeby jej pokazać inny świat, do którego już zawsze będzie tęsknić.

Szła szybko dalej.

Miała wrażenie, jakby trawy jej się kłaniały. Falowały na wietrze i wszystkie główki chyliły się w jej stronę. Kroczyła między nimi jak prawdziwa pani.

Ku losowi, którego kompletnie nie znała, ale przynajmniej mogła mieć nadzieję, że będzie dobry. Nic bowiem jeszcze nie zostało przed nią zamknięte, a kolejne ścieżki tylko się otwierały.

JUŻ WKRÓTCE KOLEJNY TOM

Sagi dworskiej

„KOLOR RÓŻ”